

The background of the cover is a photograph of a woman lying on her back on a dark sofa. She is wearing a grey, textured sweater and is looking upwards. The room is dimly lit, with a strong red light source behind her, casting a glow on the dark, heavy curtains that hang in the background. The overall mood is mysterious and somber.

CZERWONY ŚWIT

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow



Seria „Ze Strachem”:

Lars Kepler *Świadek* (wyd. 2)

Lars Kepler *Piaskun*

Johan Theorin *Nocna zamieć* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Wampir*

Anna Kańtoch *Łaska*

Lars Kepler *Stalker*

Wojciech Chmielarz *Osiedle marzeń*

Wojciech Chmielarz *Farma lalek* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Przejęcie* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Zombie*

Anna Kańtoch *Wiara*

Jędrzej Pasierski *Dom bez klamek*

Jędrzej Pasierski *Roztopy*

Jędrzej Pasierski *W Imię Natury*

Anna Kańtoch *Pokuta*

Więcej informacji: czarne.com.pl

Jędrzej Pasierski

Czerwony świt



Wołowiec 2020

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Magdalena Palej

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Fotografie na okładce © by Joao Grisantes / Arcangel; Linda Perdue / Arcangel

Copyright © by Jędrzej Pasierski, 2020

Opieka redakcyjna Tomasz Zajęc

Redakcja Małgorzata Uzarowicz

Korekta Justyna Żebrowska, Gabriela Niemiec

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-994-2

Dla Franka

1

Na pewno ją rozpoznał. Przytrzymała spojrzenie, jednocześnie obsuwając nieco sukienkę. Chłopak był fajny, dobrze ubrany, może zagraniczny. W innym życiu nie miałyby nic przeciwko, żeby zabrać go do domu. W tym on musiałby się pochwalić przed całym światem. Po chwili zerwał kontakt wzrokowy i odwrócił się do kolegów.

Z lekkim rozczarowaniem Sara obróciła twarz do swojego stolika i podjęła ponowną próbę wysłuchania Lutka. Ten z kolei wodził za nią oczami jak pies. Ilekroć na niego patrzyła, widziała w tych oczach smutek i tęsknotę. I nie mogła już tego znieść. Podjęła szybką decyzję, przerywając mu w pół słowa.

– Idę potańczyć – oświadczyła i wstała, ale udała się prosto do baru, który rozciągał się na całą szerokość dolnego parkietu. Błyskawicznie wypatrzył ją tam barman. Wychylił głowę przez ladę i wytatuowaną po przeguby ręką zrobił jej przejście w kolejce oczekujących.

– Co dla ciebie? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Margarita?

– Poproszę – odparła.

Jakaś dziewczyna rzuciła z irytacją:

– Tu nie ma kolejki?

Barman nie zaszczycił tamtej spojrzeniem. Nawet jej się to podobało, ta władza barmanów nad klubowym tłumkiem. Po kilkadziesiąt sekund na ladzie pojawił się drink, kryształki soli mieniły się na brzegach kieliszka o szerokim rondzie. Sara wyciągnęła kartę, ale barman zaprzeczył ruchem dłoni.

– Na koszt firmy – oświadczył.

Liczył na coś. Korzystny wpis w internecie i legion jej fanów w klubie. Wolałaby zapłacić.

– Dzięki – odparła jednak, uśmiechając się czarująco.

Pociągnęła łyk. Jak na klub nocny margarita była pyszna, po chwili w kieliszku została jej już tylko połowa. Sara zerknęła na parkiet, miała ochotę potańczyć sama i tak zabić tych kilka godzin do świtu. Z nadzieją poszukała wzrokiem Pawła i Karoliny, we dwójkę mogli ją trochę zasłonić. Musiała jednak przejść przez całą salę, żeby ich odnaleźć. Niemal równi wzrostem, tańczyli przyklejeni do siebie; niebacznici na zmianę rytmu i dziesięć lat związku.

Przez cały wieczór Paweł był nienaturalnie czuły i serdeczny. Nie chciała go takim widzieć.

– Jesteś – szepnęła Karolina, kiedy Sara do nich podeszła. – Bałam się, że Lutek cię połknął.

Uśmiechnęła się zdawkowo. Przynajmniej muzyka była w porządku, kochała syntezatory. Zaczęła rytmicznie poruszać biodrami. Błagała w myślach, by nikt się do niej nie zbliżył. Nie dzisiaj, nie teraz.

Sara była chodzącą gracją. Tańczyła, jakby poruszała się nad ziemią. Wykonywała minimalne ruchy, a inne dziewczyny wyglądały przy niej nieatrakcyjnie. Super im się rozmawiało przed chwilą, a Lutek odnosił wrażenie, że w ostatnich latach dyskutowali głównie na tematy finansowe jak stare, znudzone sobą małżeństwo. Zagapił się na tańczącą Sarę i dopiero po chwili dotarło do niego, że dwie dziewczyny przy stoliku obok rozmawiają właśnie o nim.

– Może ten? – zapytała niższa. – Nie jest taki zły.

Nie poczekał na odpowiedź. Odszedł od stolika i udał się w kierunku górnego baru, następnie minął szatnię i wyszedł przed klub, nie wkładając nawet płaszczka. Do Demo, klubu nocnego przy ulicy Foksal, schodziło się po schodkach. Służyły za palarnię; niewielu palaczom chciało się wspiąć wyżej, tam gdzie stał i marzył selekcjoner. Przed gośćmi mężczyzna o twarzy chłopca zakładał maskę aroganckiego buca, a kiedy ich nie było, kulił się przy piecyku gazowym.

Wraz ze świtem miała nadejść wiosna i zapowiadała się na wyjątkowo ciepłą, w nocy wiało jeszcze jednak chłodem. Na schodkach do klubu palił

smagły dryblas, Bartek Borewicz. Stał z parą młodszych od siebie ludzi, krótko ostrzyżonym chłopakiem i jego dziewczyną w dżinsowej kurtce.

Lutek widział na twarzy przyjaciela lekkie znużenie. Chyba wszyscy byli już zmęczeni: dochodziła czwarta rano. To jednocześnie oznaczało, że impreza w Demo będzie powoli umierać, a ta w Koktajlu na placu Trzech Krzyży rodzić się i niemal jak co dzień zbierać zombie z całego miasta.

Poprosił Borewicza o papierosa i zapalił. Dzisiaj czerwone marlboro nie smakowało smołą, smakowało świetnie. Rzeńskie powietrze marcowej nocy przyjemnie chłodziło mu policzki. Rozmawiali o zaćmieniu słońca, od kilku dni każdy o tym mówił.

– Następne wypada w 2020 roku, ale płytkie – przemawiał Borewicz, jakby wykuł się Wikipedii na blachę przed imprezą. – A to będzie wyjątkowo głębokie.

– O której godzinie? – zapytał krótko ostrzyżony chłopak.

Tego Bartek już nie wiedział, pomógł mu Lutek.

– Po dziewiątej – powiedział. – Zaczyna się około dziewiątej czterdzieści.

Dziewczyna w dżinsowej kurtce spojrzała na niego z zainteresowaniem, zwykle zarezerwowanym dla takich jak Borewicz. Lutek spiął się i pogrzebał jeszcze chwilę w pamięci. W końcu pisali o tym wszędzie.

– A maksimum zaćmienia będzie o dziesiątej pięćdziesiąt siedem – dodał po chwili.

Borewicz zerknął na zegarek. Trudno go było zbić z tropu.

– No to musimy wytrzymać jeszcze sześć godzin – oznajmił.

Nie wszyscy byli przekonani, żeby już opuścić Demo, potem jednak poddali się pomysłowi Lutka i Borewicza. Na piechotę podążyli na plac Trzech Krzyży, zatrzymując się po drodze przy okienku gastronomicznym na Degolaku, żeby kupić, a potem wyrzucić do śmieci gumową pizzę, a następnie ruszyli w kierunku Koktajlu.

Tutaj już drugą godzinę wszyscy gubili się i na powrót znajdowali w labiryntach zaułkowego klubu nocnego, za każdym razem coraz

bardziej wykończeni. Jedynie Paweł zwyżkował i wszyscy wiedzieli, z czego wynika ta jego wyjątkowa forma.

Borewicz i Lutek stali przy barze, systematycznie wlewając w siebie wódkę z cytryną; Karolina spostrzegła, że zaczęła im towarzyszyć jakaś szczupła dziewczyna, którą usiłował poderwać Lutek. Słabo już się jednak trzymał na nogach i Karolina zastanawiała się, czy chłopak dotrwa do rana.

Ona sama wybrała ruch. Zaciągnęła Sarę na bardzo ciemny parkiet, wielkością i wystrojem przypominający wnętrze przyczepy kempingowej. Tańczyły w rytm nieco tantrycznej muzyki i niepokojących wizualizacji, rzucanych na ścianę za pomocą projektora.

Na szczęście dla dziewczyn Koktajl nie należał do miejsc, gdzie ktoś znienacka łapie za pupę. Większość imprezowiczów przebywała w swoim świecie, a ciemność niemal nie pozwalała odróżnić płci. I Sara z pewnością też nie narzekała; normalnie rozpoznawało ją osiem osób na dziesięć, a z tych ośmiu co najmniej trzy musiały podejść, zagadać, złapać za rękaw.

Karolina kursowała między dwoma grupkami: barową i parkietową, a nawet tą trzecią, toaletową, gdzie można było znaleźć Pawła. A to dlatego, że łazienki w Koktajlu nie służyły wyłącznie zaspokojeniu potrzeb fizjologicznych. Przestronne i poplątane jak sam klub, tworzyły własną przestrzeń społeczną.

– Może już dosyć? – zapytała go, kiedy po raz trzeci wyszedł z ubikacji, wierzchem dłoni wycierając wilgoć nad górną wargą.

Paweł nic nie powiedział, za to pocałował ją w usta. Wiedziała, że przez najbliższą godzinę będzie jej szeptał do ucha, jak bardzo ją kocha, jak ona go pociąga i jaką są świetną parą.

– Chodź potańczyć – powiedziała, żeby nie przyssał się do Borewicza i Lutka, bo jeszcze tylko wódki tutaj brakowało.

Paweł ważył teraz niewiele ponad sześćdziesiąt kilo i choć wydawało mu się, że jest inaczej, nie miał takich możliwości jak koledzy. Złapała go mocno za rękę i pociągnęła na parkiet, usiłując wypatrzeć w ciemności Sarę.

Kilka godzin później słońce oślepiało już oczy i kiedy Karolina wyszła na zewnątrz, przez chwilę wydawało jej się, że wszystko powleka

mlecznobiała substancja. Dopiero po chwili wyłoniły się z niej budynki, ulice i samochody.

Minęło wpół do dziewiątej. Mimo wczesnej pory zrobiło się już całkiem ciepło. Trudno było uwierzyć, że właśnie rozpoczynał się poranek 20 marca, pierwszy dzień wiosny. Wydawało się, że zadomowiła się na dobre, potwierdzając prognozy zapowiadające lato stulecia.

Koktajl wypluwał z siebie hałaśliwe grupki, które szybko pakowały się do taksówek parkujących pod niedalekim teatrem lalek. Może nie tylko ich paczka wpadła na pomysł after party w czasie zaćmienia słońca. Z klubu wytaczali się ludzie o zielonoszarych twarzach; niby mało przytomni, ale Sara została zaczepiona aż trzykrotnie.

Karolina dostrzegła zniecierpliwienie na twarzy Borewicza. Nie lubił, kiedy grupa robiła za ochroniarzy gwiazdy.

- Może już jedźmy – zaproponował.
- Gdzie? – zapytał Paweł.
- Do zaćmienia jeszcze czas – powiedział Lutek.

Wyprowadził z klubu swoją nową znajomą i najwyraźniej zamierzał ją ciągnąć za sobą aż do skutku. Sara zaś udawała, że tego nie widzi, nie chciała wchodzić w rolę psa ogrodnika. A może naprawdę nie interesował jej podbój Lutka.

Karolina zerknęła na telefon. Zbliżała się dziewiąta i wszyscy byli głodni. Naradzali się przez chwilę, gdzie jechać, decyzja zapadła jednak szybko. Cała piątka mieszkała na Pradze, więc i tak musieli przemierzyć Wisłę. A najlepsze kanapki w mieście serwował Dar przy ulicy Okrzei.

Karolina zamówiła jednego ubera, Lutek kolejnego – trafiła im się terenówka – i przejechali mostem Poniatowskiego, a następnie wzdłuż parku Skaryszewskiego, po to żeby pobudzić do życia obsługę kanapkarni na Pradze-Północ.

Paweł skubał swoje śniadanie bez apetytu, myśląc, że do łopatki wieprzowej dodałby inny sos, a awokado w środku było nieco za dużo. Chociaż uczciwie musiał przyznać, że Dar serwuje całkiem przyzwoite bułki.

W knajpie panowały pustki, tak samo jak na ulicach Jagiellońskiej i Okrzei, widocznych przez wysokie okna. Na słońcu ukazała się pierwsza czarna plamka; raz na jakiś czas ktoś z nich pokazywał ją palcem. Wystarczyło przyjrzeć się dłuższą chwilę, by dostrzec, że plamka się porusza, z sekundy na sekundę zajmując coraz większą powierzchnię słońca i wnosząc do światła nutę czerwieni.

Postępowało zaćmienie. Paweł poczuł niepokój, jakby w głowę wdzierał mu się jakiś cień. Zresztą wszyscy byli dziwnie milczący. Skupił spojrzenie na budynku praskiej skarbowki, postawionym po drugiej stronie ulicy. W przypiływie geniuszu, a może psychodelicznego szaleństwa, urząd pomalowano we wszystkie kolory tęczy. Już ciągnęli do niego urzędnicy i interesanci. A stojące naprzeciwko kino Praha z pewnością szykowało się powoli do poranków dla dzieci. Pomysł, żeby schronić się w ciemnej i chłodnej sali kinowej, wydał mu się nagle bardzo pociągający.

– Lećmy już, Paweł – powiedział Borewicz.

Ociągał się. Już z minutę przeżuwał kawałek kanapki i doszedł do wniosku, że będzie ją musiał wypluć.

– Chyba że chcesz oglądać zaćmienie słońca, stojąc przed urzędem skarbowym? – zapytał Lutek.

– Nie przeszkadza mi to.

Reszta też już chciała iść. Paweł wiedział, że przeciąga.

– Ale mi przeszkadza – dodał Lutek.

– To dlatego, że się interesujesz pieniędzmi – wtrąciła Karolina.

– Znam się na nich.

– Potejto, potato – odparła.

– I stąd wiem, że skarbowka to złodzieje. – Lutek podniósł głos, efektywna i ostateczna taktyka w rozmowie, zwłaszcza że głos miał tubalny i donośny. Jednocześnie oznaczało to, że nie da sobie przerwać.

– Ta rozmowa jest absurdalna – powiedziała Sara. – Lutek ma rację. Chodźmy.

– Gdzie? – zapytał retorycznie Paweł.

Czy można było zorganizować after party w lepszym miejscu niż dwupoziomowe, stuczterdziestometrowe mieszkanie z widokiem na pół Warszawy? Apartamentowiec Sary przy ulicy Markowskiej był budynkiem z ogromnymi oknami, estetycznie wykończonym brązową cegłą, co przyjemnie korespondowało ze starą architekturą Szmulowizny. Stanowił jedną z niewielu oddanych inwestycji na obszarze wielkiego placu budowy, w który zmienił się obecnie plac Konesera – a w szerszej skali cała Praga-Północ.

Sara nie zdążyła się całkiem przenieść do swojego nowego mieszkania, może dlatego, że nikt nie miał czasu jej pomagać: Paweł był zajęty w Lawendzie, Karolina, kiedy nie zajmowała się swoimi sprawami, pomagała mu w pracy, a Borewicz cierpliwie czekał na zaproszenie. Tymczasem ten apartament, penthouse w zasadzie, nadawał się już do zamieszkania.

Borewicz przez chwilę przechadzał się po przestronnych pomieszczeniach, po czym przystanął przed oknem. Po dziesiątej światło na zewnątrz zrobiło się ciemne i dziwne, jakby dolano do niego szkarłatu, a księżyc wyraźnie zaczął już przesłaniać słońce.

Za plecami słyszał dyskusję. Każdy miał coś do powiedzenia. Najwięcej oczywiście Lutek, który specjalnie nie przejmował się swoim gościem, za to mianował się samozwańczym dyrygentem imprezy. Zawsze zresztą tak się zachowywał. Gdziekolwiek szli, wyszukiwał znajomych, kolegował się z kelnerami i barmanami i nigdy nie przepuścił okazji, żeby poklepać kogoś po plecach, czasami sięgając aż do policzków.

Dzisiaj jednak okazał się przydatny; mimo że Sara podobno już spała w nowym mieszkaniu, nie miała w nim dobrego rozeznania. Jedyne skolonizowanym pomieszczeniem była sypialnia, a kuchnia okazała się żałośnie zaopatrzona jak na dom siostry zawodowego kucharza. Barek prezentował się niewiele lepiej.

Lutek zaproponował, że przyrządzi swoje legendarne frappé. Ale jeśli chcieli zdążyć na szczyt zaćmienia, musieli się pośpieszyć, dochodziło już wpół do jedenastej. Borewicz zgłosił się na jego pomocnika – wystawianie

się na słońce wywoływało u niego migrenę. Przypuszczał, że zaćmienie nie ma na to wpływu.

– Dobra, my z Karoliną idziemy już na taras – powiedział Paweł.

– Dla mnie w moim kubku – poprosiła Sara.

Obsesyjnie pijała kawę tylko w tym jednym poszczerbionym naczyniu, prezencie od jednego z tabunu byłych chłopaków. W mieszkaniu mogło zabraknąć mebli, ale na pewno nie zabrakłoby kubka z owcą.

Borewicz z Lutkiem zabrali się do roboty, jednak lodówka Sary szybko wyjawiała swoje niedobory, w tym ten kluczowy, brak lodu. Musieli więc zrobić szybki wyskok do marketu, który wykiełkował na niedalekiej Białostockiej. A kiedy wrócili, dosypali do kubków gotowych kostek, postawili sześć frappé na prowizoryczną tackę z tektury i wyszli na taras.

Na zewnątrz czerwonobrzazowa poświata zdominowała już warszawski krajobraz. Rozciągała się nad Pragą-Północ jak gigantyczna kopuła. Przez moment Borewicz podziwiał ten niepokojący widok. Zresztą nie tylko mieszkanie Sary robiło wrażenie, również taras był jednym z najlepszych, jakie widział w Warszawie. Co najmniej sto metrów kwadratowych i kapitalny widok na Pragę oraz Wisłę, sięgający aż do Starówki. Przy tym jednak dyskretne osłonięcie od świata, z jednej strony budynkiem, z drugiej wysoką szybą z mlecznego szkła. Tutaj żaden sąsiad nie zajrzy ci do majtek, no chyba że z drona.

– Udało się? – zapytała Karolina i sięgnęła po jedno z frappé, które postawili przy wejściu.

Borewicz zatrzymał na wargach cięty komentarz. Sam potrzebował kofeiny, bo aura wywoływała u niego pewne otępienie. Pociągnął długi łyk.

Sara słaniała się na nogach i czuła, że na powierzchni podtrzymuje ją tylko złość na przyjaciela. Jak śmiał kogoś tu sobie sprowadzać? W dodatku skądś znała tę myszowatą dziewczynę i nie mogła sobie przypomnieć skąd. I czy to był jakiś komunikat od Lutka, który powinna odczytać? Bardziej przypominało to jednak pijacką lekkomyślność i chęć przygód.

Paweł z Karoliną już od dwudziestu minut bawili się telefonem, a ona sama bezmyślnie zerkała na słońce, dopóki nie przypomniała sobie, że to

niedobre dla wzroku. Nie mówiąc już o zmarszczkach pod oczami i przede wszystkim na czole. Miała dwadzieścia osiem lat, a tydzień wcześniej odbyła pierwszą rozmowę o botoksie.

- Lepiej wcześniej niż później – poinformowała ją kosmetolożka.
- Dlaczego? To robi jakąś różnicę?
- Pani nie. Ale mediom tak. Jak się pani spóźni, wszyscy zauważą.

Więc nie mogła wystawać na świetle, jednocześnie nie bardzo miała gdzie się skryć. A zamiast dumy, że jest właścicielką takiego wspaniałego tarasu, odczuwała wstyd, że nie jest zagospodarowany. Karolina podsunęła jej pomysł wyścielenia tych stu metrów sztuczną trawą. Czy to jednak nie będzie tandetne, niczym scenografia najtańszej telenoweli? O co jeszcze powinna w takim razie zadbać? Papierowe rośliny i krasnale ogrodowe? Plastikowy las?

Ten taras powinien być wizytówką mieszkania, pomyślała, a potem ucieszyła się, widząc, że szklane drzwi otwierają się i wychodzą zza nich Lutek z Bartkiem. A na tekturowej tacy brzęczą kubki z chłodną kawą. W tym jej własny, z owcą, który otrzymała lata temu od Marcina. Podeszła i podziękowała za kawę – ale tylko Borewiczowi, chcąc, by Lutek zrozumiał przesłanie.

Pociągnęła łyk, frappé smakowało niestety gorzko. Lutek zaczął jednak wykrzykiwać, jak to – z wielkim poświęceniem – musieli udać się do sklepu po lód, wymruczała więc jakiś mdły komplement.

Z kubkiem w dłoni odeszła na bok, chcąc przez moment побыć sama, choć przez chwilę nie być obserwowaną. Oparła się o barierkę i pociągnęła kolejny, głębszy łyk. Zamknęła oczy, pozwalając, by ciepło rozlało jej się po czole i policzkach. Minęło już apogeum zaćmienia i światło zaczynało się rozjaśniać, jakby następował powtórny świt. Ostrzeżenia kosmetolożki Sara miała w tym momencie gdzieś.

Borewicz puścił muzykę z minigłośnika i chciała jeszcze potańczyć, nie wyżyła się w Koktajlu. Poruszyła biodrami, żeby wejść w rytm, ciało miała jednak jak z waty. Błyskawicznie ogarniała ją senność. I to jak! Poczwała, że jeśli za chwilę się nie położy, to już nie dotrze do kanapy, padnie na goły beton. Odeszła od barierki, niepewnym krokiem minęła oszklone drzwi

i spoczęła na sofie. Kubek z owcą postawiła na podłodze, a lewą rękę oparła sobie na brzuchu.

Zamknęła oczy. A w tej ostatniej sekundzie przytomności Sara Kosowska pomyślała, że to nie sen, ale coś innego, gorszego. Nie wiedziała, kiedy wchłonęła ją ciemność.

Zimno kawy podrapało Pawłowi gardło, było jednak orzeźwiające.

– Robi się już jaśniej – zauważył z rozczarowaniem Lutek.

– Nie przejmuj się – skomentowała Karolina. – Zobaczysz jeszcze zaćmienie.

– Takie za pięć lat – powiedział Borewicz.

– Mogę nie dożyć – zaśmiał się Lutek.

– Jesteś chory? – zapytał Paweł.

– Nie.

– To po co tak chrzanisz? – powiedział Paweł, a potem podszedł do telefonu i zmienił w nim muzykę. Poleciały dźwięki *Syren* Artura Rojka. Lutek wzruszył ramionami, a Bartek złożył palce w prostokąt i mrużąc oczy, skierował dłonie w stronę słońca.

– Do czegoś cię to inspiruje? – zapytała Karolina.

– Być może – odparł, mrugając. – Jeszcze nie wiem.

Paweł rozejrzał się.

– Gdzie jest Sara? – zapytał.

Lutek spojrział na tackę z tektury, stał tam jeszcze jeden kubek z frappé. Nie był to jednak kubek z owcą.

– Pewnie wyszła – skomentował.

Karolina rzuciła Pawłowi pytające spojrzenie. Poczul instynktowny niepokój.

– Sprawdź, co u niej – powiedział.

W mieszkaniu, w którym zdążyli zapalić wszystkie światła, panowała teraz jasność jak na zewnątrz. Pół górnego salonu zajmowała gigantyczna, pachnąca jeszcze nowością kanapa. Paweł przyjrzał się leżącej na niej postaci. W rzeczywistości Sara była drobniejsza niż na ekranie. Obydwoje byli mali. Sara mierzyła niewiele ponad metr sześćdziesiąt, telewizja

dodawała jej wzrostu. Niedawno obcięte krótkie blond włosy opadły jego siostrze na oczy, nie poruszała się.

Do pokoju weszła Karolina, za nią reszta. Paweł wyczuwał zapach spirytusu w powietrzu.

– Co z nią? – zapytał Lutek. – Jakoś dziwnie wygląda.

Paweł wzruszył ramionami, czując w mięśniach lekki paraliż. Minął go Lutek, usiadł na brzegu kanapy i położył dłoń na czole Sary. Obserwowali go, kiedy nachylił się nad jej ustami. Przystawił dwa palce do szyi dziewczyny, usiłując chyba znaleźć tętno, a potem spojrzął w ich stronę. Wyglądał na przestraszonego.

– Kurwa, nie oddycha – powiedział.

Nikt nie skomentował. Czas zatrzymał się w miejscu.

– Chyba musimy wezwać lekarza – dodał.

Ciszę przerwał zduszony krzyk Karoliny.

2

Był 20 marca, pierwszy dzień wiosny, i policja powinna zajmować się tym, żeby nikt dzisiaj nie wpadł do Wisły. Tymczasem Nina Warwiłow czuła się, jakby ktoś pomylił tygodnie i tak naprawdę był piątek trzynastego. Dochodziła dwunasta i od pół godziny wiedziała, że nie żyje Sara Kosowska, primadonna telewizji i kina, co dla Warwiłow oznaczało jedno: strumień szlamu. Prasa nie zdążyła jeszcze wyniuchać tematu, ale stanowiło to kwestię minut.

Technicy zabezpieczyli pomieszczenia, zwłoki Kosowskiej odjechały już do prosektorium na Oczki, wraz z nimi zaś prokurator Maciej Stassberg, pozostawiając Warwiłow nadzór nad śledztwem. I patrzyła teraz na jedno z lepszych mieszkań, jakie widziała w tym mieście: dwupiętrowy loft z oknami na całą wysokość ścian, wykończony w klasycznym, ale niezłym stylu.

Podłogi wyłożono dębowym parkietem, kuchnię umeblowano mnóstwem lakierowanych białych szafek, ładnie kontrastujących z blatami z czarnego marmuru. Nawet kominek tutaj się znalazł, w rogu przepastnego salonu. Jednego z dwóch: ten wyższy, sąsiadujący z tarasem, umieszczono na antresoli. Cała ta chata musiała kosztować majątek.

Przy tym wszystko wyglądało jak wyjęte prosto z pudełka i tak samo pachniało: świeżą farbą, tekstyliami, plastikiem. Ani śladu woni człowieka, w ogóle jego obecności. Jedyne w miarę zamieszkałym miejscem wydawała się sypialnia Sary Kosowskiej. Bluzki i bielizna wały się po podłodze obszernej garderoby, na toaletce stało kilkanaście kosmetyków i nawet pachniało tutaj trochę kobiecymi perfumami.

Warwiłow z zadowoleniem odnotowała jednak, że biała toaletka, służąca wyraźnie także za biurko, jest dosyć zaśmiecona. Leżały tutaj kluczyki do samochodu marki Audi, poza tym ołówek, przewrócona butelka po wodzie i kalendarz, do którego przyklejono szereg karteczek. Nie był zbyt skrupulatnie prowadzony. Komisarz przewróciła parę stron, a potem wróciła do pierwszej.

– Kilka razy pojawia się nazwisko Stern. Sprawdź to – poleciła Chodkowskiemu, który pojawił się w sypialni niedługo po niej.

– W porządku. Zatrzymujemy też kluczyki do samochodu? – Starszy aspirant zakręcił je sobie na palcu. – Chyba dobry wózek.

– Zabezpiecz. I sporządź mi notatkę o naszych świadkach. Za pięć minut zaczynamy przesłuchania.

– Tutaj?

– Tak.

– Kogo pierwszego?

– Tego, kto znalazł zwłoki. – A po chwili namysłu dodała: – Albo nie. Przepytam wszystkich naraz. Sprawdźmy zbiorowe oko. Co o nich wiesz?

– Brat Kosowskiej, jego dziewczyna i dwóch facetów. Podobno wszyscy są bardzo blisko. Przyjaźnią się od zawsze.

– Skąd wiesz?

– Nie ukrywali tego przede mną.

– Tym lepiej. Zbierz ich, zaraz do ciebie przyjdę.

Minąwszy ekipę techniczną skupioną wokół kanapy, na której znaleziono Sarę Kosowską, Warwiłow wyszła na zewnątrz. Zmrużyła oczy od słońca, które po zaćmieniu wydawało się atakować ze zdwojoną siłą.

Powierzchniowo taras korespondował z resztą apartamentu; wyglądał tak, jakby można było na nim zagrać w golfa. I nikt by się nie dowiedział, co się tutaj wyprawia.

Biała, wysoka i gruba szyba osłaniała flanki tarasu, a betonowa ściana – jego przód. Tutaj człowiek mógł swobodnie opalać się nago. Od kiedy takie mieszkania powstawały w Warszawie? I to dwieście metrów od Żąbkowskiej, dawniej najniebezpieczniejszej ulicy w mieście, i trzysta metrów od królestwa bloków spółdzielni RSM Praga. Tego samego, na którym Nina się wychowywała.

Wróciła do środka. Czworo świadków już zajęło miejsca przy stole prezydialnym. Słyszała szelest folii, którą pokryte były jeszcze krzesła. Sama usiadła u szczytu, jak gdyby właśnie rozpoczynali obiad rodzinny.

Trzech mężczyzn i kobieta. Tuż po trzydziestce albo nawet młodszy, bo byli wyraźnie szarzy, zmarniali i to mogło ich postarzać. W każdym razie

bez dwóch zdań przedstawiciele generacji Y, czyli pokolenia, które komunizm pamiętało przez pryzmat pewexów. Wydawali się otepiali i wyczuwała w powietrzu dość nieprzyjemny zapach przetrawianego alkoholu.

Skoro ofiara była kobietą, to mieliśmy – dawniej – grupę dwa plus trzy. Jaką rządziła się dynamiką? Jeden z mężczyzn podobno był bratem Kosowskiej. Który?

Na oko odpadał zupełnie niepodobny do ofiary brunet o semickim typie urody, równie ładny, co brzydki. Bo czy przystojnym można nazwać faceta z nosem jak lotniskowiec, o twarzy pozbawionej wszelkich obłości? A jednak Warwiłow nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to jeden z atrakcyjniejszych mężczyzn, jakich ostatnio spotkała. Nawet pasowała mu trupia bladość twarzy. Pozostali mężczyźni nie byli tak charakterystyczni: mocno zbudowany ciemny blondyn z wysokim czołem i lekko postawionymi włosami i drugi, drobny blady szatyn o zmierzwionej fryzurze *à la* młody Brando. Dziewczyna zaś miała krótkie włosy, wydatną brodę i była pięknie zbudowana: wąskie biodra i szerokie barki. Androgyniczna, ale bardzo atrakcyjna.

Chodkowski usiadł na krześle obok i wręczył Warwiłow ściągę. Zerknęła na nią, zadowolona z metodyczności podwładnego i jego zdrowego rozsądku. Imiona i nazwiska świadków zapisane były w takim samym układzie, w jakim siedzieli przy stole, i zagadka brata szybko się rozwiązała.

– Mamy do państwa kilka pytań – oznajmiła, przesuwając spojrzenie z twarzy na twarz.

– Teraz? – zapytał blondyn mocnym głosem.

Zerknęła na karteczkę. Michał Lutyński.

– A kiedy by pan chciał?

– To znaczy, myślałem, że raczej osobno... – Z pewnością jeszcze nie wytrzeźwiał; policzki miał zaczerwienione.

– Michał Lutyński, zgadza się? – skierowała do niego pytanie, zerkając do notatek. Nie czekając na odpowiedź, zadała kolejne: – Pan znalazł Sarę?

– Wszyscy ją znaleźliśmy.

- Ale pan zbadał jej puls?
- Tak.
- Czemu pan to zrobił?
- Leżała bez ruchu.
- Często sprawdza pan puls leżącym koleżankom?
- Nie – odparł, odchylając się lekko na krześle, na co dało się słyszeć skrzypiący odgłos folii.
- No więc dlaczego?
- Imprezowaliśmy całą noc, Sara wyglądała blado. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Komisarz milczała.

- Chyba instynktownie – dodał.
- Rozumiem – powiedziała. – Przejdźmy do tego, co piła i jadła Sara Kosowska przed śmiercią i...
- Czy kawa była zatruta? – weszła jej w słowo androgeniczna dziewczyna.

Warwiłow szybko zerknęła do notatek. Karolina Moskal.

- ...i tego, co dokładnie zażywała wczoraj wieczorem – dokończyła Nina, kierując spojrzenie na Moskal.

Zapadło milczenie. Zastanawiała się, czy trafiła. Wyglądali na wyrwanych prosto z balangi. I imprezowali przez całą noc, jak powiedział Lutyński. Jakieś narkotyki musiały być w grze. Kokaina, bo wyglądali na niebiednych, a jeśli nie, to ekstazy albo nawet szybko podbijający Warszawę mefedron. Albo jeszcze większe zło, najgorsze ze wszystkiego. Dopalacze: K2, Spice Gold, Mocarz i inne. Legalne narkotyki, czyli według niej największy skandal XXI wieku w Polsce.

- Może pani odpowie na to pytanie? – zapytała Karoliny Moskal.
- Byliśmy w Darze na Okrzei na śniadaniu. A potem w domu. To znaczy tutaj. I wszyscy piliśmy tę kawę mrożoną.
- Tylko tyle?

Warwiłow wyczekała kilka sekund, czy ktoś podejmie temat. W powietrzu, oprócz woni farby i spirytusu, dało się teraz wyczuć zapach męskiego potu.

– To, co pozostało w kubku, zostanie poddane badaniom – powiedziała. – Czy Sara sama przygotowywała sobie tę kawę?

– Nie – powiedział blondyn. – Oczywiście, że nie sama.

– To znaczy?

– Przygotowaliśmy dla wszystkich. Razem z Bartkiem.

Warwiłow zerknęła na bruneta z dużym nosem. Miała przed sobą parę i dwóch mężczyzn. A między nimi piękną, utalentowaną dziewczynę. Od godziny martwą. Tutaj musiało się coś dziać.

– Jak do tego doszło? Kto wpadł na pomysł kawy? – zapytała.

– Byliśmy nieprzytomni, poza tym wszyscy wiedzą, że robię dobrą kawę – powiedział Lutyński. – Mogłem to nawet sam zaproponować...

– I co było dalej?

– Przygotowaliśmy kawy, postawiliśmy je na tackę i zanieśliśmy na górę.

– Ale wcześniej – poprawił Borewicz – to poszliśmy do sklepu.

Również miał charakterystyczny głos, nie tyle tubalny, ile bardzo głęboki. Sami radiowcy. Warwiłow skierowała spojrzenie na Lutyńskiego.

– Racja – powiedział. – Wyszliśmy po lód.

– Lód?

– No do frappé.

– Rozumiem – mruknęła, myśląc o rozwodnionym kolorze kawy i zastanawiając się, jak przyspieszyć pracę laboratorium i mieć wyniki jeszcze dzisiaj. – Ile czasu was nie było?

– Może piętnaście minut – powiedział Borewicz.

– Bałem się, że nie zdążymy na zaćmienie słońca – dodał Lutyński. – Teraz nie wierzę, że przejmowałem się takimi bzdurami.

Zamilkł nagle. Wyglądał na prawdziwie przygnębionego. Karolina Moskal też miała zaczerwienione oczy, a Paweł Kosowski trzymał głowę skierowaną w dół.

– Czyli przez piętnaście minut ta kawa była zostawiona bez opieki, zgadza się? – skonkludowała Warwiłow.

– No tak – powiedział Lutyński.

– Gdzie państwo wtedy przebywali? – zwróciła się do dziewczyny, ale patrzyła na Pawła Kosowskiego, mając nadzieję, że w końcu podniesie głowę. Kiedy to zrobił, dostrzegła, że jest bardzo podobny do siostry.

– Na tarasie – powiedziała Moskał. – Poszliśmy tam już wcześniej i obserwowaliśmy zaćmienie.

– Opuszczaliście taras przed przyjściem kolegów?

– Nie.

– Zastanówcie się dobrze – powiedziała. – Nawet na chwilę? Na przykład do łazienki?

– Nie – powtórzyła.

– Pan jest bratem ofiary, zgadza się? – Warwiłow zwróciła się w końcu wprost do Pawła Kosowskiego. Odniosła wrażenie, że ten lekko drży.

– Tak.

– Proszę przyjąć moje kondolencje. Ale musi pan odpowiedzieć na kilka pytań. I zadam teraz takie, które muszę zadać. Jest skierowane do was wszystkich. Czy wiecie o kimś, kto mógł chcieć śmierci Sary? – Przez chwilę wydawało jej się, że Kosowski zaprzeczy. A potem usłyszała ciche potwierdzenie.

– Tak.

Pozostali nie wyglądali na zaskoczonych.

– Zgłaszała taką sprawę na policję – dodał.

– Kiedy?

– W zeszłym roku.

– Jaką sprawę? Co się wydarzyło?

– Sara czuła się prześladowana.

– Przez kogo?

– Nie wiem. Dostawała listy, głównie wiadomości z anonimowych kont, które szybko zamykano.

– Groźby karalne?

– Nie rozumiem.

– Czy sprawą zajęła się prokuratura? – wyjaśniła.

– Prowadzono jakieś śledztwo w zeszłym roku.

– A w tym? Ostatnio?

– Nie wiem. Sara przestała o tym mówić. Ale nie wiem, czy sprawa się skończyła, czy po prostu nie chciała już o tym ze mną rozmawiać.

– A z państwem? – Komisarz zwróciła się do pozostałych, zastanawiając się, który z mężczyzn był bliżej Sary. Obstawiała Borewicza, miał w sobie coś filmowego.

– Wiem dokładnie tyle, ile Paweł – oznajmił Lutyński. – Mnie też już nie chciała o tym opowiadać.

Warwiłow zerknęła na Chodkowskiego, który mrugnął. To zgłoszenie trzeba będzie znaleźć.

– Wspomniał pan, że całą noc imprezowaliście – zwróciła się do Lutyńskiego. – Proszę przedstawić mi przebieg wieczoru.

– Byliśmy w klubie Demo przy Foksal, potem w Koktajlu. Poszliśmy tam... o której, Bartek?

– Po piątej – powiedział Borewicz.

– Jakież narkotyki?

– Nie rozumiem.

– Będziecie musieli powiedzieć na ten temat prawdę i uwierzcie mi, że to zadziała na waszą korzyść – odezwała się Warwiłow po chwili milczenia. – Poddamy ciało Sary badaniom i jeśli coś brała, będziemy wiedzieli co... Więc zastanówcie się nad tą odpowiedzią. Czy od wczoraj Sara Kosowska przyjmowała narkotyki, inne nielegalne substancje albo tak zwane dopalacze?

– Nic o tym nie wiem – odparł Lutyński.

– A pozostali?

Moskal szybko zaprzeczyła, Borewicz nieznacznie się skrzywił, a Kosowski znowu zwiesił głowę.

– Piła alkohol, ale niewiele – powiedziała Karolina. – Głównie tańczyła, kochała tańczyć... – Głos jej się lekko załamał. – Nie zawsze mogła to robić, rozumie pani, zaczepiali ją.

– Czy wczoraj było tak samo?

– Nie. Między innymi dlatego poszliśmy na imprezę właśnie w czwartek. Jest luźniej.

– Z klubu przyjechaliście tutaj?

– Tak... nie – odezwał się Lutyński. – Jeszcze wstąpiliśmy na śniadanie, a potem do Sary. Zrobiło się już późno i musieliś...

– A twoja dziewczyna, Lutek? – weszła mu w słowo Karolina. – Gdzie ona się podziała?

– O kim mówicie? – zapytała Warwiłow.

Lutyński zaczerwienił się lekko.

– Poznałem dziewczynę w klubie i pojechała z nami dalej.

– I?

– Kiedy robiliśmy frappé, poszła z Karoliną, Pawłem i Sarą na taras.

– Nie poszła – skomentował cicho Kosowski.

– Proszę powtórzyć – zażądała Warwiłow.

– Nie było jej z nami na tarasie.

– No to gdzie była? – zapytała. – Skoro nie na tarasie i nie w kuchni?

Cisza. Warwiłow poczuła na skroniach pulsującą złość.

– Ludzie, obudźcie się! Umarł człowiek i przecież wiecie, co oznacza dla świata śmierć Sary Kosowskiej. I po godzinie mówicie mi, że była jeszcze jedna kobieta. Jak miała na imię?

– Nie wiem.

– Jak to...

– Nie pamiętam, okej? – Lutyński jeszcze bardziej poczerwieniał. – Poznaliśmy się kilka godzin temu i nie zapisałem numeru telefonu.

– Może ktoś inny wie? – Warwiłow zwróciła się do pozostałych.

– Mnie się nie przedstawiała – powiedział Kosowski.

– Nie miała na imię Ala, Ola czy jakoś tak? – zapytała Moskal. – Ale może coś mi się wydaje.

– Ja nie zapamiętuję imion, przecież wiecie – rzucił Borewicz. – Pomyślałem, że nie jest w typie Lutka i tyle.

– Dlaczego?

– Wyglądała na wrażliwą.

– Dzięki... – zaczął Lutyński.

– Czy ktoś wie, jak miała na imię? – przerwała Warwiłow ostro.

Cisza. Wzięła do ręki notatnik.

– Dobra, wrócimy do tego. Czyli jedna grupa wyszła na taras, a druga robiła frappé. O której to mogło być?

– Koło wpół do jedenastej – odparł Borewicz. – Lutek wciąż nawijał o zaćmieniu słońca, że nie zdążymy.

– Dokładnie o wpół do jedenastej – uściślił Lutyński. – Sprawdziałem czas.

– A kiedy nastąpiło wyjście po lód?

– Z piętnaście minut później. Nie mogliśmy się odnaleźć w kuchni Sary, za dużo szafek. W końcu zlokalizowaliśmy kawę i cukier i dopiero wtedy zorientowaliśmy się, że nie ma też lodu. I to już była...

– Dziesiąta pięćdziesiąt – powiedział Borewicz. – Bo powiedziałeś: za siedem minut zaćmienie słońca, nie? A przedtem, w klubie, mówiłeś, że dziesiąta pięćdziesiąt siedem.

– No tak. W takim razie za dziesięć jedenasta wyszliśmy do sklepu, wróciliśmy, dodaliśmy lodu i potem już prosto na górę, bo była już jedenasta i przegapiliśmy szczyt zaćmienia. Postawiłem kawę przy wejściu...

– A Sara?

– Nie wiem. Patrzyłem na słońce.

– Sara wzięła sobie kubek – powiedziała Moskal.

– Od razu wzięła? Czy po jakimś czasie? – zapytała Warwiłow.

– Tak, od razu. Potem schowała się do środka.

– Dlaczego?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Czy przedtem uskarżała się na zmęczenie? – drążyła Warwiłow.

– Nie wiem. Może.

– No a potem ja poszedłem sprawdzić... czy wszystko z nią w porządku – powiedział Kosowski. Zamilkł i położył sobie dłoń na czole, zasłaniając twarz.

Karolina objęła go ramieniem.

– Czyli o dziesiątej trzydzięci Sara idzie z wami na taras – podsumowała Warwiłow – a o dziesiątej pięćdziesiąt druga grupa wychodzi do sklepu. Czy zamykaliście drzwi wejściowe na klucz?

– Nie.

– Nie i tak – uściślił Borewicz. – Bo są na zatrask.

– Sara zostawiła na wierzchu klucze, więc je zabrałem – dodał Lutyński.

– Dobra. W takim razie nikt nie wie, gdzie w trakcie tego wszystkiego była bezimienna dziewczyna, i nikt nie widział jej wychodzącej z mieszkania, tak?

Milczenie.

– Czy jesteście tego pewni? – zapytała Warwiłow.

Rozejrzała się. Dwa piętra i co najmniej cztery sypialnie. Mieszkanie dobre do zabawy w chowanego.

– Bo jeśli nie wyszła i wciąż przebywała w środku, kiedy poszliście do sklepu – Warwiłow popukała długopisem w notatnik – to mamy całe dziesięć minut, kiedy została sam na sam z frappé.

Cisza.

– I mogła wyjść z mieszkania, zatraskując drzwi. Nigdy byście się nie zorientowali. Czy w budynku są kamery?

– Kiedyś mają być, ale teraz, sama pani widziała, nawet windy wyłożone są jeszcze dyktą... – powiedział Lutyński.

– Czy myśli pani – podjęła Moskał – że mogła tam czegoś... dosypać?

– Nie wiem.

– Lutek, kim ona jest? – Dziewczyna podniosła głos.

– Nie wiem, kurwa, przecież powiedziałem...

– Uspokójcie się – przerwała Warwiłow. – Zostawmy na razie pytanie, kim jest. Skąd wiedziałyby z którego kubka będzie piła Sara?

– Wszyscy wiedzieli – powiedziała Moskał po chwili ciszy.

– To znaczy?

– Sara piła kawę tylko w tym kubku z owcą. Lutek o tym mówił głośno...

– Wszyscy mówiliśmy – wybuchł Lutyński. – Może zaraz powiesz, że to ja ją zajebałem? Nie znam tej dziewczyny i w ogóle dlaczego miałyby zrobić krzywdę Sarze? Sama mówiłaś o tym pieprzonym kubku z owcą co najmniej trzy razy! Równie dobrze mogę to zrzucić na ciebie.

– Jak możesz...

– Przestańcie – przerwał Borewicz. – Przecież to niczego nie zmieni.

Karolina Moskal ciężko oddychała, patrząc ze złością na Lutyńskiego, a Paweł Kosowski wciąż ukrywał twarz w dłoniach i wydawało się, że płacze.

Warwiłow zerknęła nerwowo na zegarek. Uciekały cenne minuty.

3

O godzinie trzynastej komenda policji Praga-Północ przypominała atakowaną twierdzę. Machiny oblężnicze w postaci wozów transmisyjnych zasłoniły wjazd na parking, a Warwiłow czuła, że to dopiero rozgrzewka. I było kwestią czasu, kiedy dziennikarze zorientują się, że właśnie ona, szczupła i ciemnowłosa, w zwykłym granatowym płaszczu, prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Sary Kosowskiej.

Jeszcze jednak można było się przebić. A kiedy dotarła do budynku, nawet nie zajrzała do swojego pokoju, tylko skierowała się prosto do gabinetu Białka.

Niedługo trwało bezkrólewie w Wydziale Dochodzeniowym po odejściu inspektora Matkowskiego. Kiedy Nina wróciła z urlopu macierzyńskiego, w biurze naczelnika powitał ją Aleksander Białek, który razem z nią zaczynał karierę, a w trakcie jej nieobecności przeskokczył kilka progów. Nie musiała przeprowadzać dochodzenia w tej sprawie. Było jasne, że poszybował w górę odrzutem politycznym.

Sam pokój naczelnika nie zmienił się wiele. Widziała tylko mniej książek – których Białek raczej nie czytał, i czuła mniej odoru papierosów – których z pewnością nie palił. Szczycił się zasłużoną opinią jednego z najlepszych sportsmenów na komendzie. Mocno zbudowany i mimo czterdziestki na karku z roku na rok jakby coraz bardziej muskularny. I ta przekłeta woda kolońska, którą pachniał; dziwne, że żadna z dziewczyn nie zwróciła mu na to uwagi, a może właśnie dlatego pozostawał jednym z niewielu kawalerów na komendzie Praga-Północ.

Przynajmniej teraz Warwiłow nie była już w ciąży. I w miejsce nudności, które wywoływał koloński aromat Białka, czuła zwykły dyskomfort.

Nowy naczelnik wbił w nią spojrzenie, kiedy weszła.

– Jak stoisz z czasem? – zapytał.

– Bardzo źle. – Opadła ciężko na fotel. – Nie powinnam tego brać.

– Ale jesteście najlepsza.

Pod jej nieobecność Białek musiał naczytać się motywacyjnego chłamu; takie właśnie teksty podrzucał jako szef dochodzeniówki: „Tylko ty możesz wykorzystać swój potencjał”, „Nie poddawaj się przy pierwszej przeszkodzie” i podobne. Nawet jeśli to było sztucznością i działało tylko na szczególnie nieopierzonych funkcjonariuszy, stało oczko wyżej od szowinistycznego bełkotu, którym częstował ją przez pierwsze kilkanaście lat znajomości.

Ten nowy Białek budził w niej ambiwalentne uczucia; stary był bardziej chamski, ale jakoś spójny wewnętrznie, nowy – superuprzejmy, za to nie ufała mu za grosz.

– Sara Kosowska. Będzie bałagan – powiedział ze współczuciem w głosie. – Widziałem ją w *Po trzecie kochaj*.

– Ja też. Nawet w kinie na tym byłam.

– Tak... I jeszcze w tym bzdurnym thrillerze, akcja rozgrywa się w Bieszczadach, a tak naprawdę w głowie głównego bohatera.

– *Mgła*.

– Ano tak. Pomyślałem, że to bardzo odpowiedni tytuł.

Warwiłow uśmiechnęła się uprzejmie.

– Kosowska zginęła w tym filmie dość wcześnie – powiedział Białek.

– Wydaje mi się, że to raczej komedie były jej specjalnością.

– Co jeszcze robiła?

– Telewizja, reklamy, pewnie jakieś występy za kasę...

– A, wiem, gdzie ona jeszcze grała – wtrącił Białek. – Tę wyszczekaną małą w *Spotkaniu w cztery oczy*.

– *Rozmowie w cztery oczy* – poprawiła. – Tak. Amelkę Borowiec. To był prawdziwy tasiemiec.

– Niektóre odcinki były całkiem śmieszne.

– Tam grała jeszcze za dzieciaka.

– Właśnie, wydaje mi się, jakby ona pojawiała się w telewizji od zawsze.

– Aleks – powiedziała Warwiłow, lekko już zmęczona. – Możemy tu sobie plotkować, ale Sara Kosowska rozkłada się właśnie jak zwykły trup, a czas leci.

– Tak. I prasa już wyje – dodał, wskazując głową za okno, pusty gest, bo widok miał przyjemny, na zielen z dala od ulicy Jagiellońskiej.

– Więc widzisz, w co mnie wrabiasz – skwitowała.

– Wystawiam najmocniejszą zawodniczkę.

– Aleks, skończ z tymi tekstami, proszę cię...

– Dlatego że muszę mieć szybko wyniki – dokończył, uciekając nieco wzrokiem.

Wiedziała, co teraz nastąpi. Co gorsza, już zastanawiała się, co zrobić z Milą.

– Chcesz podejrzanego z łapanki?

– Wytypowałaś już kogoś?

Zamilkła. Musiała poczekać na Chodkowskiego, który sprawdzał zgłoszenie Sary Kosowskiej sprzed roku.

– Sześciu – burknęła. – A pierwszy to Gargamel.

– Im szybciej ta sprawa zejdzie nam z tapetu, tym łatwiej będzie nam się żyło. Oddam ci ten weekend, Nina, obiecuję.

Po wyjściu z gabinetu Białka skierowała się prosto do Chodkowskiego. Starszy aspirant zajmował teraz osobny pokój, który lubiła za wyjątkowo dużo roślin. Skrzydłokwiat, monstera, hoja, języki teściowej, a nawet trudna do utrzymania paprotka. Chodkowski kochał opiekować się zielenią, a dzięki temu miał tu najlepsze powietrze na komendzie.

Sam aspirant zmienił nie tylko pokój w trakcie jej nieobecności. Ściął nędzne resztki włosów, wreszcie pozwolił sobie na kilkudniowy zarost i zupełnie nie była przygotowana na to, że przeistoczy się znienacka w przystojnego faceta.

Wiedziała, że nie jest w tym spostrzeżeniu odosobniona: wyczuwalne stało się zainteresowanie funkcjonariuszek Chodkowskim, który wciąż był kawalerem. A może nawet singlem. W zasadzie Karol Chodkowski, jej podwładny od zawsze, stał się nagle świetnym materiałem na partnera. Zdolny i pracowity policjant bez patologii na koncie, przy tym kapitalnie gotował.

– No i? – zapytała, podchodząc do jego biurka.

– Znalazłem. – Nie oderwał wzroku od monitora. – Powiedzieli prawdę. Sara Kosowska była tu trzykrotnie. Dwa razy w 2013 i raz w 2014 roku. Dziwne, że jej nie widziałem. I szkoda. Listy, maile... – Pokazał Warwiłow przybrudzoną kartkę zapisaną pismem komputerowym.

– „Nie mogę żyć, kiedy ty żyjesz, zgnilizno” – przeczytała.

– Tak. Groźby wysyłane z różnych kont i różnych adresów IP. Co ona temu człowiekowi zrobiła?

– Być może nic i to zwykła żółć.

– Albo coś konkretnego, czego jeszcze nie wiemy.

– Czy nasz stalker może być mordercą? – zapytała.

– Nie mam pojęcia, takie rzeczy się zdarzają. Pamiętasz tę modelkę, Agnieszkę Kotlarską? Została zamordowana przez psychofana. Też nie brała tego wystarczająco poważnie, nie zgłosiła nawet na policję, a potem facet dźgnął ją nożem. Często pogróżki są zresztą wysyłane przez kogoś będącego w pobliżu.

– W pobliżu ofiary?

– Tak.

Zamilkła na chwilę.

– Jeśli Sara Kosowska została otruta – powiedziała – to wymagało to przygotowania.

– No teraz rozmawiamy o otruciu...

– Co chcesz powiedzieć?

Chodkowski wzruszył ramionami.

– Jest prostsze wytłumaczenie jej śmierci – rzucił. – Sara całą noc piła, może ćpała...

– Twierdzą, że nie.

– Nie uwierzę im, dopóki nie zobaczę wyników z sekcji. To nie jest takie niesamowite, żeby umarła i zasłała po nocy imprezowania, uwzględniając fakt, że byli w Koktajlu.

– Co masz na myśli?

– Chyba dawno nie miałaś do czynienia z narkotykowymi. A może to lepiej. To miejsce od dawna powinno być zamknięte i nie mam pojęcia,

dlaczego nikt tego nie rusza. Serio, za bardzo nie można nawet podejmować tematu Koktajlu. Odradzono mi to.

Zamilkła.

– Dobra, zostawmy na razie ten wątek – powiedziała. – Fakty. Do jutra chemicy powiedzą, co było w kawie.

– Okej. – Chodkowski wzruszył ramionami i pociągnął łyk wody.

– Ta bezimienna dziewczyna... nie potrafię zrozumieć, jak mogli o niej zapomnieć.

– Byli w szoku.

– Mówimy jednak o amnezji u czterech osób naraz.

– Imprezowali całą noc i nie spali – powiedział. – I byliśmy na miejscu czterdzieści minut po zdarzeniu.

– To prawda.

– Ale to oczywiście dziwne, nie będę się z tobą spierał. Szczególnie że Lutyński wyglądał na dość przytomnego. A to on ją przyprowadził.

– Może właśnie dlatego nie chciał o niej powiedzieć.

– Narażając się na większe podejrzenie? Nie wpadłby na to?

– Może jest tępy.

Chodkowski niepewnie pokiwał głową.

– Znajdź tę bezimienną, to teraz absolutny priorytet – powiedziała.

– Jak?

– Nie wiem. Mamy opis?

– Tak. Niewysoka, ciemne włosy, spodnie z wysokim stanem i trampki...

– Mało. Sprowadź świadków i niech Kańczała sporządzi portret pamięciowy. Jak będzie marudził, podrzuć mu coś ze śledztwa, lubi to.

– Okej.

– I sprawdź koniecznie punkty usługowe wokół placu Konesera. Jak będziesz miał ten portret, przejdź się po okolicy, może coś kupowała, może ktoś coś zapamiętał. Musisz ustalić jej tożsamość i musisz to zrobić dzisiaj.

– Będzie ciężko.

– Powiedz to Białkowi. – A po chwili dodała: – Karol, wiesz tyle, ile ja. Lecę.

- Znowu? – Zerknął na płaszcz i torebkę, które trzymała w ręku.
 - Widzimy się za dwie godziny. Poradzisz sobie.
- Chodkowski już nawet nie skomentował.

4

Trzy godziny po zakończeniu przesłuchania w mieszkaniu Sary wciąż nie mogli się rozstać, jakby jej śmierć skleiła ich na dobre. A może nikt nie chciał zostać sam na sam z własnymi myślami. Pod dyktando rysownika pomogli sporządzić na komendzie portret dziewczyny z Koktajlu, następnie skryli się w dwupokojowym mieszkaniu Pawła i Karoliny, w kamienicy usytuowanej naprzeciwko wejścia na teren fabryki Soho.

Zza okna dochodził odgłos samochodów wyjeżdżających dziury na nawierzchni ulicy Mińskiej. Borewicz na balkonie palił papierosa za papierosem, Paweł leżał na kanapie bez ruchu, choć Karolina wiedziała, że nie śpi, a Lutek siedział z nosem w telefonie.

Była koszmarne zmęczona, ale zdawała sobie sprawę, że muszą coś zjeść. Ponieważ nikt nie podejmował tematu, ugotowała makaron i dodała do niego leczo upichcone przez Pawła dwa dni wcześniej. Zjedli jednak tylko ona i Lutek, Borewicz ledwo co skubnął, a Paweł w ogóle odmówił. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, wzięła pilota, a potem przełączyła na MTV, żałując, że nie pokazują już tam teledysków.

Ironią losu było, że tak właśnie, zawsze razem, spędzali swoje najbardziej beztrudne dni. Na początku studiów zaczynali imprezować już w czwartek, apogeum nadchodziło w piątek, a później wszyscy leżeli na wytartej sztruksowej kanapie, czekając, aż Borewiczowi uda się ukraść sygnał kablówki od sąsiada z góry. Potem, kiedy mieli już dom w Duchowie, jeździli tam ze scrabble'em i kartonem wina z Tesco, a z weekendu wracali solidnie zmalretowani, za to zrelaksowani śmiechem.

– Telewizja? – zapytał Borewicz, kiedy po raz enty wrócił z papierosa, za każdym razem coraz bledszy.

Nie zareagowała, wiedząc, że kilka minut po paleniu bywa nerwowo.

– Serio, Karo? – podjął.

– A co mamy robić?

– Przestańcie – mruknął Lutek.

– A ty co widzisz w tym swoim telefonie? Co on ma, czego my nie mamy? – zapytał Bartek.

– Więcej niż ty na balkonie.

– Oglądam kawałek prawdziwego świata. I myślę o Sarze.

– Chcesz się przed nami popisać? – rzuciła Karolina. – Że z powodu Sary zatrujesz się petami na śmierć?

Borewicz poczerwieniał.

– Karolina... – jęknął Paweł cicho.

– Ona ma rację, Bartek, odpuść – podjął Lutek. – Nic nie da, że zaczniecie się teraz kłócić. Sara... – urwał. Wyraźnie nie mógł jednak skończyć zdania.

Karolina i Borewicz patrzyli na niego w napięciu, ale Lutek wyglądał, jakby słowa zaczęły go dusić od środka.

Ocknął się za to Paweł.

– A mnie się wydaje, że to jest jakaś porębana gra – powiedział, siadając na kanapie. Na prawym policzku odciśnięte miał czerwone pręgi, ślady po poduszce. – Albo film. I że już to kiedyś widziałem. Wicie, co jest najgorsze? Chce mi się śmiać.

Patrzyli się na niego wszyscy, kiedy wstał, podszedł do lodówki i zapalniczką otworzył sobie butelkę piwa.

– Ktoś chce? – A kiedy nikt nie odpowiedział, usiadł na krześle przy stole i dodał: – Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Karolina poczuła kolejną falę zaniepokojenia. Paweł odcinał się od świata zewnętrznego, widziała, jak to zrobił po śmierci matki. Nie mogła sobie nawet wyobrazić tego, co robi jej narzeczony, kiedy tama puści.

– Chryste, Paweł – skomentował Lutek, kręcąc głową. – Ja sam jestem raczej wściekły na tę dziewczynę.

– To znaczy twoją dziewczynę – powiedział Borewicz.

– Nie moją, bo nawet nie wiem, jak ma na imię. Zresztą ty pierwszy z nią rozmawiałeś w klubie.

– Naprawdę myślisz, że mnie zainteresowała?

– Przecież nie wiemy, czy ona coś zrobiła, nie? – dodała Karolina. – Niby dlaczego?

– Dlaczego? – zapytał Borewicz. – Pewnie jest pełna jadu i nienawiści, jak połowa tego kraju. Z jakiegoś powodu stwierdziła, że Sara ma umrzeć, a przez Lutka do niej dotarła i...

– Kurwa, jeszcze raz tak powiesz, Bartek... – Lutek wstał.

Gwałtownie oddychał. Borewicz powinien być mądrzejszy. Wszyscy widzieli przecież, jak rok temu w pawilonach za Nowym Światem dwóch chłystków obraziło Sarę. Następnie Lutek na chłodno wyprowadził cztery precyzyjne ciosy, po których tamci leżeli na ziemi, trzęsąc się, a na koniec jeszcze kopnął jednego z nich. Przepraszał potem za to zachowanie i twierdził, że nie pamiętał tego kopniaka. Nigdy nie miał jednak szans, pomyślała Karolina, a to dlatego, że Sarę zwykle pociągał wygląd, a nie charakter. Jej ideałem, co wiedziała od niej samej, był bliskowschodni typ w stylu Borewicza.

– To co zrobisz? – powiedział teraz z niemiłym uśmiechem Borewicz i to wystarczyło.

Lutec odepchnął go, Bartek stracił równowagę i poleciał prosto na kaloryfer. Podniósł się, masując sobie głowę.

– Lepiej ci się zrobiło? – zapytał.

– A tobie?

Na twarzy Lutka malowało się niedowierzanie, ale potem pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Usiadł z powrotem, a dłoń powędrowała mu do kieszeni po telefon.

– Ty idioto – mruknął – mogłem ci zrobić krzywdę. Nie podkładaj się tak więcej.

– O to chodzi – powiedział Borewicz. – Żebyście zrozumieli, że życie toczy się dalej, że nic się nie skończyło. To jest też do ciebie, Paweł. Pochowamy Sarę, rozsypimy jej prochy w Duchowie...

– Bartek... – Karolina usiłowała przerwać te perory. Dzisiaj nie było miejsca na przedstawienie pod tytułem czarny humor Borewicza. Rozumiała, co usiłuje zrobić, ale było zdecydowanie za wcześnie.

– A potem pójdziemy na proces, żeby mieć poczucie, że ktoś poniesie za to odpowiedzialność. I będziemy starali się żyć dalej.

– Jest! – powiedział Lutec podniesionym głosem.

– Co jest?

– Wiedzą już o tej lasce, na Onecie piszą o przeciekach z policji. Kurwa, jak sobie przypominam te wiadomości, które wysyłała Sarze...

– Lutek, przecież nie wiemy, czy to ona. I skąd wiedziałaby, że jest z tobą Sara? – zapytała Karolina.

Nikt nie skomentował.

– To znaczy piliście przy barze, a my ciągle tańczyliśmy... – wyjaśniła. Lutek poczerwieniał.

– Mogłem jej o tym wspomnieć. Nie wszystko pamiętam z Koktajlu.

Zapadła cisza.

– Myślicie, że... – zawahał się – ta dziewczyna wykorzystała mnie, żeby dotrzeć do Sary?

Paweł wgapił się w niego, ale nie powiedział ani słowa.

– Nawet jeśli – odezwała się Karolina, bo ktoś musiał – to nie jest twoja wina. Nie mogłeś tego wiedzieć.

Lutek skakał wzrokiem od jednego do drugiego, jednak nikt się już nie odezwał. Karolina wiedziała, jak podłe byłoby teraz zrzucenie na niego winy. Spojrzała na dłonie Lutka, na krew w miejscu, gdzie Borewicz przywalił w kaloryfer, i nagle przeniknęło ją bardzo niemiłe uczucie, że to ostatni raz spędzany w takim gronie.

I tak w ostatnich latach nie przebywali ze sobą tak często jak wcześniej. Sara miała zdjęcia, próby i znowu zdjęcia. Lutek swoje biznesy, śniadania biznesowe, lunchy biznesowe, forexy, kapexy, opexy i inne exy, z których nic nie rozumiała, poza tym, że stale tracił i odzyskiwał worek wirtualnych pieniędzy. Borewicz zaś kręcił reklamówki, z roku na rok coraz bardziej sfrustrowany niewykorzystaniem potencjału artystycznego. Przynajmniej jednak u wszystkich coś się działo. Tylko oni z Pawłem stali w miejscu i w sylwestra życzyła mu, żeby 2015 przyniósł im zmiany. A teraz tego żałowała.

5

Od powrotu do pracy na początku stycznia życie komisarz Niny Warwiłow nabrało szalonego i chaotycznego tempa. Zastanawiała się nawet, jakim cudem nie chodzi w dziurawych rajstopach, a bluzki ma dość rzadko utyłane jedzeniem Mili. Chyba tylko dlatego, że uruchomiła w sobie pewien automatyzm, funkcjonując jak zrobotyzowana samotna matka.

Dzisiaj musiała przebić się z Jagiellońskiej na kąśliwie zakorkowaną Targową, a potem równie irytującym stojącym Wałem Miedzeszyńskim aż na Saską Kępę. Stąd do szesnastej powinna odebrać Milę ze żłobka, parkując na zakazie, aby później, w wolnej chwili, zadbać o usunięcie ewentualnego mandatu. Niczego w tych operacjach nie ułatwiał nieczynny most Łazienkowski. W dziwnych okolicznościach spłonął miesiąc wcześniej, co sparaliżowało życie mieszkańców Pragi.

Po odebraniu Mili, już nieco mniej zakorkowanym fragmentem miasta, Nina musiała przedostać się na grochowski skwer Paca, gdzie obecnie mieszkały. Tam powinna małą dokarmić, pobawić się z nią trochę, no i czekała ją jeszcze robota. Praca dochodzeniowca zawsze rozpychała się na boki poza regulaminowe osiem godzin, bliżej wymiaru półtora, a nawet dwóch etatów naraz.

Komisarz Nina Maria Warwiłow była teraz trzydziestodwuletnią z uświnionymi ubraniami, za to bez ciekawego życia, które prognozował fakt bycia singielką po raz pierwszy od kilkunastu lat. I w zasadzie mogła jeszcze funkcjonować tylko dzięki szesnastoletniej sąsiadce z tej samej klatki schodowej. Arleta Bąk, normalna praska dziewczyna, nie żadna blaza z Saskiej Kępy, opiekowała się Milą tak samo jak przedtem swoim młodszym rodzeństwem, tylko że tym razem za pieniądze. Zajmowała się małą wspaniale i była prawie zawsze dostępna. Warwiłow zdążyła co prawda wyniuchać, że te pieniądze są rodzinie Arlety potrzebne i większość nie zostaje w kieszeni dziewczyny. Po konfrontacji nastolatka zamilkła, zaczerwieniła się, a potem obie udawały, że nic takiego się nie wydarzyło.

Dzisiaj też Arleta ratowała jej skórę, bo śledztwa w sprawie śmierci Sary Kosowskiej nie można było odstawić na bok, choćby bardzo tego chciała. Warwiłow zaparzyła sobie entą kawę w snobistycznym ekspresie, pozostałości po związku z Tomkiem. A potem cichutko, żeby tylko Mila nie zobaczyła, że matka się wymyka, i z tej okazji nie urządziła awantury, ruszyła z powrotem na Jagiellońską 51.

Tak jak przewidywała, o godzinie siedemnastej praska komenda znajdowała się już w całkowitym oblężeniu. Prawdopodobnie i ona straciła anonimowość jako prowadząca sprawę, w końcu „Nina Warwiłow” i tak było hasłem dobrze znanym warszawskim reporterom śledczym.

Wozy transmisyjne zablokowały wjazd na komendę i Warwiłow czuła, że nikt tego nie ogarnia. Praska komenda, stojąca na absolutnych peryferiach miasta, zwyczajnie nie była przygotowana na ten najazd medialnych barbarzyńców. Tylko jeden funkcjonariusz pilnował wejścia, gdzie stłoczyło się kilkadziesiąt osób.

Ktoś powinien za to dostać opieprz. Teraz jednak, co wydawało się wyjątkowo złośliwe, Warwiłow musiała znaleźć sposób, żeby przebić się do pracy, w której miała spędzić długie nadgodziny. Przez moment przeszło jej przez myśl, żeby zamiast tego odjechać stąd, wrócić do domu i zwolnić Arletę z jej dobrze płatnych obowiązków. Białkowi nagadać później, że nie mogła się przebić, być może zwalając to na funkcjonariusza z prewencji przy bramie, który i tak miał przechłapane.

Zamiast tego Nina zaparkowała prywatną mazdę na kawałku trawnika kilkadziesiąt metrów od komendy, zmienionego dzisiaj w błotniste chaotyczne parkowisko. Wyszła z samochodu i przystanęła koło młodego faceta, usiłując wyłapać moment, żeby przebić się do przodu z odznaką.

Nie zdążyła. Wydawało jej się, że nikt na nią nie patrzy, ale chwilę później gość odwrócił się w jej stronę z uśmiechem na ustach.

– Komisarz Warwiłow, prawda?

Nie odpowiedziała. Specjalnie go to nie zraziło.

– Czy znana jest przyczyna śmierci Sary Kosowskiej? – zapytał.

– Co...

– Znacie już motyw?

– Przepraszam, ale kim pan jest?

Nie miał żadnej plakietki, za to znakomity styl: piaskowy płaszcz z podniesionym kołnierzem, blond włosy gładko zaczesane do tyłu. Był wysoki i nawet odpowiednio przygarbiony.

– Piotr Żółtowski – przedstawił się, tak jakby to cokolwiek wyjaśniało. – Jacyś pierwsi podejrzani?

– Z której pan jest gazety? – powiedziała, rozglądając się nerwowo.

Wysoka dziennikarka już odwróciła się w ich stronę, przypatrując się Warwiłowi, ale chyba jej nie rozpoznała.

– Z żadnej – uśmiechnął się. – Mam przyjemność pracować jako niezależny dziennikarz śledczy.

– Aha. Ile pan ma lat w ogóle?

Zacząła przebijać się do przodu przez tłumek, usiłując zyskać na czasie i mając nadzieję, że zostawi gościa z tyłu.

Nadzieja okazała się płonna, Żółtowski rozdał łokcie na prawo i lewo i wciąż trzymał się blisko.

– Wystarczająco – odpowiedział jej na pytanie. – A na Facebooku mam trzysta tysięcy.

– Trzysta tysięcy czego? – Ale zanim wyjaśnił, dodała: – Przepraszam, głupie pytanie. Nie chcę wiedzieć.

Postawna dziennikarka z przypiętą plakietką jednej z największych stacji przysunęła się z mikrofonem z prawej strony. Zaczęło krążyć magiczne hasło „komisarz Warwiłowi”.

– Nie mam już nic do powiedzenia – rzuciła i przepchnęła się w stronę funkcjonariusza, unosząc odznakę. – Proszę mnie przepuścić.

Piotr Żółtowski został gdzieś z tyłu, ale czuła, że przedostanie się na komendę wymagało od niej użycia siły fizycznej. Spocona i wściekła na komendanta, że pozwala na taki bałagan, przemknęła do swojego pokoju. Za szybka na Białka, nie dość jednak na Chodkowskiego.

Wszedł do jej pokoju, zanim zdążyła powiesić płaszcz.

– A więc poradziłeś sobie, Ethanie Huncie? – zapytała, bo na twarzy wypisane miał zadowolenie.

– Chodź ze mną – powiedział, a w drodze do swojego pokoju zaczął jej tłumaczyć: – Technicy jeszcze to czyszczą, ale już mi coś podesłali. Mieliśmy fart.

– To znaczy?

– Zaszedłem z tym portretem między innymi do Żabki przy kinie Praha.

– Dlaczego tam?

– Zatrzymali się na śniadanie tuż obok, przed zaćmieniem. I najwyraźniej dziewczyna wyskoczyła z knajpy, żeby kupić papierosy, zapamiętał ją sprzedawca.

Weszli do pokoju starszego aspiranta, na jego biurku leżały wydruki.

– Nie zostawiaj tak bez opieki – ostrzegła, przeglądając zdjęcia. Twarzy prawie nie było widać. – Tu niewiele – zauważyła.

– Nie, ale zaraz będzie lepiej. – Chodkowski usiadł do komputera. – O, już przesłali – powiedział i przez chwilę zajadłe klikał myszką.

Czekała cierpliwie.

– Wiesz, co jest najlepsze? – zapytał.

– Mów.

– Sprzedawca uznał, że dziewczyna jest nieletnia.

– Tak młodo wyglądała?

– Najwyraźniej. A kupowała papierosy. I poprosił ją o dowód, taki porządniak.

– A w Żabce...

– Są kamery – uśmiechnął się Chodkowski. – Zaskakująco przyzwoite. I chyba to mamy.

Podszedł do drukarki i podał Warwiłow wydrukowane zdjęcie, czarno-białe, o jakości adekwatnej do kamery przemysłowej. Ale Nina nie mogła narzekać. Widziała fragment dłoni i dowód osobisty. Widziała krótkie ciemne włosy, kawałek nosa i ust, wszystko dość nieostre. Ale dane na dowodzie dało się przeczytać.

– Marta Jesionek – wyrecytowała.

– Zgadza się.

– Adres i miejsce pracy – powiedziała. – A także ulubiony kolor skarpetek, jaką pija herbatę i o czym marzyła jako dziecko. Za godzinę chcę

wiedzieć o tej dziewczynie wszystko.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Idę pogadać z oficerem prasowym, bo ten bałagan z mediami mnie niepokoi – oznajmiła Warwiłow, wychodząc z pokoju znacznie bardziej zadowolona z życia niż pięć minut wcześniej.

Kiedy jednak wróciła po trzech kwadransach, Chodkowski nie wyglądał już tak zwycięsko.

– Nic – powiedział. – Zero pracy, zero adresu. Tylko ten z zameldowania, chyba u rodziców.

– Masz?

– Tak. I telefon.

– No to dzwonimy.

Warwiłow wybrała numer, odczekała pięć sygnałów i w końcu usłyszała miły głos po drugiej stronie. Wtedy bardzo łagodnie wytłumaczyła, że dzwoni w sprawie śledztwa, ale że nic złego się nie dzieje. Że Marta Jesionek jest poszukiwana jako świadek. Chociaż jej matka nie wydawała się przerażona. A nawet specjalnie zdziwiona.

– Pomogę – powiedziała cicho.

– Proszę przejść na tryb głośnomówiący. Chciałabym, aby mąż również został włączony do rozmowy.

Jesionkowie, mieszkańcy małej wsi pod Iławą, wypowiadali się dość nieskładnie.

– Martwiliśmy się o Martę – mówiła kobieta, a jej mąż czasem wtrącał słowo, czasem jakieś dziwne stęknienia, ni to na znak zgody, ni to protestu. – Z nikim się specjalnie nie przyjaźniła, ani u nas, ani w Iławie, a od kiedy mamy internet... cały czas siedziała w komputerze.

– A potem?

– Nie rozumiem – powiedziała pani Jesionek.

– Wyjechała do Warszawy, żeby studiować... – podsunęła Warwiłow.

– Ale studia zaważyła – wtrącił pan Jesionek.

– Mimo to nie chciała wracać – skomentowała jego żona.

– Chociaż nie miała żadnej stałej pracy – dodał mężczyzna.

– Czy państwo ją wspierali finansowo? – zapytała Warwiłow.

– Nie.

– To z czego żyje?

– Coś z komputerami – powiedziała pani Jesionek. – Nigdy tak naprawdę nie zrozumiałam, czym dokładnie się zajmuje. Ale zawsze mówiła, że w Warszawie jest wielki świat, że tu mieszkają najsłynniejsi aktorzy i aktorki. Sama uczęszczała tam do szkoły aktorskiej...

– Akademia Teatralna?

– Nie, jakieś prywatne studium. Nie znam nazwy, bo nam jej nie podała. Wydaje mi się, że zapisała się tam i obyło się bez egzaminu. Ale przerwała naukę.

– Dlaczego?

– Mówiła, że wszystkim rządzą układy, że nie dostanie żadnej roli – powiedział pan Jesionek. – Chyba nie miała też wystarczająco pieniędzy na chesne. Niestety nie mogliśmy jej wspomóc. Mówiła, że jest nikiem, oczywiście przekonywałem, że to nieprawda. A ona swoje, że ciągle widzi szczęśliwych znanych ludzi na Nowym Świecie.

– Albo Saskiej Kępie – dodała żona. – Często przesiadywała na ulicy Francuskiej.

– Tam mieszka? – podłapała Warwiłow.

– Nie. Nie wiemy, gdzie mieszka.

– Nie – potwierdził mąż.

– Często rozmawiacie?

– Bardzo rzadko do nas dzwoni.

– Ma kogoś bliskiego? – zapytała Warwiłow, powstrzymując cięty komentarz. – Chłopaka? Przyjaciółkę?

– Chyba nie – powiedział pan Jesionek, a po chwili dodał zaskakująco szczerze: – Nie wiem, dlaczego tak się stało. Może dlatego, że nie udało nam się z drugim dzieciakiem.

– Andrzej... – szepnęła jego żona.

– Może dlatego Marta jest taka samotna.

– Przestań, Andrzej.

– Przepraszam.

– W każdym razie nasza córka na pewno nic złego nie zrobiła – oznajmiła pani Jesionek.

– Motyw nienawiści? – zapytał Chodkowski, na którego obliczu malowało się lekkie znużenie. Przez pierwsze lata służby aspirant uchodził za żelaznego człowieka. Teraz widziała na jego twarzy zmarszczki, zmęczenie i ten sam zielonkawy kolor, który już dawno zagościł na jej twarzy.

Przełknęła ślinę.

– Nie wiem – powiedziała. – Poznali się z Lutyńskim nad ranem w klubie nocnym.

– Mogła go wcześniej obserwować.

– Chyba nietrudno było znaleźć przyjaciela Kosowskiej – zamilkła, po czym dodała: – Wiesz co, wprowadź w wyszukiwarkę frazę. Dokładnie taką: „przyjaciel Sary Kosowskiej”. Zobaczymy, co wyskoczy.

– Jest – poinformował po chwili Chodkowski. – Michał Lutyński pojawia się na piątej karcie grafiki.

– I jak już wiemy, jest raczej ekstrawertykiem.

– No, na takiego wygląda.

– Może znać połowę miasta.

– Więc druga połowa zna jego. Poza tym z pewnością się wygadał, że przyjaźni się z Sarą Kosowską. Gość był rozmowny nawet w godzinę po jej śmierci. A co z kubkiem po frappé?

– Jeszcze nie wiedzą w laboratorium, ale podobno coś tam jest – odparła Warwiłow. – Trzeba przesłuchać Martę Jesionek, przede wszystkim nie pozwolić, by związała. Wyciekło już do prasy, że szukamy szóstej osoby z przyjęcia.

Chodkowski spojrzał na nią. Ale to było głupie, że milczała, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Obydwoje wiedzieli, co powinna zrobić. Przełknęła ślinę.

– Dobra, załatwię to u Stassberga – powiedziała.

6

Od wczoraj Bartek Borewicz czuł się jak bohater jednego z tych filmów, których reżyser nie ma pojęcia, co robi, albo właśnie to jest jego pomysłem na film. W zasadzie – doszedł do wniosku – był bohaterem jednego z ostatnich dzieł Jima Jarmuscha. Otaczająca go rzeczywistość kompletnie pogubiła swój scenariusz. Z balkonu mieszkania na Mińskiej dostrzegł, że pod kamienicą rozpleniła się kolonia dziennikarzy – szybko zorientowali się, gdzie mieszka brat Sary Kosowskiej.

Musieli coś postanowić. A wtedy Karolina podsunęła ten pomysł i wszyscy się zgodzili.

Udali się do kościoła. Sara jako jedyna z nich regularnie chodziła na msze. Borewicz w zasadzie urodził się ateistą, nie otrzymał nawet chrztu, Paweł odszedł od religii już dawno, a stosunek Karoliny oraz Lutka był Bartkowi nieznany, choć z pewnością obydwójce byli kiedyś katolikami. Ale chyba wszyscy poczuli teraz, że kościół będzie właściwym miejscem.

W efekcie chronili się obecnie w nawie praskiej katedry na Floriańskiej, w ciszy i chłodzie. Paweł, znowu niepokojąco cichy, siedział przyciśnięty do Karoliny, a po prawej stronie Borewicza zwyczajnie zasnął Lutek. Przez moment kompletnie nie wiedział, co się dzieje, kiedy obudzili go po dwóch godzinach.

Sam Borewicz nie potrafił odciąć się choć na chwilę, mimo że następnego dnia startował ze zdjęciami do nowego spotu. Na telefonie miał nagrane jedenaście wiadomości od producenta.

Może nadszedł właściwy moment, żeby rzucić tę pracę? Nie mógł teraz o tym myśleć. Jednak tydzień wcześniej producent o imieniu Krystian, stary maleńki w obcisłych dzinsach, zaoferował mu udział w trzech kolejnych reklamach.

- Klienci są zadowoleni – powiedział.
- Dzięki.
- Rzadko trafia się u nas taki zdolny filmowiec... to jest...
- Wiem, o co ci chodzi.

– No świetnie – uśmiechnął się Krystian. – Jesteśmy umówieni?

– Nie.

Producent całkiem filmowo wytrzeszczył gały.

– Nie rozumiem.

– Przepraszam – powiedział Borewicz, zastanawiając się, co robi – ale nie będę dla was dalej pracował po tym zleceniu.

– Ale... przecież zaoferowaliśmy ci stabilny angaż.

– Właśnie dlatego nie mogę tego przyjąć – odparł i odszedł, zostawiając Krystiana kompletnie osłupiałego.

Nie zamierzał mu tłumaczyć, że gdyby to przyjął, stałby się pełnoetatowym twórcą reklamowego gówna. I zmniejszył prawdopodobieństwo nakręcenia czegoś serio, na co pojawiła się ostatnio duża szansa. Mimo to już godzinę po rozmowie trudno było mu uwierzyć, że w sekundę odrzucił stabilność i perspektywę wygrzewania się w Indiach tak długo, jak będzie chciał, i trenowania jogi w indyjskich klasztorach tak długo, aż zmieni się w ludzką plastelinę. Za to znacznie przybliżył wizję powrotu do domu rodzinnego, z którego dopiero niedawno się wyprowadził.

Podobnie postąpił godzinę temu, gdy sprowokował Lutka – czasami nie wiedział, co robi, po prostu to robił. Dopiero po fakcie pomyślał, że chyba rzeczywiście udało mu się obudzić wszystkich z letargu po śmierci Sary.

Żałował, że w kościele nie można palić. Lutek chrapnął. Pani, która modliła się dwie ławki przed nimi, odwróciła się zdenerwowana. Borewicz wzruszył ramionami, usiłował się skupić na architekturze, na tych sklepieniach gotyckich. Jeszcze z godzina do papierosa, pomyślał, a dwie do snu, którego potrzebował coraz bardziej.

Kiedy opuścili katedrę, było już całkiem ciemno, światło latarni odbijało się od pokrytego mosiądzem pomnika Kapeli Praskiej. Na sąsiadującym skwerze, nakręcone wiosną i wysoką temperaturą, zbierały się grupki ludzi, przy których trzydziestoletni Borewicz czuł się stary.

W zasadzie nie wiedziałaby, o czym gadać z dzieciakami, którym telefony zastąpiły mózgi, jakim cudem miał więc robić skierowane do nich

reklamy? Czy hasła „Hitchcock” lub „Polański” mogły im coś powiedzieć? A „Fellini” skojarzyć się z czymś innym niż fellatio?

Stanęli przed kinem Praha, zbici w kupkę, wiało tu chłodem i choć Bartek ze zmęczenia sam ledwo widział na oczy, dostrzegał, że Paweł również cały drży. Milczeli, owiewani wieczornym wiatrem i nawoływaniem się warszawskiej młodzieży. I teraz zamiast pobudzenia i niepokoju wszyscy czuli po prostu smutek. Zaczęli ten dzień jako wielka piątka, a kończyli we czworo. Choć Sara była denerwująca i absorbująca uwagę, fakt, że już nigdy jej nie zobaczy, przesłaniał wszystko inne i do Borewicza pierwszy raz w pełni to dotarło.

– Jest coś nowego? – zapytał Lutka, który pokręcił głową.

Karolina przytuliła się do Pawła, a może to on do niej. Wciąż nie palił, co było niepokojące. A jedyne słowa, które wypowiedział po przesłuchaniu, to te w mieszkaniu kilka godzin wcześniej.

– Nic a nic? – ponowił Borewicz. – Nawet po tym portrecie?

– Nie. Jeszcze nie.

– Przecież to jest dwumilionowe miasto, ktoś musi coś wiedzieć.

Milczenie.

– Czyli rozjazd? – zapytał w końcu Lutek.

Mieszkali w okręgu o średnicy kilometra, na przecięciu dwóch dzielnic. Sara i Borewicz na Pradze-Północ. Lutek, Karolina i Paweł na Pradze-Południe. Wracali razem, kiedy tylko mogli. Trzymali u siebie nawzajem zapasowe klucze, podlewali kwiaty i odbierali pocztę.

Dzisiaj jednak Borewicz odnosił wrażenie, że wszyscy woleliby pobyć osobno. Może nawet Karolina z Pawłem, gdyby mogli. Paweł bywał dla narzeczonej wielkim ciężarem i pewnie łatwiej byłoby jej dzisiaj samej.

Nie mogli jednak i cała czwórka czekała, aż po kolei od strony alei Solidarności i od Targowej pojawią się dwa ubery. Do jednego wsiedli Karolina z Pawłem, do drugiego Lutek. Tylko Borewicz nic nie zamawiał, spod kina Praha miał do siebie dziesięć minut piechotą.

Patrzył, jak odjeżdżają, a potem ruszył Jagiellońską. Lubił te wieczorne spacerki, tu było najwięcej życia w mieście – i życie na Pradze-Północ kryło w sobie gotowe scenariusze. Tylko z przypadków sąsiadów z własnej klatki

schodowej mógłby utkać coś przyzwoitego, choć bardziej w duchu *Domu złego* niż *Na wspólnej*. I nawet gdyby było go kiedyś stać, nie wyniósłby się z Pragi.

Na rogu z ulicą Kępną, przy której mieszkał, Borewicz zapalił kolejnego papierosa. Dwadzieścia metrów przed nim, pomimo zakazu postoju, zaparkował samochód. Wsiadła z niego kobieta w płaszczu i przebiegła przez jezdnię. Borewicz przystanął, wpatrując się w nią ze zdziwieniem: była bardzo podobna do policjantki, która przesłuchiwała ich dzisiaj rano.

Po intensywnym słońcu nie zostało już śladu, kiedy Warwiłow dojeżdżała do siedziby praskiej prokuratury, położonej w dość nieładnej części ulicy Jagiellońskiej. Przewidywała, że Stassberg będzie zły, bo zatrzymała go w pracy. Chociaż to ona miałaby prawo do złości. Sprawa śmierci Sary Kosowskiej była priorytetowa, a prokurator ulotnił się rano z miejsca zdarzenia, jakby chodziło o kradzież gazety ze stoiska.

Zaparkowała samochód i weszła do dwupiętrowego budynku w kolorze wyblakłej zieleni. W środku szybko pokonała dwa piętra, weszła do gabinetu Stassberga bez pukania i od razu zobaczyła, że jest już spakowany do domu. Komputer miał wyłączony, papiery – jak co dzień po zakończeniu pracy – uporządkowane i wbijał w nią te swoje stalowobłękitne oczy.

Tak jak wtedy, gdy się poznali, nie potrafiła go rozczytać. Po chwili ułatwił jej jednak zadanie, wymownie spoglądając na sportowy zegarek na nadgarstku.

– Zatrzymujesz urzędnika po pracy – oznajmił.
 – Też jestem urzędniczką – mruknęła, siadając naprzeciwko.
 – Gwoli ścisłości to nie... – zaczął, ale nie miała czasu i cierpliwości, więc weszła mu w słowo:

– Nie pytasz, jak rezultaty śledztwa?
 – A są już jakieś? – odbił piłeczkę, lekko naburmuszony.
 – Nie obawiasz się pytań? – drążyła, a po chwili zrozumiała i sama sobie odpowiedziała: – Nie chcesz, żeby cię pytali, właśnie dlatego utrzymujesz dystans do sprawy.

Wyszczrzył się beczelnie, ale to chyba było lepsze niż obraza.

– Czyżbyś mnie rozgryzła?

Prawda była jednak taka, że znowu, tak jak dwa i pół roku wcześniej, kompletnie nie umiała tego dokonać. Nawet dwuletni związek, połączony ze wspólnym mieszkaniem, zwieńczony nieudaną próbą zaręczyn, nie pomógł jej w odkryciu, jakim człowiekiem jest Maciej Stassberg.

– Jednym słowem, masz to gdzieś – powiedziała.

- Nieprawda.
- Albo masz coś innego na oku? – odgadła.
- Może – odparł. – Choć nie nazwałbym tego innym.
- Wyżej.
- Nie zaprzeczę.
- I nie chcesz sobie nasmrodzić porażką. – Pokiwała głową. – Okej, wystarczy. W każdym razie potrzebuję twojej pomocy.
- To znaczy?
- Myślę, że mamy pierwszego podejrzanego. Ta dziewczyna, która zwała nad ranem z mieszkania Kosowskiej.
- Jaka dziewczyna? Rano widziałem tylko taką krótko ostrzyżoną.
- Karolinę Moskal. Trzeba było nie uciekać z miejsca zbrodni tak szybko, panie prokuratorze. W trakcie przesłuchania świadków okazało się, że na after party pojawił się jeszcze jeden gość. Dziewczyna bez imienia. To znaczy teraz już wiemy, że nazywa się Marta Jesionek.
- I co? Wyszła sobie tak po prostu?
- Tak. I nasza czwórka najbliższych przyjaciół nie wie kiedy – podniosła głos, widząc, że Stassberg chce coś wtrącić. – Ta Jesionek poznała ich nad ranem. I Lutyński zaproponował, żeby dołączyła do grupy, aby imprezować podczas zaćmienia słońca. A kiedy weszli do mieszkania, zrobiło się małe zamieszanie. Sara Kosowska, jej brat i Karolina Moskal wyszli na taras, a Lutyński z Borewiczem pozostali w kuchni, przyrządzając kawę mrożoną.
- Równouprawnienie – skomentował.
- Spojrzała na niego uważnie. Maciej całe życie był rasowym, wręcz znerwicowanym sztywniakiem, a teraz, w obliczu trudnej sprawy, zmienił się w luzaka. Szkoda, że nie mógł taki być w życiu prywatnym. Gdyby przynajmniej jedno z nich było mniej spięte, ich związek miałby większe szanse. W ogóle jej się nie podobał ten nowy Stassberg i nie przewidywała, że długo się utrzyma. A gdzieś z tyłu głowy miała nadzieję, że w ten nastrój wprowadził go obiecany awans, a nie sukcesy w życiu prywatnym. Na to było dla niej jeszcze za wcześnie.
- Podobno Lutyński specjalizował się w robieniu frappé – powiedziała. – A Borewicz chciał mu pomóc.

- Gdzie przebywała wtedy Marta Jesionek?
- No właśnie nie wiemy.
- A czy to ma znaczenie? Nawet nie wiadomo, czy to ta kawa, może narkotyki...
- Kawa – powiedziała Warwiłow z naciskiem. – W laboratorium mówią, że coś tam jest, i zjem własną odznakę, jeśli znalazło się tam przypadkiem.
- Dobra, Nina. Ale nawet jeśli okaże się, że frappé była zatruta, to tylko Borewicz z Lutyńskim mieli do niej dostęp.
- W tym problem, Maciek. Oni opuścili mieszkanie w trakcie przyrządzania kawy, wyszli do sklepu po lód. I widziałeś ten apartament, jest gigantyczny. Jesionek nie było na tarasie według zeznań Kosowskiego i Moskal. Mogła zniknąć w którymś pokoju, a wyjść z niego, kiedy Borewicz z Lutyńskim opuścili mieszkanie, i zrobić z tą kawą to, co chciała. Przypuszczam, że wszyscy robili sporo hałasu. Poza tym ta dziewczyna zwiąła. Dlaczego?
- Może dlatego, że znaleziono trupa.
- Maciek, chyba nie słuchasz mnie zbyt uważnie – zirytowała się.
- Jak ty się do mnie odnosisz? – zapytał, jeszcze niby rozbawiony.
- Jak do głuchego z wyboru. Posłuchaj, ostatni raz wszyscy widzieli tę Jesionek, kiedy dzielili się na grupy. I nie było jej przy znalezieniu zwłok, co oznacza, że nie widziała martwej Sary Kosowskiej. A jednak w którymś momencie uciekła z mieszkania. Dlaczego?
- Stassberg poczerwieniał, ale cieszyła się, że w końcu udało jej się go poruszyć, nawet jeśli musiała w tym celu uderzyć w jego ego. Lubił perorować, że ego jest przekleństwem człowieka, a sam miał zbyt silną relację z samym sobą. Czekala, aż coś powie.
- Nina, czyli nie ma pewności, że w kawie...
- Nie, czekam na wyniki badań, już mówiłam – weszła mu w słowo. – Ale wiem, że jest, i goście z laboratorium twierdzą, że coś tam pływa, co nie jest kawą, mlekiem, wodą ani cukrem. Do czego więc dążysz?
- Może Sarę Kosowską zabiła mieszanka? Alkohol, narkotyki, których nie możemy przecież odrzucić. Do tego ewentualnie jakieś leki, wszyscy teraz coś przyjmują...

– Na tym etapie to niewykluczone, ale Kosowska straciła przytomność od razu po wypiciu frappé – powiedziała. – I wszyscy wiedzieli, że piła kawę tylko w tym kubku z owcą, Jesionek też mogła to usłyszeć. Nie wiem, jak miałyby nie słyszeć. Lutyński obudziłby swoim głosem umarłego.

– Jeśli to ta Marta Jesionek, to imponująco szybko wykorzystwała przychylne okoliczności. Nie mówiąc o tym, że musiała być przygotowana – zauważył Stassberg. – Ale zostawmy to na razie i przejdźmy do motywu.

Przełknęła ślinę.

– W tym momencie mamy zbrodnię nienawiści.

– W statystykach to rzadkość. – Stassberg się skrzywił.

– Ale się zdarza i przecież powiedziałam, że teraz. Może odkryjemy coś więcej. I potwierdziliśmy to u rodziców Jesionek. Dziewczyna była aspołeczna, z rysem socjopatycznym. Rosło w niej poczucie, że innym wiedzie się lepiej. Bez powodzenia próbowała swoich sił w aktorstwie. A Sara Kosowska, sam wiesz. Jak każda gwiazda była aktywna i popularna w mediach i na portalach społecznościowych. Autokreacja na całego, piękne życie, rano na Szeszelach, wieczorem na Bali. U jednych to wzbudza podziw, u innych złość i...

– Nina – przerwał jej. – Mam do ciebie zaufanie jako do śledczej. I wiem, że rozwiązesz tę sprawę, jeśli pozwolimy ci działać. Więc pytanie jest proste: czego ode mnie potrzebujesz?

Wpatrywała się w niego chwilę, zanim odpowiedziała:

– Potrzebuję wystawienia listu gończego za Martą Jesionek.

Pokiwał głową. Wyglądał, jakby chciał zadać jakieś pytanie.

– Tak, jestem pewna – powiedziała szybko.

– Muszę postawić jej zarzuty.

– Tak.

– Złożyć wniosek o tymczasowe aresztowanie.

– Więc zrób to. Nie ma czasu.

Zamilkł i odetchnął.

– Czy to wszystko?

– A mało ci? Maciek, to trzeba zrobić jeszcze dzisiaj.

- Nie masz nawet wyników badań toksykologicznych.
- A prasa zaczęła trąbić o szóstej uczestniczce przyjęcia i dziewczyna może już być za granicą.
- Muszę podzwonić. I zająć czas kilku osób.
- Poczekam. Mój dzień się jeszcze nie skończył. – Nie wiedziała, jak proroctwo okażą się te słowa.

Stassberg biurokratyzował, a Warwiłow wykorzystała okazję, żeby odrobinę odpocząć. Usiadła na krześle i powoli odpłynęła, w zasadzie parę minut wolnego wystarczało, żeby zaczynała śnić. Po chwili, razem ze Stassbergiem, który był w tym śnie pijany, przeszukiwała szafkę w mieszkaniu swojego ojca, Aleksandra Siergiejewicza. Stassberg coś do niej mówił, ale bełkotał i nie mogła go zrozumieć.

- Nina, kurde bele, obudź się.

Otworzyła oczy. Maciek nie wyglądał na zadowolonego.

– Zrobione, teraz pora na sąd – stwierdził. – Nie przyśpieszysz tego, ale będziesz to miała. Więc może pojedź już do domu. Kiedy ostatnio przespałaś całe osiem godzin?

- Nigdy nie spałam ośmiu godzin – burknęła.
- Może powinnaś spróbować. Na przykład w niedzielę.
- To oznacza, że zajmiesz się Milą od rana?
- Tak – powiedział.
- Czyli...
- Od dziesiątej.

Skrzywiła się.

– Ale wrócimy dopiero po południu – dodał szybko. – Cały dzień będziesz mogła odpoczywać.

- Dobra. Ale to, że mam wolne, przekaz jeszcze Białkowi.

- Co z nim?

– A co ma być? – zapytała. – Na maksa chce się wykazać. Wszyscy szepczą, że nie powinien mieć tej pozycji, więc chce udowodnić, że na nią zasłużył. Myśli, że jeśli szybko nie rozwiąże sprawy Kosowskiej, to zbierze baty.

- A jak jest naprawdę?

– Prawda jest taka, że muszę pracować w weekend. W idealnym świecie Białka dostarczam mu mordercę do niedzieli, a ty w poniedziałek przygotowujesz piękny i klarowny akt oskarżenia.

– To się okaże.

– Co ty nie powiesz?

Zamilkł, przetrawiając jej ironię, i szarpnął ramieniem w marynarce, co nieco ją uspokoiło. Wróciła na stare terytorium, Stassberg luzak wprowadzał w niej niepokój. Wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć, zamiast tego odetchnął i odchylił się na krześle. Przeczowała, że Maciek chce zmoderować tę dyskusję.

– Prawdę mówiąc, mam gdzieś Sarę Kosowską, ale interesuje mnie Nina Warwiłow, która jest najlepszym śledczym na Pradze-Północ i właśnie dlatego musi zapieprzać w weekendy. Do szpitala też pewnie cały czas kursujesz? Nina...

– Maciek, pogadajmy w niedzielę.

– Martwię się o ciebie.

Na język cisnęły jej się wyłącznie złośliwe komentarze, choć przecież Stassberg chciał dobrze. Co z nią było nie tak? A źródło irytacji stanowił właśnie ten bałagan, w który brnęli. Kompletne pomieszanie wątków prywatnych i zawodowych w relacjach z praskim prokuratorem. I może to dlatego odradzano jej romanse w branży i krzywo na nie patrzono, bajzel się od tego robił większy niż dzisiaj na praskiej komendzie. Na szczęście nie zdążyła jakoś skomentować słów prokuratora, bo zadzwonił Chodkowski. Wahała się przez chwilę.

– Odbierz – powiedział Stassberg.

Przesunęła zieloną słuchawkę na ekranie.

– Nie teraz, Karol – powiedziała. – Za chwi...

– Mamy ją – oznajmił starszy aspirant.

– Kogo? – Przez chwilę nie rozumiała.

– No, Martę Jesionek. Ponoć przeczytała w internecie, że poszukujemy szóstej osoby w mieszkaniu. Dziewczyna skontaktowała się z dyżurnym i podała mu adres. Gdzie jesteście?

– W prokuraturze.

– Będę pod budynkiem za dziesięć minut.

– Poczekaj... gdzie jedziemy?

– Na Wolę.

Rozłączyła się i przez moment bała się spojrzeć na Stassberga. Czuła, że poczerwieniały jej policzki. Maciek wbijał w nią przenikliwe spojrzenie.

– Odwołujemy poszukiwania? – zapytał cicho.

– Na to wygląda. Może poczekajmy jeszcze na...

– Naraziłaś mnie na śmieszność – przerwał jej ostrym tonem.

– Och, przestań.

– Kurwa, prokurator, który odwołuje swoje decyzje po pięciu minutach? Za kogo ty się masz, Nina? Wpadasz tutaj. Rozsiadasz się, zasypiasz, kurwa, na moim fotelu, narażasz mnie na utratę reputacji... to się musi skończyć.

– Co?

– Taki charakter tej relacji. Teraz widzę, że zaczęliśmy się zachowywać nieprofesjonalnie.

Wiedziała, jak silna to jest obelga w jego ustach.

– Maciek...

– Dlatego jutro składasz mi sprawozdanie z rezultatów śledztwa. Na piśmie, Nina.

– Nie jesteś moim zwierzchnikiem.

– Mam ci przypomnieć o swoich uprawnieniach? A może zaangażować w to Białka? Lepiej już wyjdź. Jedź przesłuchać tę dziewczynę. I ja to przesłuchanie chcę zobaczyć w aktach sprawy.

Nie miała już czasu z nim dyskutować. A tym bardziej nie miała energii. Chwyła płaszcz, a wychodząc z pokoju Stassberga, czuła na plecach jego wściekły wzrok.

Na Wolę Warwiłow z Chodkowskim przebili się obwodnicą. Następnie minęli Powązki i zjechali przy Lasku na Kole, który ta sama obwodnica okrutnie oddzieliła od cmentarza. Przynajmniej nie było tutaj korków. Samochodów w starej części dzielnicy w ogóle było jakby mniej, za to znacznie więcej walających się pustych butelek i pasażów handlowych w stylu: warzywniak, kebab i warzywniak. Nowa hala sportowa przy ulicy Długomiła wyglądała tutaj jak przybysz z innego świata.

Wola przypominała jej Pragę-Północ. Taka sama zaniedbana dzielnica z bogatą historią i szeregiem pomnikowych bohaterów w stylu Ordona i generała Sowińskiego, niemal wyłącznie starą zabudową i śladami dawnej urody, cała w stylu bardziej łódzkim niż warszawskim.

Rzędy dwupiętrowych starych osiedli ciągnęły się po prawej stronie Obozowej pasem oddzielającym tę szeroką ulicę od Lasku na Kole, który z kolei, poza brutalnym potraktowaniem przez władze miasta, budził u Warwiłow wspomnienie kilku bestialskich morderstw. Ktoś kiedyś powinien napisać kronikę zbrodni warszawskich lasów i parków. A gdzieś w tych postawionych prostopadle do ulicy kamieniczkach o beżowo-ceglanej fasadzie kryła się najbardziej poszukiwana dzisiaj przez policję osoba w Warszawie, czyli Marta Jesionek.

Określenie „kryła” okazało się jeszcze bardziej adekwatne, kiedy zapukali i weszli do mieszkania numer 31, położonego na parterze kamienicy przy ulicy Obozowej.

„Nora” to było pierwsze, co przyszło Warwiłow do głowy. Dziewczyna, która otworzyła im drzwi, a za którą jeszcze godzinę temu komisarz wystawiała list gończy, prezentowała się zdecydowanie niepozornie. Dość krótkie włosy i okulary, ubrana w dres i podkoszulek bez ramion, odsłaniający kolorowy tatuaż na obojczyku.

W mikroskopijnym przedpokoju było ponuro, w salonie jeszcze gorzej. Jedno z dwóch okien zasłonięto roletą zaciemniającą, to w kuchni zaś było malutkie i niezbyt czyste. Za to nieźle prezentował się lśniący notebook.

Postawiono go na jedynym stole w domu, który, zważywszy na stosik brudnych talerzy, służył dziewczynie absolutnie do wszystkiego.

Jesionek nie wskazała im miejsc i nie wyglądało na to, że zamierza to zrobić. Warwiłow bezceremonialnie zsunęła więc kilka ubrań z krzesła i usiadła. Chodkowski również jakoś sobie poradził.

Uważnie spoglądała na dziewczynę, która spoczęła na wytartym skórzanym fotelu.

– Marta Jesionek, zgadza się? – zapytała. – Urodzona w Brodnicy 14 czerwca 1987 roku?

– Tak – odparła dziewczyna cicho. – Ja przepraszam...

– Zaraz przejdziemy do przeprosin i za co one są. Proszę opowiedzieć swoimi słowami, co się wydarzyło dzisiaj rano.

Dziewczyna słyszalnie nabrała powietrza i odetchnęła.

– Poznałam ich wszystkich nad ranem w Koktajlu...

– Ich?

– Michała i resztę.

– Jak do tego doszło?

Wzruszyła ramionami.

– No, jak na imprezie, zaczęliśmy rozmawiać, a potem chłopcy postawili mi drinka.

– Wiedziała pani, że są znajomymi Sary Kosowskiej?

– Nie.

– Na pewno?

– To znaczy na początku nie, potem ją poznałam.

Warwiłow wbiła w nią spojrzenie.

– Czym się pani zajmuje zawodowo? – zapytała.

– Takie internetowe rzeczy, nie wiem, czy to państwa interesuje.

– Bardzo.

– Szeptanką, pisaniem precli na zamówienie...

Warwiłow spojrzała na Chodkowskiego. Wzruszył ramionami.

– Jako freelancer – dodała dziewczyna. – I jeszcze prowadzę fanpejdże.

– Okej, to rozumiem. Ale proszę mi wyjaśnić poprzednie. Tę szeptankę.

– Marketing szeptany. Jak pani chce kupić pralkę, to przeczyta pani moją opinię. Ale będzie pani myślała, że to prawdziwa.

– A to drugie? Te rogaliki?

– Precle. To dla agencji copywritingowych. Krótkie teksty reklamowe. Żeby pani się w ogóle zainteresowała tą pralką.

Warwiłow ponownie zerknęła na Chodkowskiego, zastanawiając się, czy ich myśli podążają w tym samym kierunku: tym, co wreszcie wykończy ludzkość, będzie nowomowa.

– I te fanpejdze – powiedziała.

– Tak. Różnych firm, takie mniejsze... Choćby stąd kojarzyłam Sarę, występowała czasami w reklamach marek. Mogę pani pokazać...

– Nie trzeba – odparła Warwiłow. – Można się z tego utrzymać?

– Jak są zlecenia, to mogę.

I jak się mieszka w norce, pomyślała komisarz, rozglądając się dookoła. Tak wyglądał wielki warszawski sen w praktyce. Tylko kotów tu brakowało.

– Czyli pracuje pani z domu – podjęła.

– Z reguły tak. Skąd chcę.

– I naprawdę nie wiedziała pani, że Lutyński jest znajomym Sary Kosowskiej?

– Nie miałam pojęcia!

– Czy miałyby to dla pani znaczenie?

– Nie wiem, może.

– Dlaczego?

– No, Sara Kosowska... – Jesionek wzruszyła ramionami. – Trochę się zdziwiłam.

– Lubi ją pani?

– Nigdy nie spotkałam nikogo znanego. A ten Michał, jakby nigdy nic, przedstawia mi ją jako Sarę. Nawet na mnie nie spojrziała. A potem już w mieszkaniu wszyscy o mnie zapomnieli.

– Jak to zapomnieli?

– No, zaczęli coś krzyczeć, że już późno i zaćmienie, Michał poszedł do kuchni z tym wysokim, reszta na taras, a ja zostałam sama. Oni chyba

niespecjalnie zwracali na mnie uwagę.

Warwiłow nachyliła się lekko w stronę Jesionek. Kątem oka spostrzegła, że Chodkowski również zdwoił czujność.

– Dlaczego nie poszła pani na taras obserwować zaćmienia?

– Nikt mnie tam nie zapraszał.

– A do kuchni?

– Tam też.

– W takim razie co pani robiła?

Nawet w tej ciemności dostrzegła, że dziewczyna lekko się czerwieni.

– Przepraszam, ale ja nie miałam z tym nic wspólnego...

– Z czym? Czy pani rozumie, że Sara Kosowska nie żyje? Że prawdopodobnie została zamordowana?

– Zamordowana?

– Tak. Czy pani to rozumie?

– Rozumiem.

– Co pani robiła w tym mieszkaniu? – powtórzyła Warwiłow. – Wtedy, kiedy grupa rozbiła się na dwie mniejsze?

– Poszłam do jednego z pokoi i...

– I?

Dziewczyna milczała.

– I? – powiedziała Warwiłow.

– Zabrałam kilka rzeczy.

– Ale dlaczego?

Jesionek wbiła wzrok w ziemię.

– To znaczy ukradła pani, tak?

Potaknęła. Kiedy podniosła głowę, oczy miała szkliste.

– Nie planowałam tego, nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Michał się mną nie interesował, nikt się mną nie interesował. Zaczęłam chodzić po mieszkaniu i trafiłam na ten pokój. Tam leżały rzeczy Sary, bo reszta mieszkania była kompletnie pusta.

– Trafiła pani na sypialnię.

– Może.

– Jakie rzeczy pani z niej zabrała?

– Mam pokazać?

– Tak.

– Mam je w plecaku.

– Proszę wyjąć.

Jesionek sięgnęła po plecak, wyjęła z niego jakieś ciuchy.

– Proszę mi je podać – poleciła Warwiłow.

Następnie przełożyła w rękach ubrania. Dżinsy marki Guess i kilka zwiniętych w kulkę, chyba nieświeżych podkoszulków, które wydawały z siebie jeszcze słabą woń. Pozostałość po Sarze Kosowskiej. Warwiłow odnotowała, że można z nich pobrać próbki zapachowe.

– Czy to ma jakąś wartość? – zapytała.

Dziewczyna milczała.

– Dobra, to inaczej. Dlaczego właśnie ubrania?

– To były ciuchy Sary...

– I?

– Nie wiem, zrobiłam to impulsywnie.

– Często pani kradnie?

– Nie – odparła szybko Jesionek, a Warwiłow miała wrażenie, że kłamie. – Czy będę zatrzymana?

– A chciała pani coś z tym zrobić?

– Co?

– Sprzedać przez internet jako ubrania Sary?

– Nie no, jestem normalna.

Warwiłow odetchnęła cicho.

– Co było dalej? Zgarnęła pani ubrania do plecaczka. A potem?

– Wyszłam.

– O której?

– Chwilę później.

– Lutyński i Borewicz byli wtedy w kuchni?

– No chyba byli. Nie wiem, to okropnie duże mieszkanie. Ale chyba tak.

– Czy widzieli panią wychodzącą?

– Nie wiem.

– Bo twierdzą, że nie. A o dziesiątej pięćdziesiąt sami wyszli i zostawili mieszkanie bez opieki. O której pani wyszła?

– Nie rozumiem, dlaczego pani pyta...

– O której pani wyszła? – powtórzyła ostrzej.

– Myślę, że około wpół do jedenastej.

Warwiłow zerknęła znacząco na Chodkowskiego.

– Czyli musiała pani ich słyszeć – powiedziała. – Bo oni wyszli z mieszkania dopiero dwadzieścia minut później. O dziesiątej pięćdziesiąt. Pod ich nieobecność mogło się stać coś złego, co ma związek ze śmiercią Sary Kosowskiej. Pani mówi, że wyszła dwadzieścia minut przed nimi.

Dziewczyna lekko kiwnęła głową.

– Ma pani na to jakiś dowód? Umówiła się pani z kimś na zewnątrz?

– Nie.

Cisza. Warwiłow ponownie zerknęła na Chodkowskiego. Myślał to samo co ona. Mimo że Jesionek budziła lekkie współczucie, trzeba ją będzie zatrzymać.

– To znaczy, chyba że taksówka... – podjęła cicho dziewczyna.

– Słucham?

– No taksówka.

– Z ulicy?

– Nie, nie z ulicy. Z aplikacji.

– Czy ta aplikacja podaje godzinę?

– Nie wiem. Może. Chce pani zobaczyć moje konto? – Nie czekając na odpowiedź, Marta Jesionek sięgnęła szybko do plecaka.

Warwiłow podniosła ostrzegawczo dłoń, kątem oka spostrzegła, że Chodkowski położył rękę na kaburze.

– Proszę to zrobić powoli – poinformowała dziewczynę.

Marta kiwnęła głową, pogrzebała i wyjęła poobijanego samsunga. Wręczyła go Ninie.

– Jest bez pinu.

– Gdzie mam szukać?

– My Taxi.

Warwiłow przekazała telefon Chodkowskiemu.

– Jest taki kurs – powiedział po kilkudziesięciu sekundach. – Dziesiąta trzydzieści pięć, z placu Konesera.

– Sprawdź to – poleciała.

Starszy aspirant spojrzał na nią pytająco.

– Nie wiem jak – dodała. – Tak, żebyśmy mieli pewność.

– To może potrwać – uprzedził, a kiedy skinęła głową, wyszedł na korytarz.

Warwiłow siedziała z tą dziwną dziewczyną. Bez słowa. Prawie odpoczywała, choć miała oko, czy Jesionek nie wykonuje żadnych nagłych ruchów. Ta wydawała się jednak jeszcze bardziej zmumifikowana. W końcu komisarz z pewną ulgą zobaczyła, jak Chodkowski otwiera drzwi i prosi ją na korytarz.

– Proszę się nigdzie nie ruszać – ostrzegła dziewczynę.

– Kurs i godzina potwierdzone – powiedział Chodkowski, kiedy zamknęła drzwi wejściowe i stanęli w wąziutkim korytarzu pachnącym starością.

– A drzwi do mieszkania Sary są na zatrask – skomentowała.

– Co oznacza, że jeśli wyszła nimi o tej dziesiątej trzydzieści...

– To już nie mogła wrócić.

– Chyba że zwinęła klucze.

– A były jeszcze jakieś na wierzchu?

– Nie sądzę, Borewicz z Lutyńskim posłużyli się kluczami Sary. Poza tym My Taxi potwierdza, że Jesionek przyjechała na Wolę.

– Na Obozową?

– Nie. Na Olbrachta. To obok.

– Dlaczego?

– Może robiła jakieś zakupy? Tutaj nie ma żadnych punktów usługowych. Ważne, że nie zdążyłaby wrócić na plac Konesera przed śmiercią Sary Kosowskiej. Za daleko.

– A co z rzeczami, które ukradła?

Chodkowski wzruszył ramionami.

– Kosowskiej to już chyba specjalnie nie obchodzi – powiedział.

– Mamy jednak złodziejkę w domu ofiary. To mi się nie podoba.

- Ale się zdarza. Poza tym te kilka ciuchów...
- Wiem – powiedziała Warwiłow, a po chwili zapytała: – Co o niej sądzisz?
- Raczej czysta. Choć oczywiście dobrze porąbana.
- Jednak dziewczyna wyraźnie czegoś się boi.
- To już są wróżby i dywagacje, Nina – odparł Chodkowski. – Ja nie zauważyłem niczego specjalnego. Kto się nas nie boi? Myślisz, że często miała do czynienia z policją? Dla mnie kurs taksówki w powiązaniu z zeznaniami Lutyńskiego i Borewicza świadczą, że ona nie została sam na sam z tą nieszczęsną frappé.

Kiedy powrócili do mieszkania, Marta Jesionek siedziała dokładnie w tej samej pozycji osoby oczekującej na egzekucję. Chodkowski został przy drzwiach, a Warwiłow usiadła, wpatrując się w dziewczynę. Wiedziała, że ta czegoś się boi, i może Karol miał rację co do powodów. A może się mylił.

- Żadnych kontaktów z mediami, czy to jest jasne? – powiedziała Nina.
- Tak.
- Żadnego chwalenia się przed... – zawahała się – znajomymi i na miłą od telefonu. Okej?
- Tak, czyli...
- Czyli nie zatrzymujemy pani teraz, ale jeśli pani nie posłucha, to tak zrobimy, choćby dla bezpieczeństwa śledztwa.
- Rozumiem. A prasa?
- Zdementujemy informację o pani udziale w sprawie. Tylko proszę się nie wychylać. Po prostu pani nie ma.

– Co teraz? – zapytał Chodkowski, kiedy wyszli już na zewnątrz.

W zaułkach wolskiego osiedla zbierali się młodzi ludzie. Jak na Białostockiej, pomyślała. Poczwała na sobie spojrzenie: wpatrywał się w nią wysoki, intensywnie ryży chłopak. Potem zapalił papierosa i z sykiem otworzył puszkę piwa, odwracając się do kolegów.

- Wracamy do punktu wyjścia – odparła, czując lekki dyskomfort.

– Jeśli to nie jest ta dziewczyna, a mieszkanie było zamknięte... to znaczy, że nikt do niego nie wszedł, tak? – ciągnął Chodkowski.

– Na to wygląda.

– A więc...

– Tak – przyznała. – Dobrze myślisz.

Milczeli przez chwilę, a Warwiłow wyciągnęła z kieszeni płaszcza papierosa elektronicznego. Wkład dawno się w nim wyczerpał, ale gadżet wspomagał jej koncentrację, jakby samym dotykiem oszukiwała umysł, że dostarcza mu nikotyny.

– Zostaje nasza grupa przyjaciół od lat – powiedział Chodkowski.

– Tak. Ktoś z nich zamordował Sarę Kosowską.

W drodze powrotnej Warwiłow z Chodkowskim zatrzymali się na kawę. Przy długim stole w Green Coffee przy Marszałkowskiej młodzi ludzie ślęczeli nad komputerami droższymi niż jej komisarska pensja, ale bardziej słychać było klikanie niż stukot klawiatury. Sama kawiarnia wyglądała jednak zachęcająco: przytulne obite pluszem fotele, każdy w innym kolorze, a na półkach książki i gry planszowe. Chciałaby mieć kiedyś wolne popołudnie, żeby zaszyć się tutaj z jakimś opasłym szwedzkim kryminałem.

Chodkowski nie jadł już o tej porze, ale wziął jakiś podejrzany koktajl, zielony i trącający zgnilizną, a Warwiłow kanapkę z kurczakiem i czarną kawę. Żadna ilość kofeiny już nie mogła zaszkodzić jej na sen, tak duże miała jego niedobory. Znaleźli miejsce w samym kącie oszklonego ogródka, z widokiem na powoli zmniejszający się ruch na Marszałkowskiej.

– Michał Lutyński – podjął Chodkowski – Karolina Moskał, Paweł Kosowski i...

– Porucznik Borewicz.

– Tak. Ale czemu go tak nazywasz?

– Nie pamiętasz tego serialu? – Aspirant wyglądał na zdezorientowanego, więc dodała: – *Zero siedem zgłoś się*, aktor wyglądał jak Belmondo.

– Nie oglądałem. I... nie wiem, kto to Belmondo.

– Chyba już jestem za stara na świat – skomentowała cierpko. – W każdym razie mamy naszą wielką czwórkę.

Chodkowski kiwnął głową i pociągnął łyk zielonego specyfiku.

– Nie powinni wiedzieć, że są podejrzani – dodała.

– Co masz na myśli?

– Wykorzystajmy to, że Białek każe prowadzić śledztwo. Czwórka na pewno czyta doniesienia prasy. Niech wciąż myślą, że poszukujemy dziewczyny. Może to uspi czujność mordercy.

– Którym jest?

Pokręciła głową.

– Miało nie być wróżbiarstwa – powiedziała.

Zaśmiał się, czym przyciągnął uwagę dziewczyny z laptopem przy stoliku obok. Cicho syknęła z irytacją.

– Czyli nie można już rozmawiać w kawiarniach? – zapytała Warwiłow.

– Jak widać.

– Szkoda, bo na komendzie nie da się z kolei dzisiaj pracować. W każdym razie za mało jeszcze wiemy, żeby wskazać palcem.

– Ale masz swój typ?

– Czarnego konia. Być może – odparła, myśląc, że Chodkowski zawsze próbuje najpierw wysłuchać jej zdania.

– Od kogo zaczniesz? – zapytał.

– Lutyński albo Borewicz. Przygotowywali frappé, a pozostali podobno nie ruszyli się z tarasu. To też trzeba będzie jakoś zweryfikować.

– Dobra, to może spotkajmy się tam w poniedziałek i...

– Nie, nie w poniedziałek.

Chodkowski wbił w nią jasne oczy.

– Jutro i w niedzielę – dodała. – Sam wiesz, że im szybciej to rozwiążemy, tym szybciej odzyskamy jakąkolwiek swobodę działania.

– Dobra, Nina. Widzę, że już masz pomysł, więc powiedz mi, jak to rozegrać.

Przez sekundę zastanawiała się, czy w jego głosie wybrzmiała tylko ironia, czy również złość. Dość oficjalnie przeszli na ty w trakcie jej urlopu macierzyńskiego i już nie zwracał się do niej komicznym, ale lubianym przez nią słowem „szefie”. Zastanawiała się kilkakrotnie, czy ta zmiana coś oznacza.

– Przeprowadzę przesłuchanie sama. Przynajmniej raz się wyśpij. Mam nadzieję, że zdążę ich przesłuchać, bo muszę jutro jechać do szpitala w Aninie. Potem jakoś się spotkamy i przepytamy resztę.

Chwila milczenia. Chodkowski wyraźnie się zastanawiał, czy zadać to pytanie, i w końcu je z siebie wyrzucił. Kiedy to zrobił, Warwiłow poczuła jednak ulgę.

– Jak on się czuje? – zapytał starszy aspirant.

– Jak zawsze.

– Czyli?

– Czyli dno.

– Ale są jakieś nadzieje?

– Nie chcę mi powiedzieć nic, za co mogłabym ich później oskarżyć – rzuciła Warwiłow. – Teraz lekarze naprawdę uważają i nie wiem, czy to dobrze, czy źle. W każdym razie w tej chwili nasz pacjent nigdzie się nie wybiera.

– To chyba dobrze? – zapytał z uśmiechem, tak że połapała się, jak to zabrzmiało.

– Nie chodziło mi o... wiesz... Miałam na myśli szpital. – Nie potrafiła jednak skończyć, tak samo jak nie potrafiłaby się pogodzić ze śmiercią ojca. – Karol, zostawmy ten temat, proszę. Obiecałam ci spokojny poranek, ale musisz coś dla mnie zrobić.

– Czyli zadałem o jedno pytanie za dużo?

– Nie, ale brakuje nam czasu. Przede wszystkim prześlij mi adresy Lutyńskiego i Borewicza. A rano, jak się ogarniesz, sprawdź, proszę, wszystkie sprawy finansowe Sary Kosowskiej. Złożysz mi z tego sprawozdanie, jak wrócę ze szpitala.

Czterdzieści minut później dojechała na skwer Paca. Wyszła z samochodu, odwlekała jednak wejście do domu i usiadła na ławeczce na samym skraju placu. Rozejrzała się. Po prawej stronie miała ponurą szkołę podstawową, klasyczną tysiąclatkę, a na wprost pizzerię Vero, która – niestety – serwowała doskonałą capricciose.

Zerknęła na telefon. Dochodziła dziewiąta, ten dzień rozciągnął się jak stara pończocha i miała nadzieję, że Arleta uśpiła już Milę. Nie dysponowała energią na dwugodzinny maraton z obowiązkowym czytaniem durnych bajek dla dwulatków.

Na pustym placu obserwowała rzeczywistość zupełnie inną niż na Saskiej Kępie. Jedna ławeczka była zajęta przez panie na emeryturze, niehałasujące, ale solidnie się alkoholizujące. Od kiedy nadeszło ciepło, wyglądało na to, jakby przyssały się do tego miejsca na stałe. Każda dzierżyła swoją małpkę; w Polsce sprzedawało się ich ponad miliard

rocznie i nikt z tym nic nie robił. Na drugiej ławce przesiadywali studenci z akademika na Kickiego, na trzeciej zaś banda dresiarzy spoglądających od jakiegoś czasu w stronę studentów.

Praga. Odkąd mieszkała przy skwerze Paca, załapała się już na dwie bójki, do jednej osobiście wezwała patrol.

Czy to był dobry ruch z przeprowadzką? Może powinna darować sobie ten eksperyment i jakimś sposobem wrócić na burżujską i snobistyczną, ale naszpikowaną ambasadami i bardzo przez to bezpieczną Saską Kępę?

Mila w tym roku kończyła dwa lata i trzeba było kombinować nad jakimś fajnym podwórkiem, żeby mała zdrowo rosła. A jedynym sensownym miejscem do zabaw pozostawał park Polińskiego, położony aż przy szpitalu na Szaserów. Grochów z pewnością nie był na przestępczym poziomie Pragi-Północ, ale w tej starej zabudowie zlokalizowanej wokół Kickiego, skweru Paca i ulicy Wiatracznej na czterech normalsów przypadał jeden „patolog” i zwykle skutecznie psuł innym życie.

Odmówiła sobie kontrolnego zerkania na dresiarzy. Jeśli ktoś ma dzisiaj dostać w mordę, to już nie będzie jej sprawa, studenci też nie mieszkali na Kickiego od dzisiaj. A jeśli od dzisiaj, to ktoś na uniwersytecie powinien ich uprzedzić, że z nadejściem ciepła nie jest tu superbezpiecznie. I zamiast na ławeczce mogli przecież siedzieć w świetnym Antykwariacie Grochowski, który mieli naprzeciwko akademika, klimatycznej krzyżówce starej herbaciarni ze sklepem z winylami.

Wróciła myślami do śledztwa. Minęło już prawie dziesięć godzin od śmierci Sary Kosowskiej. Zidentyfikowała i wyeliminowała oczywistą podejrzaną, Martę Jesionek, a następnie zawężyła podejrzanych do czterech osób. Ale wśród nich tylko rola Pawła Kosowskiego była tutaj jasna: brat. A Michał Lutyński? To przyjaciel? Kim w takim razie był ten przystojny porucznik Borewicz? Kochankiem?

I jaka była rola Karoliny Moskał, czy miała z Sarą niezależną relację? Jaką relację Kosowska miała z samym Pawłem? Spędzali ze sobą czas, to już dużo jak na dorosłe rodzeństwo. Ale co więcej? Najsilniejsze są przecież napięcia w rodzinie. Jakie oni wszyscy odgrywali role na dworze królowej?

Z perspektywy skraju skweru Warwiłow spoglądała na pijących, palących i śmiejących się ludzi, w zasadzie miała przed oczami przekrój społeczeństwa. Sama zaś czuła się jak lalka – oglądała świat, zamiast w nim uczestniczyć. Wdychała powietrze, które teraz, wieczorem, wyraźnie się ochłodziło, ale dalej pachniało wiosną. Była wreszcie sama, choć przez kilka chwil, i powinna to docenić.

Mimo tego chwilowego odprężenia Nina walczyła jednak z denerwującym, deprymującym uczuciem. Przez skórę czuła, że ze sprawą Sary Kosowskiej jest coś nie tak. Coś brzydkiego kryło się pod powierzchnią. Tego już Chodkowskiemu powiedzieć nie mogła.

10

Lutek czuł się, jakby miał gigantycznego kaca. A przecież wczoraj nie wypił ani kropli. Może w tym rzecz, ani kropli płynów i pewnie się odwodnił. Położył się o dziewiętnastej i przespał szesnaście godzin, a wcale nie był wypoczęty, tylko jeszcze bardziej zmęczony.

Otworzył drzwi do swojego własnego ogródka, wpuszczając do mieszkania trochę świeżego powietrza. A potem chwilę wpatrywał się w skąpany w słońcu park Skaryszewski po drugiej stronie Jeziora Kamionkowskiego.

Wreszcie usłyszał, że czajnik w kuchni zagwizdał. Zalał stosik neski wodą, patrząc, jak chemia szybko się w niej rozpuszcza. Wczoraj o tej samej porze także robił kawę. To mogło być zaledwie wczoraj? Przymknął oczy i odwrócił się, stawiając kubek na stole.

Nie zamierzał być specjalnie uprzejmy i nie zaproponował jej kawy, ale swoją musiał wypić. Bez porannej dawki kofeiny był wręcz niebezpiecznie nieprzytomny. Usiadł naprzeciwko, ubrany tylko w dres i podkoszulek, wiedząc, że policjantka spogląda na jego ramiona.

– No to jak mogę pani pomóc? – zapytał.

Nieźła sztuka z tej Warwiłow, choć nie pierwszej młodości. Ale w tych mocno zarysowanych brwiach i zabawnym nosie coś było. Przypominała mu taką aktorkę charakterystyczną. Jak ona się nazywała, Juliette Lewis? Borewicz, filmowa encyklopedia, na pewno by to wiedział.

– Pięknie pan mieszka – zauważyła. – To osiedle nazywa się Sonata, prawda?

– Tak.

– Chcieliśmy kupić tu z narzeczonym mieszkanie, ale uznaliśmy, że za drogie. Kosztowało trzy tysiące za metr. Wyobraża pan to sobie? Chwilę później kosztowały już chyba z dziesięć.

– Ja kupiłem już po cenie rynkowej – odparł, zastanawiając się, czy nie popełnia błędu. Jednak pracował sam na siebie i nie zamierzał się tego wstydzić. – Który to był rok?

- Na początku dwutysięcznych.
- Aha. No to byłem jeszcze dzieciakiem. Jak to się skończyło?
- Rozstaliśmy się.
- Pytałem o mieszkanie.
- Aha, kupiliśmy inne. Ale cały czas uważam, że to najpiękniejsze osiedle w Warszawie.
- Zgadzam się – przyznał Lutek i poruszył się nerwowo na krześle. Być może Warwiłow, bez swojego podwładnego, grała obecnie dobrego i złego policjanta naraz? Usztywnił się.
- Kiedy pan właściwie poznał Sarę?
- Przyjaźnimy się od zawsze – powiedział i zakasłał. – Przepraszam. Chodziliśmy razem do klasy.
- I tak długo przetrwało?
- Pewnie mi pani nie uwierzy, ale Sara była dziwadłem w szkole. Cieszyła się też zaskakująco małą popularnością.
- Naprawdę?
- Tak, a kiedy zaczęła grać, jeszcze bardziej ją zniechęcono. Wbrew pozorom nie była typem królowej balu. Ja sam przeprowadziłem się z Poznania, jak miałem dziesięć lat. Na Świętego Mikołaja mówiłem „gwiazdor”, a na pieniądze „bejmy”.
- Warwiłow zaśmiała się przyjaźnie.
- Dzieciaki są bezlitosne i proszę mi wierzyć, że natychmiast znalazłem się na marginesie. No i zbliżyliśmy się do siebie, jak ta para wyrzutków, ale szybko okazało się, że łączy nas coś więcej. Zaprzyjaźniliśmy się... – Zakasłał ponownie. – Sara Kosowska była dla mnie najbliższą osobą. Straciłem przyjaciółkę.
- Przykro mi.
- Pokiwał głową.
- Czy wciąż poszukujecie tej dziewczyny? – zapytał.
- Warwiłow milczała, jakby się nad czymś zastanawiając. Wypalił, zanim zdążył to przemyśleć:
- Kurczę, ja naprawdę nie pamiętam, jak ona się nazywała. Choć bardzo chciałbym pomóc.

- To może wrócić.
 - Myśli pani, że ona... mogła...
 - Wciąż jej szukamy – ucieła. – Znaleźliśmy również zgłoszenie Sary o nękanii.
 - I?
 - Potwierdziliśmy to, co nam powiedzieliście.
 - To chyba dobrze?
 - Tak. Ale nadal nie wiemy nic o Sarze Kosowskiej. Z tego, co pan opowiada, znał ją pan najlepiej.
 - Może. Ja i Paweł... Byli blisko. Nawet jak na rodzeństwo. Od dzieciaka musieli trzymać się razem.
 - Dlaczego?
 - Ich historia chyba nie jest ciekawa. Ale musi go pani zapytać bezpośrednio. To są sprawy prywatne.
 - Niech pan mi powie, jaką osobą była Sara Kosowska. Jako jej najstarszy przyjaciel.
- Pociągnął łyk kawy.
- To panią naprawdę interesuje?
 - Tak.
 - Gazety kłamały na jej temat.
 - Nie są od mówienia prawdy.
 - To wystarczy, żeby kogoś obrzucić błotem? No ale fakt, dla Sary to zainteresowanie oznaczało wymierne korzyści finansowe.
 - Dostawała pieniądze od prasy?
 - Nie od nich, ale dzięki nim była znana. Czy pani myśli, że stać by ją było, żeby sobie kupić taki apartament z aktorstwa? Czas *Rozmowy...* się skończył. Sara nie miałaby żadnych szans utrzymać się na poziomie, na jakim chciała.
 - To z czego żyła?
 - Z mediów społecznościowych.
 - To znaczy?
 - Zdjęcia marek i tego typu sprawy. Może nie była wybitną aktorką, ale wiedziała, jak się wypromować.

- Czy lubiła to?
- Lubiała? A pani lubiłaby takie życie na pokaz? Pewnie ma pani satysfakcję z pracy?
- Pyta pan serio? – Zaśmiała się. – Proszę odpowiedzieć na to pytanie.
- Jeśli szczerze – zawahał się – to nienawidziła tego każdego dnia.

Dziesięć minut później Warwiłow wyszła na Grochowską, w sobotni poranek zupełnie pustą. To ta ulica, a nie Francuska na Saskiej Kępie, stanowiła od zawsze centrum jej życia, to Grochowską przekraczała codziennie kilkakrotnie. Rano w drodze do pracy. Popołudniami do ojca na Białostockiej.

Zerknęła na telefon, było wpół do dziesiątej. Zgodnie z nawigacją Google'a do Instytutu Kardiologii w Aninie miała piętnaście minut. I już w samochodzie oddzwoniła do Chodkowskiego.

- Kogo przepytowałaś? – zapytał aspirant.
 - Lutyńskiego.
 - A więc wybrałaś przyjaciela.
 - Tak, Borewicz...
 - Może zostaw go na razie – wszedł jej w słowo Chodkowski.
 - Dowiedziałeś się czegoś?
 - Tego, kogo przesłuchasz w następnej kolejności.
- Zastanowiła się przez chwilę.
- Opowiadaj – powiedziała. – Ale muszę to mieć na piśmie.
 - Jasne. Sara Kosowska miała milion dwieście tysięcy złotych na różnych kontach bankowych, do tego apartament na placu Konesera, kupiony na kredyt, a także letni dom w miejscowości Duchów...
 - Gdzie to jest?
 - Pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, niedaleko Mińska. Miała też audi A1, solidny pakiet akcji obejmujący udział w spółce chemicznej Bioneo... co ciekawe, Lutyński zajmował się jej finansami.
 - Tego mi nie powiedział. Jest ekonomistą?
 - Boże, Nina, to o czym ty tyle czasu rozmawiałaś z podejrzanym – zaśmiał się Chodkowski.

– O ofierze – mruknęła. – Nie miałam wiele czasu. Muszę być w szpitalu.

– Ty i twoja obsesja wiktymologiczna – stwierdził. – W każdym razie tak, Lutyński jest ekonomistą, czy raczej finansistą. Pracował w dużych spółkach, ale teraz żyje głównie z giełdy i jakichś prywatnych inwestycji oraz doradztwa.

– Prawdziwy poznaniak.

– Nie wiedziałem, że jest z Poznania – powiedział Chodkowski. – I myślałem, że tylko u nas na Dolnym Śląsku krążą o nich takie opinie.

– Tak czy inaczej, Lutyński nie wygląda na takiego bystrzaka. Ale to nam tłumaczy, dlaczego mógł imprezować w czwartek.

– Zgadza się. Oni wszyscy mają zresztą wolne zawody.

– Generacja Y.

– Moja generacja – podkreślił. – A jestem w fabryce już od siódmej rano. Wracając do finansów Kosowskiej, to spisała testament.

– No proszę. Kto dziedziczy?

– Brat. Sara nie miała dzieci ani męża, więc...

– Nie ma uprawnionych do zachowku.

– Tak jest, czyściutko. Majątek odziedziczy Paweł Kosowski. Który ponoć cały czas był na tarasie i nie mógł zatruć tego frappé. Co z kolei oznacza, że mogłaś się pomylić, Nina.

– Nie rozumiem.

– Powiedziałaś o czarnym koniu, tak?

– No tak.

– A gdyby to był jednak powóz? Ten taras można zobaczyć tylko z powietrza. Więc Kosowski nie ma krycia. A to, że pozostał na tarasie, potwierdzają zeznania tylko jednej osoby. Jego narzeczonej.

Od kiedy Paweł Kosowski przedstawił prażanom swoją owsiankę na mleku kokosowym, tłumy przesiadywały w Lawendzie, nowoczesnej restauracji położonej przy ulicy Mińskiej. Ale tylko od poniedziałku do piątku, czyli wtedy, kiedy obowiązywała oferta promocyjna. Mimo popularności właściciel restauracji już od kilku tygodni suszył Pawłowi głowę o opracowanie nowego menu – choć przecież było wiadomo, że za pięć złotych od śniadania ludzie połkną w zasadzie wszystko.

Weekendowe poranki były luźniejsze. A to, że knajpa była od rana pełna, oznaczało jedno. Ludzie wiedzieli. Ci z pracy: z kuchni i baru oraz kelnerzy, wiedziała nawet pani sprzątająca, a przede wszystkim wiedzieli klienci. A menadżer Mateusz raczył nawet wyrazić zdziwienie, że Paweł przyszedł dzisiaj do pracy.

Czekał go ciężki dzień i początkowo miał nadzieję, że robota oderwie go od myślenia o śmierci Sary. Teraz już wiedział, że popełnił błąd i powinien być zostać w domu, nawet za cenę zwolnienia. Zresztą Lawenda tylko na początku zapowiadała się na ambitną i kreatywną restaurację. Kiedy tylko zdobyła uwagę mieszkańców Kamionka i okolic, właściciel nakazał tłuc taką samą masówkę jak wszędzie. Przestał sprowadzać warzywa i sery z ekologicznych upraw i hodowli na urodzajnych ziemiach pod Głogowem, oliwę z Włoch czy wina z Argentyny.

Obecnie część produktów kupowano nawet i w Biedronce. Czy Paweł mógł jednak krytykować wyjadacza, który otworzył już trzecią knajpę w Warszawie? On, który poległ na własnym biznesie? Na jedzeniu w gastronomii się nie zarabia. Tę prawdę Paweł poznał odrobinę za późno i zdecydowanie spóźnił się z uzyskaniem koncesji na alkohol.

Jego własna restauracja, założona za pieniądze Sary i na fali sukcesu w telewizji, była pomyślana jako klasyczna, oparta na lokalnych produktach braseria. W praktyce okazała się piękną katastrofą. Poza jedzeniem w zasadzie od początku nic nie grało. Piętrzyły się problemy z właścicielem

budynku, dostawcami, nawet kelnerzy, których zatrudnił, okazali się chamowaci i skrytykowano ich w mediach społecznościowych.

Prawda, której nie powiedział nawet Karolinie, była taka, że odczuł ulgę, kiedy po dwóch latach zamknął lokal. Wszyscy mówili mu, że ma talent, połowa osób z jego pokolenia pozakładała własne biznesy i zachęcała do tego samego. „Na etacie pracują niewolnicy” – usłyszał od znajomego, który razem z kolegami założył jeden z największych portali dla pracowników i pracodawców.

Ale właśnie wtedy, w momencie jasności umysłu, Paweł pomyślał, że nie musi patrzeć na innych i powinien skoncentrować się na tym, co kocha. Czyli na gotowaniu, a nie zarządzaniu. W Lawendzie przyjęto go z otwartymi ramionami.

Może jednak ludzie nie byli tacy głupi i powinien słuchać się rad. Obecnie gotował sto czterdzieści owsianek tygodniowo, a dobrej jakości wołowinę oglądał tylko na pastwisku w Duchowie.

Czuł, że kuchnia, sprawny zespół, który miał okazję przeszkolić, robi dzisiaj wszystko wyjątkowo opieszale. Odnosił wrażenie, że zamiast pracować, gapią się na niego za plecami, a kiedy na zapleczu knajpy nakrył młodszego kucharza z kelnerką na papierosie, obydwój nagle zamilkli.

– Nie masz co robić? – warknął nie w swoim stylu. – Na siedemnastą przyjeżdżają po odbiór zamówienia.

– Jasne. – Chłopak spłonął się lekko, zgasił peta w słoiku i odszedł.

Kelnerka Justyna, kształtna blondynka w okularach, spojrzała na Pawła lekko wyzywająco.

– Mogłabyś nie uwodzić moich pracowników? – poprosił. Pojawiła się w Lawendzie cztery tygodnie wcześniej i wyglądało na to, że niczym młoda Bardotka zamierzała uwieść każdego, niezależnie od wieku, płci i orientacji.

– Dlaczego ci to przeszkadza? – zapytała, a kiedy nie odpowiedział, dodała: – Przykro mi z powodu... Sary.

Pokiwał głową trzykrotnie, w ciągu jednego dnia nauczył się już tego gestu.

– Wracaj do pracy – mruknął. – Nie zostawiaj Karoliny samej, mamy komplet gości.

Chciał, żeby już poszła. Kiedy to zrobiła, spojrzął na ulicę. Pod Orlenem od rana parkował masywny SUV. Teraz wyszedł z niego równie masywny facet, oparł się o maskę i wpatrywał się w niego.

Paweł widział go już wcześniej. Krwawe sępy. Wiedzieli, że niedługo otrzyma pieniądze po siostrze, i wysyłali sygnał. Nie zamierzali czekać, aż sam do nich przyjdzie.

Wrócił do knajpy, do pracy nad sosem borowikowym, ale już po kilku minutach wiedział, że spieprzył sprawę. Język miał jak z tektury albo raczej wszystko smakowało jak tektura. Gdyby nie Karolina, nie przeżyłby dzisiejszego dnia. Mimo obłożenia raz na jakiś czas sprawdzała, co u niego, i donosiła mu kawy z baru. Nie miał pojęcia, jak udawało jej się to ogarnąć w natłoku klientów. Była prawdziwym cudem i nigdy na nią nie zasługiwał.

Wiedział już nad wyraz dobrze, że jego plan nie wypalił. Praca nie zaoferowała mu odciążenia. Nie potrafił się skupić, palce i podniebienie z minuty na minutę miał coraz bardziej drętwe, a przed oczami wciąż stała mu twarz martwej Sary. Wcale nie pomogło, że przez całą noc śnił o siostrze. Mówiła, że żyje.

„To tylko film” – śmiała się w tym śnie. Jechali na wakacje we dwójkę, tak jak kiedyś. Obudził się o szóstej rano, z uśmiechem na ustach – po to, żeby w gorzkiej sekundzie przypomnieć sobie, że jego siostra nie żyje.

Karolina pochrapywała spokojnie obok, a kiedy pojął, że ze snu nic już nie będzie, wyszedł na balkon i do rana palił papierosy pozostawione przez Borewicza. Wykurzył z pół paczki i może dlatego teraz czuł się, jakby nikotyna sparaliżowała mu kubki smakowe. Po wczorajszej huśtawce nastrojów nie został nawet ślad. Teraz był przybity jak nigdy i wiedział, że nie wytrwa bez wspomagania.

Kiedy Karolina przykursowała z czwartą kawą, od razu zorientowała się, że nie jest z nim dobrze. Wyraźnie się zawahała, zanim szepnęła:

- Była u Lutka.
- Kto?
- Warwiłow.

Czuł, że patrzą na niego ludzie z kuchni. Zamieszał chochlą w garnku, aż zgrzytnęła.

– U Lutka? Dlaczego? – zapytał.

– Nie wiem.

– Myślisz, że znaleźli tę dziewczynę?

– Może. Nie wiem.

– No bo o co mieliby go pytać? – powiedział tak głośno, że praca w kuchni jakby nagle stanęła.

– Paweł, ciszej – szepnęła Karolina, przytuliła się do niego, a po chwili zostawiła go samego.

Rozejrzał się. Patrzyli się na niego już zupełnie bezczelnie.

– Wracajcie do pracy. Nie płacą wam za gapienie się na szefa kuchni – rzucił, a potem wbił wzrok w stalowy blat. Widział na nim swoje niewyraźne odbicie. Przysunął sobie deskę oraz warzywa i nasłuchiwał, jak ponownie tężeje ruch w kuchni. Odgłosy skwierczącego na patelni mięsa, gotowanej zupy, naczyń wkładanych do wielkich zmywarek.

Zwykle go to uspokajało. Teraz jednak z powodu niewyspania i kawy przyśpieszyło mu tętno. Serce waliło mu w piersi tak, że niemal je słyszał, i dopiero po chwili zorientował się, że krojąc oliwki, rozciął sobie palec.

Pod Instytutem Kardiologii w Aninie Warwiłow zaparkowała płatnie, zirytowana, że nawet tu każą jej płacić. Arleta podliczyła ją dzisiaj za opiekę i Nina najpierw zrobiła wielkie oczy, a potem posłusznie, a nawet z lekkimi wyrzutami sumienia, wysupłała kwotę. Niestety to nie był weekend Tomka, ten przypadał na następny tydzień. Za to, o ironio, był to weekend Maćka, a konkretnie sobotnie popołudnie i niedzielny poranek. Ale bez nocy.

Stassberg wszedł na wyższy poziom posiadania dziecka „gotowca”: miał nieswoje dziecko z kobietą, z którą nie był. Co go właściwie łączyło z Milą, jakie miał teraz do niej prawa? Czy powinna to sobie kiedyś solidnie przemyśleć? Ale dlaczego to ona musiała być tą, która podejmuje wszystkie decyzje?

Chciała Maćkowi wyjaśnić sprawę z rzeźbą Wojtka Ordowskiego. To, że do niczego nie doszło między nią a rzeźbiarzem z Bukowców, mimo że pozowała mu bez ubrań. To zdarzyło się pod koniec listopada zeszłego roku, ale Stassberg zamiast posłuchać, oznajmił, że powinni od siebie z Niną odpocząć. Nie dał jej szansy na wytłumaczenie. Pod koniec miesiąca loft na Katowickiej zastała dziwnie pusty: trzymał w mieszkaniu więcej rzeczy niż ona sama.

Chociaż zachował się jak obrażony dzieciak, Warwiłow przepłakała kolejne dwa dni. Ciężkie łzy kapały na Milę, kiedy ją przewijała. A potem wzięła się w garść, skomunikowała się z Tomkiem i wystawiła mieszkanie na Katowickiej na sprzedaż. Hipsterów na starannie urządzonego loft na Saskiej Kępie nie musiała szukać długo. Dość szybko pojawili się brodaty Stanisław i wytatuowana Dorota... Skąd ludzie wyglądający jak menele nagle zaczęli sypać kasą?

Kiedy zaś Stassberg odezwał się po dwóch tygodniach, jednym tchem oznajmiła, że ma już kupca, a po zakończeniu transakcji przeprowadza się z Milą na Grochów. Na początek do wynajętego mieszkania.

– Tak szybko? – zapytał po chwili milczenia.

- Wyniosłeś się dwa tygodnie temu.
- To tylko czternaście dni...
- A co ty sobie wyobrażałeś? Nie zamierzam jeszcze raz przechodzić gehenny hamletyzowania związkowego.
- Nie rozumiem.
- Wyprowadziłeś się. Nie wysiliłeś się, żeby słuchać moich wyjaśnień.
- To jest kłamstw – odparł, a zanim przeprosił, wkurzyła się i pokłócili się już na poważnie.

Tak więc pierwszego stycznia nowego roku przeprowadziła się na Grochów. Ze Stassbergiem sprawa pozostała w próżni. W połowie stycznia umówili się na spotkanie, ale wtedy w szpitalu z problemami z sercem wylądował Aleksander Siergiejewicz i Warwiłow odwołała Maćka. Skupiona na ojcu, pracy i Mili, nie ogarniała sprawy cierpiącego faceta, który wciąż żywił do niej urazę o tę rzeźbę. A przecież jedyną szansą, żeby się dogadali, było jej uwierzyć, że do niczego w górach nie doszło, i puścić to w niepamięć.

Aleksander Siergiejewicz wyszedł co prawda ze szpitala w styczniu, ale nie przestał pić i w lutym do niego wrócił, już na dobre. Nie wyszedł do teraz.

Warwiłow wkroczyła na oddział o niskich stropach i nieco prowizorycznym wystroju. Ściany pokrywała szpetna brunatna farba. Jej ojciec zajmował tu dwuosobowy pokój z widokiem na las. Tym razem łóżko obok stało puste, świeżo zaścielone i odmówiła sobie dedukcji, czy pacjent obok wyzdrowiał, czy może opuścił już ten świat.

Aleksander Siergiejewicz wyglądał fatalnie – niesamowicie wychudzony i osiwały, skórę na twarzy miał obwisłą i tak cienką, że prawie przezroczystą. Nina pocałowała go w policzek – obecnie nie czuć już go było alkoholem – i wstawiła do wazonu kupione w szpitalnej kwiaciarni goździki. Na szafce nocnej postawiła równie świeżą wodę mineralną, choć wiedziała, że jej ojciec jest za słaby, żeby po nią sięgnąć. Następnie otworzyła okno i uprzątnęła szafkę.

Spojrzała na całość: wyglądało to wszystko zupełnie inaczej niż przed kilkoma chwilami, tylko ojciec się nie zmienił. Po chwili namysłu

wyciągnęła jeszcze z portfela zdjęcie Mili, które wydrukowała w Rossmannie kilka dni wcześniej. Postawiła je na szafce i oparła o wazon.

Poprawiła ojcu poduszki i usiadła. W zasadzie nie miała mu nic do powiedzenia. W trakcie tych czynności Aleksander Siergiejewicz wodził za nią oczami. Doprowadził się do takiego stanu, że z trudem się wysławiał, ale przynajmniej nie mógł już pić. Zastanowiła się, czy choroba serca oraz postępujący alzheimier wpłyną na jego pociąg do alkoholu. Nie miała jeszcze czasu zadać tego pytania lekarzowi i chyba powinna się cieszyć, że ojciec w końcu jest trzeźwy.

Przesunął w jej stronę dłoń. Ta sama dłoń wielokrotnie zadawała jej ból. Złapała go za palce i dłuższą chwilę trzymała. Odniosła wrażenie, że ojciec chce coś powiedzieć, tylko zawodzi go umiejętność wypowiadania słów.

– Tato – oznajmiła. – Lepiej dzisiaj wyglądasz.

Wpatrywała się w ojca, zastanawiając się, czy zrozumie ją, jeśli go teraz o coś zapyta. A jeśli nawet tak, czy odpowie.

Być może nie zostało już wiele czasu i zbierała się do tego od dawna. Latami gromadziła argumenty świadczące o tym, że nie wyjechał z Rosji z własnej woli. A niewiedza o jego przeszłości stanowiła również wyrwę w jej własnym życiu. Czy miała rodzinę w Rosji, jakichś dziadków, jakieś ciocie – może nawet braci? Próbowwała kiedyś zgugłować nazwisko Warwiłow, ale jedyne, co znalazła, to „Wawiłow”, czyli bez „r”. A kiedy kilka lat temu zapytała ojca, odparł, że je wymyślił.

Zdenerwował ją tymi żartami i wyszła z Białostockiej zła, potem jednak pomyślała, że może wcale jej nie oszukał. Wymyślił, czyli miał przedtem inne. Jakie? Dlaczego zmienił? Czy jeszcze w Rosji, czy już tutaj, w Polsce? Dostał angaż w milicji, czyli powinien być raczej czysty, ale kto wie, jakie reguły obowiązywały za komuny. A może – w określonych przypadkach – odstępowano od weryfikacji kandydata w ogóle? To, że jej ojciec nie należał do niewiniątek, wiedziała aż zbyt dobrze.

Tyle pytań, a Aleksander Siergiejewicz miał głowę poszatowaną jak sito. A Warwiłow, zawodowa śledcza, nawet nie podjęła tematu. Nie zapytała samego zainteresowanego. Przełknęła ślinę.

– Dlaczego wyjechałeś z Rosji, tato? – zapytała.

Cisza.

– Opowiedz, proszę.

– Nie chcę – wyszeptał po rosyjsku. Po polsku w zasadzie przestał już w ogóle mówić i sama była ciekawa, jak komunikują się z nim lekarze, zwłaszcza ci młodszy, którzy rozpoczęli edukację po 1989.

– Spróbuj – poprosiła.

Pokręcił głową.

– Tato, wiesz, że ja czasem nie mam pojęcia, kim właściwie jestem. Skąd się wzięłam. Zawsze byliście tylko mama, babcia i ty. Nikt więcej. A teraz jest Mila... Rozumiesz w ogóle, co do ciebie mówię? – powiedziała, poprawiając mu poduszkę.

– Tak.

– Mój rosyjski nie jest dobry.

– Rozumiem cię.

– Mnie czy to, co mówię?

Nie odpowiedział.

– Kim byli twoi rodzice? – podjęła.

– Tylko matka.

– Okej, to już coś. Jak miała na imię moja babcia?

Wyglądało, jakby zasnął. A potem otworzył oczy i zamrugał, jakby szperał w pamięci.

– Tatiana – powiedział w końcu.

– Dziękuję, tato. Czy masz rodzeństwo?

– Tak.

– A pamiętasz, jak się nazywałeś?

– Warwiłow.

– A twoje pierwsze nazwisko, to prawdziwe?

Zamilkł. A potem pokręcił głową.

– Dobrze, tato, i tak nam świetnie idzie. Czym się zajmowała twoja mama? To było coś związanego z muzyką, prawda?

– Śpiewała pięknie i...

– I?

Zamilkł.

- I co?
- Siedziała w więzieniu.
- Ale dlaczego?
- Pokręcił głową.
- Dość już.
- Tato...
- Jestem zmęczony.
- Ale naprawdę nieźle nam idzie.

Obrócił się jednak w prawo, odsłaniając wyłysiały czerep. Miał takie mocne włosy przez całe życie, a od początku roku wypadły prawie wszystkie.

- Tato – potrząsnęła za poły pizamy, ale chyba zasnął.

Westchnęła, choć przecież rozmowę należało uznać za sukces. Dowiedziała się o istnieniu babci o imieniu Tatiana. I okazało się, że ta babcia siedziała w więzieniu. To już sporo. Ale za co?

Aleksander Siergiejewicz urodził się w roku, w którym umarł Stalin. Potem było już chyba lepiej... Dlaczego tak mało uczono ich o historii Rosji? Mała Nina na pewno nie zamierzała się wychylać i sama zadawać pytań – po tym, jak już w drugiej klasie dziewczyny pobiły ją za nazwisko Warwiłow. Które prawdopodobnie nawet nie było prawdziwym nazwiskiem jej ojca. Przynajmniej rosyjskie pochodzenie miał bezsprzeczne... W sumie Nina nie mogła jednak narzekać. W ostatnich pięciu minutach ojciec opowiedział jej więcej o sobie niż przez całe życie.

Aleksander Siergiejewicz zachrapał cicho. Siedziała jeszcze chwilę, a potem wysunęła dłoń z jego znieruchomiłych palców.

Wyszła na korytarz. Była sobota i nie spodziewała się, że doktor Rutkowski, który prowadził jej ojca, będzie obecny, ale ktoś musiał mieć wgląd do dokumentacji. Pielęgniarki pokierowały ją do młodej dziewczyny w bordowym kitlu.

- Pani jest...
- Lekarzem. Julia Sobańska – przedstawiła się dziewczyna.

Warwiłow nie mogła nie gapić się na przedramiona lekarki. Były tam wytatuowane jakieś numery i symbole. Czowała, że tatuaże mają większy sens

niż tylko estetyczny.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytała lekko zniecierpliwiona Sobańska.

– Chciałam panią zapytać o stan Aleksandra Warwiłowa.

– Pani jest...

– Córką.

– Muszę zajrzeć do dokumentacji – powiedziała lekarka, a kiedy to zrobiła, dodała: – Jest pozwolenie. Przepraszam, że jestem drobiazgową, ale potem mamy kłopoty. Pacjent otrzymał wczoraj nowe leki, ale rozumie pani... trafił do nas w złym stanie, organizm jest bardzo wyniszczony.

– Tak.

– Poza tym to jest też kwestia jego woli życia.

– Nie rozumiem.

– Trudno się leczy kogoś, kto tego nie chce.

Warwiłowa patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

– Pani tak na serio? – zapytała.

– Proszę?

– Ja nie pytam, czy on chce żyć, tylko o stan zdrowia – odparła Nina podniesionym głosem.

Lekarka zaczerwieniła się. Tym tonem Warwiłowa usiłowała jednak zagłuszyć własne wątpliwości. Wyczuwała, co Sobańska ma na myśli.

Ojciec chciał już umrzeć, podejrzewała to od dłuższego czasu. I może w jego zapamiętaniu się tkwiła jakaś metoda: zniszczyć organizm, żeby go później dobić. Poza Niną nie miał już nikogo, a i ją samą traktował zwykle jak służącą.

Ta dziewczyna miała rację. Jak wyleczyć kogoś, kto wyniszczył sobie organizm i nie chce już żyć?

– Jest tak, jak pani powiedziałam. Pacjent otrzymał nowe leki, a co do ich działania, będziemy wiedzieli więcej za jakiś czas i o tym opowie już pani lekarz prowadzący – ucięła Sobańska i odeszła bez pożegnania.

Warwiłowa wróciła do pokoju ojca. Wyczulona na detale, zorientowała się, że coś się zmieniło. Czegoś brakowało, ale czego dokładnie? Zerknęła na telefon, dochodziła jedenasta. Powinna już iść, a Aleksander

Siergiejewicz zasnął na dobre. Niezdecydowana, czy powinna jeszcze chwilę posiedzieć, podeszła bliżej, wsłuchując się w jego nierówny oddech. Dopiero po chwili dostrzegła, że pod dłonią jej ojciec trzyma jakiś świstek.

Spojrzała szybko na szafkę. Stały tu tylko woda i kwiaty. I już wiedziała, czego brakowało jej w tym pokoju.

Zdjęcia Mili. Aleksander Siergiejewicz położył je sobie na brzuchu i przykrył dłońmi.

13

Z Chodkowskim umówiła się już na Jagiellońskiej. W pokoju starszego aspiranta unosił się zapach żelu pod prysznic z bergamotką i miętą, który działał na nią jak afrodyzjak. Zobaczyła, że przy biurku stoi torba z rzeczami sportowymi, i ucieszyła się, że jej podwładny zdążył jeszcze dzisiaj zaliczyć siłownię lub koszykówkę, albo jedno i drugie. Siedział teraz, zupełnie po cywilnemu, w koszykarskiej bluzie Nike'a, z nosem w komputerze, popijając koktajl z shakera.

Na jej widok starszy aspirant tylko łypnął znad ekranu. Wiedział, gdzie była, a Warwiłow mogła mieć pewność, że już jej o to nie zapyta.

– Opowiadaj – oznajmiła, siadając na wolnym krześle.

Odwrócił się w jej stronę z lekkim opóźnieniem i zajęta miną. Zauważyła, że im więcej spraw przydzielano Chodkowskiemu – a w trakcie jej urlopu macierzyńskiego ich liczba wyraźnie wzrosła – tym wolniejsze stały się jego reakcje. Jak każdy mężczyzna nie potrafił ogarnąć więcej niż dwóch rzeczy naraz: skrzętnie skrywany sekret ludzkości. Nie miała pojęcia, dlaczego tak mało kobiet pracowało w policji. Te, które znała, były świetne.

– Paweł Kosowski – przypomniała mu cierpliwie.

– Wiem. Dwadzieścia dziewięć lat – powiedział. – Pracuje jako kucharz.

– Serio?

– Co w tym dziwnego?

– Nic, ale mało znam zawodowych kucharzy.

– Połowa chłopaków z bloku, w którym mieszkam, pracuje w kuchni.

Mężczyźni świetnie gotują.

– Kiedy im się chce.

– Jamie Oliver, Anthony Bourdain. Taki młody gość, Łapanowski, fajnie teraz gotuje w telewizji...

– Ty też byś mógł.

– Dzięki, ale to inny poziom. Kosowski startował nawet w MasterChefie. Oglądasz?

– Wiesz, że nie cierpię telewizji.

– I nigdy tego nie rozumiałem. – Uśmiechnął się, pomimo spowolnienia wyraźnie w dobrym nastroju.

Sama nagle zatęskniła za sportem, przede wszystkim bieganiem. Za endorfinami, których jej dostarczało.

– No to do rzeczy, Gordonie Ramsayu – powiedziała.

– A jednak coś wiesz. – Zaśmiał się. – W każdym razie Kosowski startował w 2012 roku i odpadł w półfinale.

– No i co? Półfinał to chyba nieźle.

– Zdaniem wielu powinien był wtedy wygrać. Nawet go pamiętam z tamtej edycji.

– Taki był dobry?

– Bardzo kreatywny. Kaszanka z czekoladą i takie tam numery.

– Ble.

– Ja bym spróbował.

– Brzydzi mnie nawet, jak o tym mówisz.

– Ale może być pyszne. – Chodkowski wyszczerzył zęby. – W każdym razie chyba spękał psychicznie na którymś etapie, jednak zdobył popularność i po programie założył swoją knajpę, ale dwa lata później ją zamknął.

– Biznesy padają.

– Tak. Ale nie pomaga kokaina.

– Co masz na myśli?

– Że Paweł Kosowski jest bardzo dobrym klientem dilerów.

– Kucharz?

– Ćpają na potęgę. Wiesz, jakie tam jest napięcie w robocie, jaki stres?

Chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Narkotyki stanowiły temat tabu w policji, bo było nie do pomyślenia, że ktoś z funkcjonariuszy zażywał coś, za co sam ścigał. Kokaina była jednak wódką XXI wieku, bez kaca i bez marskości wątroby.

– Zresztą to, że ćpa, to jeszcze nie taki problem jak to, że robi to na kredyt – dodał Chodkowski i pociągnął łyk swojego koktajlu.

Zaczynało się robić ciekawie, Warwiłow poczuła na plecach znajomy dreszcz łapania świeżego tropu.

– Dawali mu? – zapytała.

– Wiedzieli, czym jest bratem – odparł.

– Mimo to dziwne.

– No tak, oczywiście wszystko ma swój koniec. Mój informator twierdzi, że dług Kosowskiego jest traktowany bardzo poważnie. A to oznacza, że nie tylko mógł chcieć, ale potrzebował śmierci swojej siostry.

Karolina Moskał była bardzo niespokojna. Zapomniała zamówić stałym klientom sałatki z grillowanymi krewetkami i granatem, co kosztowało ją niezły napiwek. Innym z kolei nie wbiła deseru, a potem mocowała się z butelką wina i cudem nie rozlała go na klienta. Ogólnie miała przykre poczucie, że lewituje nad ziemią w złym tego słowa znaczeniu.

Szczytem wszystkiego i tak okazało się obsłużenie pary policjantów. Jakoś spodziewała się ich jednak w Lawendzie. Na szczęście nie zamówili niczego do jedzenia, to by już była przesada. Policjantka poprosiła o kawę americano, a ten młodszy od niej policjant o miłym uśmiechu i sympatycznej twarzy – zieloną herbatę.

– Rozumiem, że państwo nie jesteście tu przypadkowo? – zapytała Karolina, usiłując zgasić nerwy.

– Nie jesteśmy – odparła komisarz Warwiłow. – I chcemy poprosić, żeby pani usiadła z nami na piętnaście minut.

– W celu...

– Mamy jeszcze parę pytań.

– Widzicie państwo, co się dzieje – westchnęła Moskał, wskazując na pozostałe stoliki.

– To znaczy?

Dla człowieka z zewnątrz knajpa wyglądała spokojnie. Ale sam fakt, że zajęte były prawie wszystkie stoliki, oznaczał dla obsługujących piekło.

– Mamy komplet – wyjaśniła.

Warwiłow rzuciła spojrzenie na podwładnego, ale nie powiedziała ani słowa.

– Ale za trzydzieści minut mam przerwę – oznajmiła Karolina.

– Poczekamy. Czy Paweł Kosowski jest w restauracji?

– Tak. Ale bardziej zajęty niż ja.

– Aha.

– Restauracja realizuje jeszcze zewnętrzne zamówienie i Paweł gotuje od piątej rano. To pomaga mu wytrzymać.

– Jasne.

– Dopiero wieczorem będzie wolny – powiedziała dziewczyna, zastanawiając się, ile oni w zasadzie mogą. Nigdy przedtem nie miała do czynienia z policją. Do tej pory byli uprzejmi, bardziej niż się spodziewała.

– Gramy tym, co mamy – odparła Warwiłow z lekkim uśmiechem. – Więc zostaje nam tylko pani.

I pół godziny później Karolina usiadła przy ich stoliku, wiedząc, że menadżer bistro przygląda jej się wnikliwie zza baru. W pracy wszyscy drżeli z ciekawości, ale obydwójce z Pawłem milczeli na temat tego, co działo się od piątku rano.

Pawła zostawiono w końcu w spokoju, ale za jej plecami wyrósł już wścibski tłumek. Dyszący z ciekawości kelnerzy, kucharze, bariści i barmani. Tak jakby nie przyjęli do wiadomości faktu, że Sara Kosowska była również jej przyjaciółką.

– Pani tutaj pracuje na stałe? – zagaiła policjantka.

– Nie. Tylko w weekendy.

– A poza tym?

– Prowadzę jogę. Taką dla starszych ludzi. Do tego robię masaże twarzy i próbuję rozwijać swoją stronę coachingową.

– Rozumiem.

– Chyba jeszcze nie zdecydowałam do końca, kim jestem – dodała.

– W porządku, nikt pani nie ocenia – zaśmiała się Warwiłow. – Do trzydziestki ludzie to jeszcze bobasy. Porozmawiajmy o wczorajszym poranku. O dziesiątej trzydzieści rozdzieliliście się państwo. Razem z Pawłem i Sarą udaliście się na taras. Czy była z wami dziewczyna z Koktajlu?

– Nie... już mówiłam.

– Poszliście prosto na taras?

– Tak, wyszliśmy na górę i zaczęliśmy obserwować zaćmienie.

– A Sara?

– Była z nami.

– Potem też? Kiedy wrócili Lutyński z Borewiczem?

– Wtedy położyła się na kanapie w salonie.

- Od razu?
 - Po tym, jak wzięła kawę.
 - Ale widziała to pani?
 - Tak, widziałam. Czy mogę zapytać... macie już badania...
 - Nie – ucięła Warwiłow. – Czy Sara sama wzięła frappé z tacki, czy ktoś jej podał?
 - Sama.
 - Jest pani pewna? Proszę się dobrze zastanowić. Nigdzie nam się nie śpieszy.
- Karolina uspokoiła oddech.
- Jestem pewna – odparła. – Podeszliśmy po kolei po kawę, Lutek postawił ją na jakiejś tekturze. Oczywiście nikt nie brał kubka Sary, bo wszyscy wiedzieli, że to jej. A potem Sara zniknęła.
 - Nie pomyślała pani, że to coś dziwnego?
 - Dlaczego? Wszyscy byliśmy zmęczeni i zrobiło się naprawdę gorąco. Sama już umierałam... to jest...
 - Nie szkodzi – ucięła Warwiłow. – Co było potem?
 - Przepraszam, ale muszę wyjąć chusteczkę.
- Uprzejmy Chodkowski podsunął jej prosto pod nos.
- Dziękuję – odparła z wdzięcznością.
 - Nie ma za co – uśmiechnął się, a Warwiłow zachowała kamienną twarz. Wpatrywała się w nią badawczo.
 - Ktoś zapytał, gdzie jest Sara – podjęła spokojnie Karolina. – A potem Paweł poszedł do niej, do środka...
 - Dlaczego?
 - Nie wiem. Może się zaniepokoił.
 - Ale czym dokładnie?
 - Imprezowaliśmy całą noc.
 - Czy Sara była słabego zdrowia?
- Karolina wzruszyła ramionami.
- Oni obydwój z Pawłem są delikatni, miewają migreny.
 - Czy tylko to pani ma na myśli?

– Przepraszam, ale znowu nie rozumiem. – Odniosła wrażenie, że Warwiłow instynktownie pochyła się w jej stronę, i sama odchyliła się do tyłu, aż zaskrzypiała nóżka designerskiego krzesła.

– Czy zażywała coś tego dnia, poza alkoholem? – zapytała komisarz. – Jakież leki? A może narkotyki?

– Już pani o to pytała.

– Więc proszę wreszcie powiedzieć nam prawdę. Nie zajmujemy się narkotykami, tylko śmiercią Sary Kosowskiej. Cokolwiek pani powie, zostanie między nami.

I czterdziestoma klientami restauracji. Karolina pomyślała, że Warwiłow nie docenia lokalnej akustyki.

– Sara nie brała narkotyków – powiedziała cicho. – Ale ostatnio mogła brać leki.

– Jakież?

– Psychiatryczne.

– Psychotropy? Nasenne?

– Nie byłam na bieżąco. Ale coś na sen zwykle brała. Naprawdę nie wiem jednak co. Z reguły nie wtrącam się w sprawy medyczne innych – dodała.

– Dobrze. Czyli wiemy, że wkrótce po wejściu do apartamentu udaliście się na taras.

– Tak, przed wpół do jedenastej, już mówiłam...

– Tak. I wiemy też, że Borewicz i Lutyński wyszli chwilę później po lód.

– Tak. Wtedy chyba ta dziewczyna została i... – powiedziała Karolina, ale zniechęta wtrącił się Chodkowski.

– O niej teraz nie rozmawiamy – powiedział.

– Przypuśćmy, że kawa została bez opieki – podjęła Warwiłow. – I właśnie upewniła nas pani w przekonaniu, że Sara wzięła swoją kawę bezpośrednio z tacki i nie było tu żadnego pośrednika. Pani Karolino, byłam na waszym tarasie, jest szczelnie osłonięty od światła. To, co się tam dzieje, można chyba tylko zobaczyć z powietrza, z góry. Wiemy już, że pani narzeczony Paweł Kosowski dziedziczy po siostrze cały jej majątek. I nikt poza panią nie może zaświadczyć, że nie schodził z tarasu, wtedy

kiedy Borewicz z Lutyńskim zostawili kawę samą. Nie zorientowaliby się, gdyby ktoś w tym czasie dosypał do środka trucizny. Dlaczego mamy wam wierzyć, że byliście na tym tarasie przez cały czas, jeśli nie ma na to świadków? – Warwiłow nie była już łagodna. Ale nie była zdenerwowana, choć jakby bardziej czujna.

– Nikt nas nie widział, to pewnie prawda, jeśli pani tak mówi – powiedziała Karolina. – Ale to nie oznacza, że nie ma dowodu, że tam byliśmy.

– Ale jakiego?

– Filmu.

Puściła im to nagranie, a potem Warwiłow kazała jej powtórzyć, ale nie wymówiła przy tym ani słowa. Zajęło im to całą godzinę i Karolina była przekonana, że po fakcie dostanie opieprz od menadżera. Nie miała jednak odwagi postawić się policjantce.

Ta pod koniec drugiego odtworzenia spojrzała znacząco na swojego podwładnego.

– Nagranie obejmuje szczytowe pół godziny zaćmienia – skomentowała.

– Tak. Chcieliśmy to nagrać, to jest coś niezwykłego.

Starszy aspirant też nie wyglądał na zadowolonego.

– Jak tysiące innych ludzi w naszych czasach – dodała Karolina.

– A Paweł Kosowski jest w kadrze przez cały czas – powiedziała Warwiłow. – Dlaczego?

– No, tak wyszło. Takie ujęcie.

Policjantka wpatrywała się w nią uważnie.

– Czy mam się tłumaczyć z tego, że umieściłam narzeczonego na filmie?

– Nie, nie musi pani – powiedział Chodkowski i spojrzał na Warwiłow.

Ledwo widocznie kiwnęła głową.

– Będziemy musieli z nim porozmawiać – dodał. – Wiem, że jest mu trudno, ale nie ma innego wyjścia.

– Jasne.

– Proszę go uprzedzić. Jutro najpóźniej.

– Rozumiem, przekażę mu.

Karolina patrzyła, jak policjanci wsiadają do brudnawej mazdy. I potem jeszcze chwilę, jak odjeżdżali. A następnie skierowała się do kuchni, przeszła wzdłuż lśniących blatów, rondelków i garnków, wśród zapachów świeżej zupy cebulowej i w żarze ognia, na którym smażyono sezonowaną polędwicę. Aż do odrapanych drzwi ubikacji dla pracowników.

Zapukała w nie cicho.

– To ja – powiedziała, a kiedy nikt jej nie odpowiedział, pchnęła drzwi, z których dawno urwano już zamek.

Paweł wcale nie gotował. Oznajmił jej, że nie da rady, i od godziny siedział skulony w kącie między ubikacją a umywalką, nie mogąc zmusić się do niczego.

Kupka tytoniu leżała na ziemi, a w niej zgaszonych było parę niedopałków. A opatrunek na palcu przesiąkł już krwią.

Jej narzeczony był biały jak kreda.

– Wyszli? – zapytał.

– Tak.

Pokiwał głową. Podeszła i kucnęła koło niego.

– To na pewno nie potrwa już długo – powiedziała, wtulając się mocno w Pawła, który pachniał jak popielniczka.

Położył głowę na jej ramieniu.

Nie chciał jeszcze zakładać rodziny, przynajmniej zaczęli już o tym rozmawiać. Powiedział, że oswaja się z myślą, że może być czyimś tatą. Jednak Karolina czasami czuła, że ona i tak jest już mamą. Że ma jedno dziecko i jest nim właśnie Paweł.

Resztki ziemskiego istnienia Sary Kosowskiej spoczywały na stole w Zakładzie Medycyny Sądowej na ulicy Oczki. Nad nimi wywód ciągnął Skotnicki, czerstwy, milkliwy facet z wczesną wiosenną opalenizną. Poza nimi słuchał tego – choć może lepszym słowem byłoby: przyglądał się – młody prokurator w prążkowanym garniturze.

Stassberg, oczywiście, nie mógł przyjść. Wyznaczył kogoś albo poprosił o wyznaczenie, a to dlatego, że w to sobotnie popołudnie zajmował się jej dzieckiem. Chociaż i tak wcześniej, całkiem wyraźnie, usiłował zepchnąć sprawę Sary Kosowskiej na innych. Przy tym Warwiłow nie rozpaczała nad jego nieobecnością na Oczki. Nigdy nie był oskarżycielem z prawdziwego zdarzenia, bardziej sprawnym realizatorem zadań i znacznie lepiej radził sobie z kwitami niż rozkrajanymi ciałami.

Bez niego szybciej nam pójdzie, pomyślała, spoglądając na zwłoki. Popołudniowe światło wpadało na salę sekcyjną i rzucało dramatyczny blask na leżącą na stole kobietę. Przypominała wielką bladą lalkę; wrażenie psuło tylko czerwone nacięcie na brzuchu, ciągnące się aż do mostka. Aktorka była też szczuplejsza, niż Warwiłow sądziła, musiała chyba nosić push-upy.

– Przeprowadziliśmy badania toksykologiczne i pobraliśmy odrobinę tkanki z żołądka – oznajmił Skotnicki.

– Alkohol? – zapytała.

– Śladowe ilości. Za to citalopram i trazodon.

– W jakich ilościach?

– Niemałych – skwitował Skotnicki i zamilkł, jakby powiedział już wystarczająco dużo.

Miała ochotę cmoknąć z irytacji.

– Czy ta mieszanka mogła okazać się śmiertelna?

– Nie sędzę – odparł lekarz, przeciągając sylaby.

– Nawet uwzględniając zmęczenie po nieprzespanej, przeimprezowanej nocy? – Warwiłow zerknęła na wychudzone ciało Kosowskiej. – A może

i lekkie niedożywienie?

– I tak to się wydaje mało prawdopodobne – powiedział Skotnicki. Pod działkową opalenizną patomorfolog wyglądał na zrelaksowanego. A także pomimo faktu, że wyciągnęła go do pracy w weekend. – Ale znaleźliśmy coś jeszcze.

– Co takiego?

– Porównaliśmy materiał w kawie, którą piła Kosowska, z zawartością jej żołądka. Zidentyfikowaliśmy jedną i tę samą substancję.

– Toksyčną? – Warwiłow zerknęła na faceta z prokuratury, który chyba nieco się ożywił.

– W pewnych ilościach na pewno.

– Co to jest? – zapytała, ale Skotnicki miał chyba swój pomysł na przebieg tego spotkania.

– Jest wysoce prawdopodobne – odchrząknął – że ta właśnie substancja spowodowała uśpienie, a następnie, chwilę później, zatrzymanie pracy serca. – Lekarz zrobił krótką pauzę. – Jest to pentobarbital sodu we własnej, że tak powiem, osobie.

Komisarz spojrzała na prokuratora, który zaczął zawzięcie coś notować: po sali rozniósł się odgłos skrobienia eleganckim wiecznym piórem. Wydawało jej się, że boi się być zapytany. Od kiedy mafia prawnicza otworzyła furtkę do uzyskania uprawnień adwokackich i radcowskich, okazało się, że rynku nie starcza dla wszystkich, i rozpoczęła się migracja. Świeżo upieczeni radcowie i adwokaci zaczęli pchać się do sektora publicznego: prokuraturii generalnej, urzędów, a nawet do prokuratury. Ta z kolei była do tej pory niedokadrowana, o ile więc dany kandydat spełnił wymagania, załapywał się na etat.

Co wcale nie oznaczało, że niedoszły adwokat czy radca miał jakiegokolwiek pojęcie o pracy oskarżyciela. Ten chyba nie miał. Natomiast Warwiłow przeglądała w głowie nazwy znanych jej związków chemicznych. Hasło „pentobarbital sodu” brzmiało znajomo, ale bardziej jak kuzyn czegoś, co znała lepiej. W zasadzie jednak wszystko, co łączyło się z członem „barbital”, było godne uwagi dla zawodowego śledczego.

– Czy może pan powtórzyć nazwę? – poprosiła.

– Proszę nawet nie żartować, że pani tego nie wie – odpowiedział Skotnicki, którego lakoniczny styl wysławiania się nie przeszkadzał mu pracować na Uniwersytecie Medycznym. I komisarz Warwiłow nagle poczuła się jak na odpytce.

– Niech pan odpowie na moje pytanie – odparła, główkując jednocześnie intensywnie. Była już coraz bliżej. Barbiturany, myślała, turystyka eutanazyjna. Klinika Dignitas w Szwajcarii. Zmiany w prawie któregoś ze stanów, może Oregonu?

– Pentobarbital sodu występuje powszechnie pod inną nazwą – wyjaśnił Skotnicki. – Nazywany jest...

– Nembutalem! – weszła mu w słowo Warwiłow.

– A jednak zdała pani egzamin.

– Oczywiście, że wiem, co to jest nembutal. Nie muszę pamiętać za to nazw wszystkich związków chemicznych – urwała, słysząc, jak dziecinnie to zabrzmiało. Po chwili podjęła: – Jest to środek z grupy barbituranów, niegdyś reklamowany jako uspokajający. Był masowo nadużywany, również w celach samobójczych, bardzo popularny w sferach artystycznych. Nembutalem otruli się między innymi Jimi Hendrix, Marilyn Monroe, Judy Garland i połowa samobójców z Hollywood z okresu powojennego. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych siał prawdziwe zniszczenie i wciąż można go było legalnie kupić. Alkohol znacznie zwiększa jego skuteczność, a to, że funkcjonował niegdyś jako popularny środek nasenny, sprawiało, że trudno było udowodnić, że przedawkowanie nie nastąpiło przypadkowo. W końcu został jednak powszechnie wycofany ze sprzedaży, gdzieś w latach sześćdziesiątych, i obecnie można go nabyć tylko w celach usypiania zwierząt i tylko w niektórych krajach. Tajlandia i Peru, może jeszcze Chiny. Używany jest również w tych krajach i stanach, gdzie zezwolono na karę śmierci. A także i eutanazję. W Europie dokonuje się jej w Szwajcarii w Klinice Dignitas i następuje w wyniku wypicia szklanki nembutalu. Chociaż szybciej, w zasadzie natychmiastowo, działa zastrzyk...

– Zdaje się nielegalny z punktu widzenia szwajcarskiego prawa – wtrącił Skotnicki.

– Tak – kontynuowała. – Zastrzyków nembutalu dokonywał zresztą Kevorkian, nazywany doktorem śmiercią. Skonstruował maszynę, dzięki której jego pacjenci sami wstrzykiwali sobie śmiertcionośną dawkę leku. Długo nie stanowiło to łamania prawa przez lekarza, bo fizycznie, w teorii przynajmniej, nie było w tym jego udziału. I z tego, co pamiętam, ostatnio nembutal powrócił w tych stanach, gdzie zezwolono na eutanazję. Czyli w Oregonie, może jeszcze w Waszyngtonie... – urwała.

– No to poprawiła się pani – oznajmił Skotnicki. – Wygląda na to, że nie muszę już niczego wyjaśniać.

– Proszę spróbować. Jak szybko następuje śmierć?

– Po około czterech minutach zapada się w sen, następnie dochodzi do zatrzymania oddechu i pracy serca.

– I jaka jest laboratoryjnie przebadana skuteczność nembutalu?

– To oczywiście zależy od dawki.

– A co do tej, którą znaleźliście w żołądku Kosowskiej?

– Pani podkomisarz...

– Komisarz.

– Przepraszam. I gratuluję. Rzeczywiście Amerykanie i Anglicy, w tym przede wszystkim ci szarlatani, którzy sami siebie nazywają lekarzami od eutanazji, prowadzą statystyki związane z zażywaniem tego środka. Sto mililitrów czystego nembutalu wystarczy, żeby spowodować śmierć. Większość przyjmujących umiera w ciągu piętnastu minut od zażycia, a w ciągu godziny prawie wszyscy. Przypadki, kiedy nie dochodzi do zgonu, poddawane są skrupulatnym badaniom i zwykle wykrywana jest pewna nieprawidłowość w zakresie przyjęcia samego leku, włącznie z nieprawdą poświadczaną przez przyjmujących. Tak więc, odpowiadając na pytanie, nembutal ma w zasadzie stuprocentową skuteczność, nie mniejszą od klasycznych trucizn, takich jak cyjanek czy arsenik. Cechuje go wybitna skuteczność i, w przeciwieństwie do cyjanku, bezbolesność.

– A także mocno ograniczona dostępność – wtrąciła.

– Tak. Dzięki tym swoim walorom jest popularnym i pożądanym środkiem na rynku. Niektórzy nazywają go Świętym Graalem wszystkich

samobójców. Wiedzą o tym policja i służby celne, ale to oczywiście już nie jest moja dziedzina.

Warwiłow kiwnęła głową, a potem zwróciła się do młodego oskarżyciela:

– Czy prokuratura ma jakieś pytania do doktora Skotnickiego?

Lekko się spłoszył.

– Wszystko pani komisarz opowiedziała – odparł, uśmiechając się.

Wyobraziła sobie tego fircyka za dwadzieścia lat, styranego praskimi zbrodniami. Wątpiła, by wytrwał tak długo. Stassberg po trzech latach już uciekał na jakąś miłszą posadkę.

– Na pewno nie wszystko – powiedziała. – Doktorze – popatrzyła ponownie na Skotnickiego – czy nembutał mógł być bezpośrednim powodem śmierci Sary Kosowskiej?

– W ilościach, w jakich go znaleźliśmy... – odparł Skotnicki, a potem dywagował nieznośnie długą chwilę. – Tak, jest to bardzo prawdopodobne. Graniczące z pewnością.

W sobotę wieczorem Lutek uruchomił w końcu swój motocykl, ścigacz marki Honda. Czekał na to od początku roku i jak zawsze pozostali śmiali się z niego, że będzie moknąć oraz ryzykować życie i zdrowie. Jednak teraz, wczesną wiosną, to on czuł się wygrany, kiedy w ostatnich promieniach słońca jechał mostem Poniatowskiego, mijając nudziarzy w kombi niczym w grze komputerowej.

Już od – przedwczesnego – zakończenia studiów Lutek prowadził dość oryginalny tryb życia. W biurze bywał w zasadzie tylko w czwartki, piątki i czasem w weekendy, pozostały czas spędzał, śledząc dane przed komputerem. Jego ojciec, technolog, który przepracował trzydzieści lat w zakładach żywnościowych, do tej pory nie zrozumiał, jak syn właściwie zarabia na chleb.

Zawodowo dzieliła ich absolutna przepaść i Lutek celowo zaniżał przed rodzicami informacje o swoich zarobkach. Nie informował też, że zdarzało mu się kupować akcje ich pracodawców, po prywatyzacji tychże zakładów. Jego rodzice, żyjący w m2 w Ursusie, nie mogliby pojąć, jak Lutek może zarabiać kilkakrotnie więcej niż oni razem, nie będąc zwykłym złodziejem.

Nie rozumieliby też jednak, że do dzisiejszej dwugodzinnej rozmowy dotyczącej wprowadzenia na giełdę prężnego i ambitnego producenta drukarek 3D Lutek przygotowywał się już od tygodni. Że jego praca wiąże się z wielkim stresem, od którego był już w połowie siwy, co maskował na comiesięcznej wizycie u fryzjera. Że młodsze o dziesięć lat dzieciaki wykazują się bezwzględnością, na którą nigdy nie byłoby go stać. A w budynku, w którym mieściło się jego biuro maklerskie, zainstalował się regularny diler, który dostarczał świeżej dawki energii i motywacji każdemu, kto jej potrzebował.

W wieku trzydziestu lat Michał Lutyński czuł się już weteranem giełdy i czuł się miękki. Chyba za bardzo lubił ludzi i nigdy nie należał do pracoholików. Dzisiejsze spotkanie było dla niego w zasadzie ostatnią

deską ratunku. W biurze maklerskim już jakiś czas temu dano mu znać, że jest zbędny.

Poranna rozmowa z komisarz Warwiłow zaniepokoiła go, z pewnością policjantka zawitała też do pozostałych. Niepokoiły go też inne rzeczy dotyczące Sary i bardzo chciał, żeby odnaleziono już tę dziewczynę z Koktajlu. Media jednak milczały; Lutek sprawdzał TVN24 co piętnaście minut. A jeśli jej nie odnaleźli, to dlaczego się tym, do diabła, nie zajmują, czemu nie piszą? Czy policja mogła zdecydować o zaprzestaniu poszukiwań i ukryć to przed dziennikarzami?

Przyśpieszył jeszcze, jadąc środkiem jezdni i osiągając na moście prędkość stu dwudziestu. Zwolnił dopiero przed rondem Waszyngtona, tam skręcił w ulicę Francuską. Zrobiło się wystarczająco ciepło, żeby kawiarnia na rogu ulicy Berezyńskiej wystawiła swój ogródek; jak zawsze błyskawicznie zapełniła się kępcami. Wiedział, że obrzucą jego motor niechętnym spojrzeniem. Na Saskiej Kępie na czasie było obecnie życie rodzinne, a w związku z tym masywne SUV-y, a nie śmiercionośne jednoślady. „Dawca organów” – usłyszał, kiedy zaparkował motocykl i zdjął kask.

Kij im w oko. Wyżowe roczniki 1982–1985 obrosły etatami, własnymi firmami, pieniędzmi, w końcu również potomstwem. Z tej okazji niemodne zrobiły się motocykle, imprezy i zwariowane wypadki na Bałkany. Nagle wszystko to stało się bardzo ryzykowne, choć na albańskich ulicach było bezpieczniej niż na Mazowieckiej w weekend.

Karolina siedziała przy stoliku pod czerwoną parasolką, pojawił się również Borewicz.

- Pawła nie będzie – poinformowała.
- Jasne – powiedział Lutek. – Jak on się czuje?
- Bardzo kiepsko.

Lutek pokiwał głową, czując się trochę nieswojo. Nigdy nie byli we trójkę. Bardzo rzadko we czwórkę. Prawie zawsze w piątkę i czuł się teraz dziwnie zdekompletowany. Każdy z nich dodawał coś do towarzystwa, jednak w tym zestawie Lutek odnosił wrażenie, że Karolina i Borewicz są mu poniekąd obcy.

Z Karoliną nie miał w zasadzie żadnej relacji, z piątki zdecydowanie najbardziej lubił Pawła i Sarę... Nagle pomyślał, że śmierć Sary będzie oznaczać koniec tego dziesięciolecia w jego życiu, które spędził, pracując i uganiając się właśnie za nią, a kończąc w łózkach zupełnie innych dziewczyn. I wszystko w tym towarzystwie. Ci ludzie wiedzieli o nim znacznie więcej niż rodzice.

– Była u nas Warwiłow – powiedziała Karolina.

Z automatu obojwójce spojrzeli na Borewicza.

– U mnie nie – skomentował, a kiedy zapadło milczenie, dodał: – I co?

– Wychodzi na to, że mamy alibi – oznajmiła. – Ten film z zaćmienia, który nagraliśmy... – Zawahała się.

– To chyba dobrze – powiedział Lutek.

– Na pewno dla Pawła – dorzucił Bartek.

– Co masz na myśli? – zapytała Karolina.

– No chyba coś dziedziczy po Sarze, prawda?

Cisza. Lutek spojrział na Karolinę: zacięła usta. Kiedy była w dobrym humorze, wydawała mu się bardzo ładna, ale kiedy była zła, wyglądała jak facet.

– Czy Sara miała testament? – kontynuował niewzruszony Borewicz.

Skierował spojrzenie prosto na niego. Lutek wzruszył ramionami.

– Czyli jest coś, czego nie wiesz o jej sprawach, Lutek? – odezwała się złośliwie Karolina.

– Daj spokój, Karo...

– Jeśli nie miała, to Paweł dziedziczy całość – skwitował Borewicz. Zdążył zaliczyć dwa lata studiów prawniczych. Twierdził, że najważniejsze, co przyswoił, to aby nigdy się nie przyznawać. – Komu innemu miałyby coś przekazać?

– Nam – rzekł Lutek z lekkim uśmiechem. – Ale to raczej wątpliwe.

Zapadło milczenie.

– Naprawdę nie wiem, czemu rozmawiamy o pieniądzach – przerwała jej w końcu Karolina. – Jeśli już chcecie wiedzieć, to tak, spisała.

– Kiedy to zrobiła? – zapytał Lutek.

– W zeszłym roku poszła do notariusza.

– Dlaczego?

Znowu cisza.

– Ktoś z was to zrobił? Spisał testament? – podjął Lutek.

– Nie. Zresztą co za różnica, i tak jestem goły – powiedział Borewicz.

– Może to było po tych listach z pogrózkami? – zasugerowała Karolina.

– Może. Tylko to zakłada, że spodziewała się, że ktoś ją zabije, co jest absurdalne, prawda?

– A masz lepsze wytłumaczenie?

Lutek pokręcił powoli głową. Miał wrażenie, że i Karolina, i Bartek myślą o jeszcze jednej opcji, jednak nikt nie wypowiedziałby tego na głos.

– Nie mam pojęcia – powiedziała w końcu cicho Karolina. – Ale notariusz już skontaktował się z Pawłem.

– Bardzo o niego dbała – stwierdził Lutek.

– Nawzajem o siebie dbali – odparła z naciskiem. – Musieli. A teraz Paweł musi zorganizować jej pogrzeb.

Lutek pokiwał głową i wziął kolejny kęs, rozglądając się dookoła. Spotkanie dzisiaj poszło całkiem nieźle i mimo że przeżywał smutek z powodu Sary, miał też myśl, którą się z nikim nie podzielił. Odczuwał ulgę, że nie będzie musiał już walczyć z tym uczuciem. Sara stanowiła czarną dziurę jego życia, wpadł w nią, chociaż to nigdy nie miało szans powodzenia i choć Sara miała milion problemów, które go przerastały. Może właśnie to te problemy go w niej pociągały, a teraz nie będzie musiał się już z tym wszystkim mierzyć.

Zerknął na swój motocykl i nagle poczuł się wolny. Byle tylko odnaleźli tę zwariowaną dziewczynę i wreszcie będzie mógł oddychać. Spojrzał na strapione twarze Karoliny i Borewicza i pomyślał, że może jednak ci ludzie nie pozostaną z nim na całe życie, tak jak do tej pory zakładał. A jeśli szykowały się zmiany, to nadszedł najwyższy czas, żeby poznać kogoś nowego. Podobno po trzydziestce człowiek zostawał z tymi przyjaciółmi, których do tej pory uzbierał.

W niedzielę rano Mila wskoczyła Ninie na głowę.

– Mamo, obudź się! – krzyknęła.

Warwiłow odnosiła wrażenie, że jak tylko córka nauczyła się mówić, zaczęła jej rozkazywać. Dlaczego? Czy instynktownie karała ją za bycie samotną matką?

– Jeszcze chwila, Miluś – szepnęła. – Porysuj sobie. Mamusia jeszcze śpi...

– Kiedy przyjedzie tata?

Mała mówiła o Stassbergu. Obecnie Mila nazywała tak zarówno jego, jak i Tomka. Pani w żłobku poprosiła raz Ninę na bok i zapytała, dlaczego mała mówi do wszystkich dorosłych mężczyzn per tata. Warwiłow spaliła się ze wstydu, a potem usiłowała obrócić sprawę w żart. Przedszkolanka nie wyglądała jednak na zadowoloną.

– Figura ojcowska jest dla dziecka równie ważna jak matka. Ostatnie badania pokazały, że...

– Mila ma tatę! – przerwała jej Warwiłow, sama nie wiedząc, o którym konkretnie mówi.

– Rozumiem. Dla bezpieczeństwa dziecka jest równie ważne, żeby wiedziało, kto nim jest. – I przedszkolanka odwróciła się, zanim Nina zdołała zaripostować.

– Za chwilę – odpowiedziała teraz Mili. – Porysuj sobie, ja pośpię i tata zaraz przyjedzie.

– Nie, z tobą! – skomentowała mała, targając ją za włosy.

Nina westchnęła ciężko, patrząc na zegarek. Było po ósmej, zdecydowanie skorzystałaby, śpiąc dzisiaj do dziesiątej. W zasadzie czemu umówiła Stassberga tak późno? Powinien już tu być o siódmej rano. To się musi zmienić.

– Dobrze, kochanie – westchnęła.

Prokurator pojawił się w swoim uniformie weekendowym, na który składała się odprasowana koszulka polo, sportowa kurtka, jasne dżinsy i zielone buty new balance.

Pocałował Milę na powitanie, mówiąc w międzyczasie do Niny:

– Dobrze, że umówiliśmy się o dziesiątej. Obudziłem się już o siódmej, więc podskoczyłem jeszcze na basen, zrobiłem pięćdziesiąt długości, potem zdrowe śniadanko...

Spojrzała na niego z nienawiścią. Lśniący i czysty, chyba nawet nie zauważył, jak bardzo ją irytował.

– No to działaj – mruknęła. – A ja wreszcie napiję się kawy.

Wiedziała, że sama wygląda fatalnie, włosy miała w nieładzie i czuła się napuchnięta z niewyspania, a widok tryskającego zdrowiem Stassberga tylko pogorszył jej nastrój. Na szczęście przyniósł ze sobą grę planszową dla Mili i jakoś ją tym zajął.

Nina apatycznie usiadła przy białym stole kuchennym – jak cała jej kuchnia kupionym na szybko w Ikei, z proporcjonalnym do wysiłku efektem – sprawdzając wiadomości. Oczywiście najwięcej ich miała na Tinderze, aplikacji do randkowania, zainstalowanej po rozmowie z koleżanką z pracy. Zrobiła to wkrótce po tym, jak Aleksander Siergiejewicz po raz drugi wylądował w szpitalu, a związek ze Stassbergiem wkroczył w fazę hibernacji. Żeby nie zostawać sam na sam z myślami w długie zimowe wieczory po położeniu Mili spać.

„Może piwo”, „Chcesz iść na piwo?”, „Idziemy na piwo, może wpadniesz?” – napisali po sobie i niezależnie od siebie Artur, Paweł i – uwaga – Arnold.

– Serio? – powiedziała na głos.

– Słucham – odezwał się Stassberg.

– Nie, nic... – mruknęła, lekko się rumieniąc. W zasadzie Maciek też mógł używać Tindera, pewnie zebrałyby sto dopasowań w piętnaście minut... Spojrzała na swoją listę: „piwo?” dzielone na „co słyszać” i na kompletnych milczków. Nie miała intrygujących przystojniaków na swojej liście, a ci dobrze wyglądający odpychali ją jeszcze bardziej. Na pewno coś ukrywali.

– Proszę? – powiedział Stassberg, który ewidentnie chciał uczestniczyć w tej jej rozmowie z samą sobą. Mieszkanie przy skwerze Paca było zdecydowanie za małe. Loft na Katowickiej – mimo że nieprzedzielony ścianami – zapewniał znacznie większą intymność.

Maciek nagle pojawił się w kuchni, w ostatnim momencie odłożyła komórkę ekranem na dół. Z pewnością to zauważył.

– Nic takiego – oznajmiła. – Daj mi chwilę dla siebie.

A kiedy, lekko obrażony, odszedł tym swoim sztywnym krokiem, Nina odwróciła telefon i jednym ruchem skasowała aplikację z ekranu. I tak niewiele pomagała na samotność.

Stassbergowi udało się zająć Milę na dobre, a Warwiłow wreszcie coś zjeść: wrzuciła do tosterka kawałek starego chleba, sera i papryki, a magia zapiekacza przemieniła to w chrupiący tościak.

– Nie oceniaj mnie – ostrzegła Stassberga, kiedy usiadł naprzeciwko. – Nie miałam czasu na zakupy spożywcze.

Spojrzał na ser wylewający się z grzanki, tak jak lubiła najbardziej.

– Tryptofan dobrze działa na nastrój – powiedziała, zanurzając tost w ketchupie i pochrupując go. – A mój nadworny kucharz wziął dziś wolne.

– Nic sobie nie myślę.

– Nie wierzę ci. I następnym razem wpadnij z tym koktajlem z jarmużu, a nie tylko mi o nim opowiadasz.

– Słowo. Nina, słuchaj, jeśli chodzi o piątek.

– Maci...

– Przesadziłem. – Wszedł jej w słowo. – Wiem, że w takiej sprawie masz przesrane i jeśli działasz za szybko, to dlatego że musisz.

Kiwnęła głową. Prawda była jednak taka, że błąd z listem gończym pozostawał brzydkim błędem i nie mogła tego zwałać na presję Białka.

– Więc przepraszam cię – zakończył Stassberg.

– Przyjęte.

– I jeszcze chciałem ci powiedzieć...

– Maciek – przerwała. – Jest niedziela rano. Harowałam wczoraj cały dzień, a ty odpuściłeś sobie sekcję zwłok.

Wyraźnie oniemiał.

- Bo, do cholery, zajmowałem się Milą!
- Nie klnij. Ona rozumie więcej, niż myślisz.
- Lepiej przestań ze mną pogrywać, Nina.
- Dobra. Przepraszam.
- Przyjęte.
- W każdym razie nie chcę gadać o śledztwie, ale nie dlatego, że coś do ciebie mam, tylko dlatego, że to jest mój najważniejszy poranek w tygodniu. Jedyne wolne od pracy.
- Rozumiem.
- Do której zresztą zaraz muszę wracać.
- Jasne, Nina. W każdym razie mam do ciebie zaufanie jako do śledczej i chcę, żebyś to wiedziała.
- Okej. A teraz idź już do Mili – poprosiła, po czym wzięła jabłko z miski na stole i wgrzyła się w nie. – Bo zaraz się zorientuje, że bawi się sama ze sobą. W końcu dla niej tu jesteś, prawda?
- A kiedy godzinę później przekradała się do drzwi wyjściowych, dała Stassbergowi znak głową. Milla nie mogła się zorientować, że mama wychodzi. To by oznaczało koniec wszystkiego. Wrzaski i płacze przez najbliższą godzinę.
- Co będziecie robić? – zapytała szeptem, kiedy się zbliżył.
- Jeszcze nie wiem.
- Możecie pójść do parku Polińskiego. Zbudowali tam rewelacyjny plac zabaw, Milla kocha się tam wspinać.
- Super. I może pójdziemy na lody.
- Tak, jest kawiarnia, ale maks jedna kulka – powiedziała. Dwuletnia Milla prawie zawsze zjadała dokładki, a nawet dokańczała jedzenie po kolegach w żłobku. Nina chyba powinna się cieszyć, że nie ma niedojadka, ale czy nadmierny apetyt nie powinien jej równie niepokoić? Tyle pytań i mało czasu na znalezienie odpowiedzi.
- Dobra – zaśmiał się Stassberg. – Nina, wczoraj dałem radę i dzisiaj też dam. Trochę znam to dziecko.
- Wiem – przyznała. – Jesteś z nią super.
- Tak – powiedział i zamilkli.

Stali w ciemnym przedpokoju i czuła w powietrzu napięcie, od którego stężały jej policzki. Nie całowali się ostatnio na powitanie i pożegnanie, w ogóle nie było między nimi kontaktu fizycznego. Ale teraz czuła, że Stassberg tego chce, a zamiast policzka podała mu usta.

Złożył na nich pocałunek, od którego zabrakło jej tchu, a jego dłoń powędrowała gdzieś w okolice łopatek Niny.

– Wykorzystałeś chwilę słabości – burknęła, kiedy w końcu udało jej się oderwać, a on zarumienił się jak burak.

Jak na złość wszyscy dzisiaj poruszali się jak potłuczeni. Bartek Borewicz musiał ustawić do pionu szwenkiera, który miał ewidentnego kaca. A następnie odnaleźć statystów, którzy z kolei, korzystając ze słońca, wyszli sobie grupowo na papierosa. Dopiero kiedy przekazał operatorowi wskazówki i upewnił się, że ten zrozumiał, powrócił do komisarz Warwiłow. Czekala cierpliwie, co wprawiało go w lekki dyskomfort.

– Produkcja w niedzielę? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Kontrakty same się nie zrealizują – oznajmił. – Więc tak naprawdę mam około dwudziestu minut wolnego.

– Taki pan jest ważny?

– Nie ja, tylko ten facet. – Borewicz wskazał na topornie wyglądającego gościa w obcisłej różowej koszulce, który obgryzał paznokcie, popatrując na statystki.

– Kto to jest?

– Zaufany klienta.

– Kim jest sam klient?

– Największy producent lodów na patyku, choć nie sędzę, żeby pani podeszły. Największy zleceniodawca agencji reklamowej, czyli z kolei mojego zleceniodawcy. Dlatego musimy się pośpieszyć, inaczej stracę tę pracę stulecia. – Zawahał się, po czym dodał: – W zasadzie to może wyjdźmy stąd.

– Gdzie?

– Może na zaplecze? Jak będziemy rozmawiać na widoku, to będę miał później problem, agencja ma opóźnienie w produkcji spotu. A sama pani widzi, że ten człowiek jest zajęty patrzeniem się na piersi i nogi, więc nie zauważy, że mnie nie ma.

– W porządku.

Przeszli bokiem gigantycznej hali do dyskretnie osłoniętych stołów zastawionych napojami.

– Tu jest kawa z proszku. – Borewicz wskazał na miskę saszetek. –
A tutaj przekąski.

Sam wziął garść krówek z miski i zaczął je metodycznie rozpakowywać i wkładać do ust. Kruche, dobrze, pomyślał.

Po chwili wahania Warwiłow sama zalała sobie saszetkę wrzątkiem i dodała do niej cukru.

– Na czym polega pana praca? – zapytała.

– A jaki to ma związek z Sarą?

– Proszę odpowiedzieć.

– Jestem reżopem.

– A po polsku?

Wzruszył ramionami.

– Mógłby mi pan wyjaśnić? – poprosiła.

– Reżyser i operator w jednym.

– Nie nadążam za tymi nowymi zawodami – uśmiechnęła się.

– Dwie rzeczy naraz. Na tym polega ta komplikacja.

– Ale... kończył pan reżyserię?

– Nie. Operatorkę w szkole filmowej w Katowicach. Dwa razy nie zdałem na reżyserię, mądrzy ludzie doradzili mi, żeby działać od tyłu. Posłuchałem i teraz reklamuję lody.

– Kręci pan filmy.

Wzruszył ramionami, zerkając na zegarek.

– Mam jeszcze około dziesięciu minut, bo zostanie mi kręcenie filmów telefonem – oznajmił. Czy tylko mu się wydawało, że Warwiłow spojrzała na niego z lekkim zaskoczeniem?

– Czy pan wie, kto dziedziczy po Sarze Kosowskiej?

– To nie moja sprawa.

– A gdyby miał pan strzelać?

Pokręcił głową.

– Chyba pani tego nie zrozumie.

– Czego dokładnie?

– Byłem bliżej z Pawłem niż z jego siostrą. Przyjaźnimy się od dzieciaka. To Lutek był blisko z Sarą. I z Karoliną również się

przyjaźniłem. Razem z nią i Pawłem wychowaliśmy się na jednym podwórku. Sara była wtedy dla nas smarkata. Kto by pomyślał, że wyrośnie na gwiazdę.

Patrzyła na niego uważnie przez dłuższą chwilę.

– Wygląda pan, jakby nie przejmował się jej śmiercią – powiedziała.

– Nie przejmuję się? Naprawdę? – podniósł nieco głos, ale policjantka zachowała kamienną twarz. Pomyślał, że go prowokuje. – Co pani o mnie wie?

– Nic was nie łączyło?

– Dlaczego miało łączyć?

– Przyjaźnicie się wszyscy od lat, jeśli Lutyński... – zaczęła, ale wszedł jej w słowo.

– Jestem gejem – oznajmił.

– Przepraszam.

– Za co? – zaśmiał się. – Czy to coś złego?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Bardziej polecałbym na Pawła, gdyby nie był moim przyjacielem. Zresztą tak było, zrobiłem przed nim coming out.

– Jak to się skończyło?

– Bardzo delikatnie poinformował mnie, że woli dziewczyny i kocha się w Karolinie Moskal.

– I?

– Myślałem, że straciłem przyjaciela. Przez dwa dni była cisza, ale potem sam się do mnie odezwał, jakby nic się nie stało.

– Nie rozmawialiście o tym później?

– Naprawdę to panią tak interesuje?

– Tak.

– Rozmawialiśmy. Co więcej, Paweł wspierał mnie, kiedy powiedziałem rodzicom. Zawdzięczam mu życie. Byłem chudym gejowskim nastolatkiem z wielkim nosem. Gdyby nie on, mogłoby już mnie tu nie być.

– A Lutek?

– Całe życie kochał się w Sarze, jednak wylądował w strefie przyjaźni i tam zamieszkał. Ale trudny temat sobie generalnie wybrał. Sara była

osobowością teatralną, robiła z siebie przedstawienie. W kółko sprawdzała, czy na nią patrzą.

– To pasuje do stereotypów aktorek.

– Ona nie była aktorką – mruknął.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Czego?

– Co pan powiedział. Grała w telewizji, kinie, Teatrze Powszechnym...

– Dali jej tam rolę, żeby przyciągnęła publikę nazwiskiem i gołym tyłkiem. To pani nie wie, dlaczego w teatrze pokazują goliznę? – zapytał.

– Nie.

– Aha. Bo nikt by tam nie chodził.

– Miała jednak wykształcenie aktorskie.

– Ale nie była już aktorką – powtórzył. – Była chodzącą reklamą wszystkiego. Wie pani, kiedy ostatni raz zagrała w filmie, nawet słabym?

– Nie.

Pokiwał głową.

– Miałam w pamięci trochę inny jej obraz.

– No, może szarzy ludzie jeszcze o tym nie wiedzieli. To znaczy przepraszam... – powiedział, ale Warwiłow chyba nie zwróciła uwagi na jego nietakt. Błyskawicznie się jednak za to znieubił. Jeśli czegoś Borewicz nie znosił w ludziach, to właśnie braku taktu. Kompulsywnie rozpakował i włożył do ust kolejną garść krówek. Trafił na świeże, nie kruche, tylko ciągnące się. Nieprzyjemnie okleiły mu zęby.

– Brakowało jej talentu? – zapytała Warwiłow.

– Ja pani tego nie powiem.

Komisarz wyglądała, jakby przetrawiała coś w głowie. Borewicz czuł, że zbliża się koniec rozmowy. Kątem oka widział, że szwenkier zrobił kolejny błąd, i podjął decyzję, że to ostatni dzień tego chłopaka. Tak naprawdę jedyne, co ratowało jego samopoczucie w obecnej pracy dla producentów lodów, oranżady i środków na zgagę, to fakt, że wykonywał ją perfekcyjnie. Jego nagrania to był Luc Besson w świecie reklamy, każdy o tym wiedział. I kiedy dostanie wreszcie szansę nakręcenia filmów, nie

będzie się wstydził swojego dossier. Więc nie tolerował niekompetencji. Nie mógł sobie na nią pozwolić.

– Ale Sara zapewne mogła jeszcze wrócić do filmów? – podjęła Warwiłow. – Choćby ze względu na nośne nazwisko?

– Jest pani tego pewna? Jak często aktor na wylocie staje się na powrót gwiazdą?

– A John Travolta?

– Dobra pani jest – zaśmiał się. – Ale to tylko potwierdza regułę. Bo zazwyczaj droga na margines branży jest jednokierunkowa.

– Czy Sara zdawała sobie z tego sprawę?

– Czy zdawała? – uśmiechnął się krzywo. – Myślę, że zaczynała od takiego myślenia każdy dzień. Może ludzie jeszcze nie wiedzieli, że aktorsko nic już z niej nie będzie. Że cudowne dziecko seriali nie zmieniło się w królową kina. Tak, Sara wiedziała – powiedział. – I nie była z tego powodu szczęśliwa.

Ze studia ATM do Lawendy Nina miała niecałe dwadzieścia minut drogi. Na szczęście niedziela była chyba jedynym dniem, kiedy Wał Miedzeszyński pozostawał wolny od ciągnących do pracy mieszkańców podwarszawskich Otwocka, Karczewa i Józefowa. Do odtwarzacza wsunęła niezawodną Aimee Mann i po chwili rozległy się dźwięki jej ulubionego albumu *Lost in Space*.

Sunęła prawie sto dwadzieścia na godzinę i usiłowała uporządkować wnioski po rozmowie z Bartoszem Borewiczem. Zamiast podejrzanych przed oczami cały czas stawał jej jednak pocałunek Stassberga. I emocje, które w niej wywołał.

Maciek ewidentnie przeszedł do ofensywy. Wyraźnie chciał się pogodzić. Bo chyba nie zakładał, że ten gorący pocałunek poprowadzi do seksu w ciemnym przedpokoju, pięć metrów od dziecka? I czy mógł zadziałać impulsywnie, czy może to zaplanował?

Wniosek nasuwał się taki, że mogli do siebie wrócić, i ta myśl sprawiała jej przyjemność. Tęskniła za nim. Jednak odnowienie związku oznaczałoby jednocześnie kontynuację patologicznej relacji policjantki z prokuratorem z tego samego rewiru. Bo do tego, że jest to matnia, Nina już doszła. Choć nie była pewna, czy i on to wie. Nigdy tego nie przegadali, jak i wielu innych spraw...

Ale może nie chodziło tylko o nią. Gdyby się zeszli, Nina nie tylko nie byłaby już singielką, ale również samotną matką. Bo co, jeśli kiedyś zasłabnie? Co z Milą? Tomek, którego dziewczyna Agnieszka odciągała już od „starej” rodziny, susząc głowę o założenie „nowej”, nie stanowił żadnego realnego wsparcia.

No i czy Stassberg wprowadziłby się do nich ponownie, tym razem na Grochów? Musiałaby sobie to wszystko ułożyć. A może nie sama, tylko pod Maćka, bo z czasem robił się wymagający, tego też już się nauczyła. Bezlitosne wymagania stawiane sobie przekładał w końcu też na innych, a w morzu jego żelaznych reguł trudno się było połapać.

Już zaczął przed nią majaczyć most Siekierkowski, kiedy zadzwonił Karol. Ulżyło jej, że może się oderwać od niepokojącego strumienia myśli.

– Jak porucznik Borewicz? – zapytał.

– Frapujący. Ale rozmowa pouczająca.

– Zidentyfikowałaś motyw?

– Na razie nie. Trzeba przycisnąć Kosowskiego. Jadę teraz do Lawendy.

Powiedział coś, czego nie rozumiała.

– Powtórz, proszę.

– Znalazłem naszego Sterna! – krzyknął tak, że instynktownie przyhamowała i o mało co nie wpakował się w nią facet w land roverze.

– Jezu, Karol, jednak trochę ciszej – mruknęła. – Jakiego Sterna?

– Tego z notatek Kosowskiej. Nie pamiętasz?

– O! Dawaj.

– To w zasadzie ta Stern. Hanna Stern, psychoterapeutka, przyjmuje w gabinecie na Saskiej Kępie.

– Prześlij mi jej numer.

Zatankowała na BP pod mostem Siekierkowskim, nie opierając się hot dogowi z kabanosem i sosem tex-mex. Za to oparła się potrzebie dopompowania kół, o czym od miesiąca informował jej samochód.

To wieczne przekładanie na jutro, pomyślała z irytacją. Na swoją obronę zwyczajnie nie wiedziała, jakie ciśnienie powinno być w tych oponach, nie umiała nawet dobrze obsługiwać kompresora. Latami zajmował się tym naukowo usposobiony Tomek. Sprawdzając czubkiem buta miękkość opon, wklepała numer otrzymany od Chodkowskiego.

– Hanna Stern? – zapytała, kiedy odebrano po trzecim sygnale.

– Zgadza się. – Miękki i przyjemny głos. Taki, jakiego można się było spodziewać.

– Chciałabym z panią porozmawiać. Na żywo.

– Ojej, ale przecież jest niedziela – powiedziała kobieta uprzejmie, ale stanowczo. – Proszę zadzwonić jutro, psychologowie też mają wolne.

– Nie jestem pacjentką. Komisarz Nina Warwiłow, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Praga-Północ.

– Och.

- Znaleźliśmy pani numer i nazwisko w rzeczach Sary Kosowskiej.
- Rozumiem.

Cisza. Słyszała spokojny oddech psycholożki.

- Czy spotkałyście się kiedykolwiek? – zapytała Warwiłow.

– Tak.

– Coś więcej?

– Pani komisarz... przepraszam, nie zapamiętałam...

– Warwiłow.

– Tak, dziękuję. Chcę pani pomóc w granicach możliwości, ale muszę mieć pewność, że to na pewno pani.

Nina zastanowiła się i spojrzała na zegarek.

– Gdzie pani jest? – zapytała.

– Wyprowadzam psa w parku.

– Park Skaryszewski?

– Jak pani to zgadła? – W głosie Stern zabrzmiała lekka wesołość.

– Pracuję w policji. Umówmy się za dwadzieścia minut pod pomnikiem żołnierzy radzieckich.

Wchodząc dwadzieścia minut później do Skaryszaka, Warwiłow myślała o bieganiu. Trudno było nie myśleć, kiedy minęły ją trzy kolorowo ubrane gazele. Bieganie ją uspokajało, szczególnie zimą, kiedy biegaczy było mniej.

Grupa psiarzy jak zwykle okupowała błonia parku; ludzie, których łączyła miłość do psów. Zapewne pod płaszczykiem tej pasji sami szukali towarzystwa. Pod pomnikiem czekała na nią miło wyglądająca kobieta w średnim wieku z burzą złocistych loków. Na przywitanie Ninę obwąchał otłuszczony basset, który chyba ruszał się tylko weekendowo.

– Przejdźmy się – zaproponowała Warwiłow.

Zaczęły iść aleją w kierunku większego z parkowych jezior.

– Pani oczywiście rozumie, że ja nie mogę udzielić większości informacji, które dotyczą mojej praktyki – oznajmiła Stern na starcie.

– Sara Kosowska nie żyje. Pomagając policji, pomoże jej pani.

– Śmierć klienta nie zwalnia mnie z tajemnicy.

Mógł ją zwolnić sąd. To Warwiłow zdecydowała się na razie przemilczeć.

– Skoro już jednak wiem, że Sara była pani pacjentką...

– Nie potwierdziłam, że rozmawiałyśmy.

– Właśnie to pani powiedziała.

– Co?

– Że Sara Kosowska była pani klientką.

Stern przystanęła, a basset zniknął gdzieś w krzakach, z dnia na dzień gęstszych i zieleniejszych.

– Proponuję, abyśmy nie pojedynkowały się słownie. Spotkałam się z panią, bo chcę pomóc – powiedziała psycholog. – Dlatego powiem pani tyle, ile uważam, że mogę i powinnam.

– Okej. Kiedy Sara się do pani zgłosiła?

– Około miesiąca temu.

– Dopiero?

– Tak. Przedtem nigdy jej nie spotkałam. Odbyłyśmy kilka rozmów, dość intensywne.

– Ile dokładnie?

– Musiałabym sprawdzić, ale nie więcej niż pięć. – Wyraźnie się zawahała, zanim kontynuowała: – Sara również odwoływała spotkania.

– Często?

– No, myślę, że ze dwa razy... Gustaw, nie jedz tego! – zawołała i dopiero po chwili do Warwiłow dotarło, że tak właśnie wabi się basset.

– W jakiej była formie? – zapytała.

Stern przystanęła.

– I tutaj właśnie dochodzimy do informacji, których udzielić nie mogę.

– Proszę pani, Sara Kosowska nie żyje. Prowadzimy śledztwo i nie interesuje mnie jej życie prywatne, o ile nie wpływa na dochodzenie.

Stern wyjęła i zapaliła papierosa. Warwiłow jej zazdrościła. Rzuciła palenie w cięży i oczywiście na czas karmienia, lecz teraz nie wiedziała, dlaczego sobie odmawia. Nałóg z niej nie wyszedł, może tylko przycichł. Miała ochotę wyrwać jednego vogue'a z paczki. Zamiast tego patrzyła, jak kobieta zaciąga się, wypuszcza dym nosem, i czekała.

– Myślę, że Sara Kosowska wymagała hospitalizacji – powiedziała w końcu psycholożka cichym głosem.

– To znaczy?

– To znaczy pobytu w ośrodku psychiatrycznym, i to właśnie jej zasugerowałam. Jej stan pogorszył się ostatnio.

– Kiedy była ta wizyta?

– Znowu musiałabym spojrzeć, ale myślę, że tydzień temu.

– Co było później?

– Wtedy widziałam ją ostatni raz.

– Odwołała kolejną wizytę?

– Nie. Po prostu na nią nie przyszła. Zadzwoiłam do niej, przeprosiła. Poprosiłam, żeby jednak mnie uprzedzała. Również dlatego, że w przeciwnym razie niepokoję się o moich pacjentów.

– Długo rozmawiałyście?

– Krótko. I... to był nasz ostatni kontakt. Przeprosiła, że jest zajęta, miałyśmy się zobaczyć w piątek. W ten piątek o siedemnastej.

Cisza.

– Szkoda, że przyszła do mnie dopiero teraz – powiedziała Stern.

– Nie rozumiem.

– Że nie przyszła do mnie rok, dwa lata temu...

– Podobno nigdy nie jest za późno na psychoterapię.

– Nie. Ale samo rozpoczęcie rozmowy również trwa.

– Ile?

Stern wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. Jednak w przypadku tej pacjentki rekomendowałabym na początek codzienne spotkania i włączenie farmakoterapii. Gustaw! – krzyknęła. – Chodź! Już na nas czas, idziemy dzisiaj w odwiedzinę – wyjaśniła.

– Powiedziała pani o farmakoterapii – stwierdziła Warwiłow. – Czy nie stosuje się jej, kiedy znana jest już konkretna diagnoza?

– Czasem. Nie zawsze. Rekomenduję ją, kiedy widzę, że pacjent inaczej sobie nie poradzi i terapia bez leków nie ma sensu. A Sara Kosowska miała

poważne problemy psychiczne. Żałuję, że tak późno zaczęła się nimi zajmować.

Dzbanek kawy, a teraz kufel świeżo chmielonego piwa pomogły Pawłowi stanąć na nogi. Siedzieli przy stoliku w ogródku Lawendy, pogoda nie była tak dobra jak wczoraj, zbierało się chyba na burzę, więc panował dziwny spokój.

Poczułby się jeszcze lepiej, gdyby strużka wilgoci stale nie spływała mu z dziurek w nosie. Komisarz Warwiłow nie była chyba jednak zbyt bystra albo to, co wypływało mu z nosa, pozostawało poza kręgiem jej zainteresowań.

W zasadzie odczuwał całkiem sporo sympatii wobec tej kobiety. Wydawała mu się interesująca, z tymi czarnymi, wyrazistymi brwiami i zupełnie niezdrową bladością twarzy. Wręcz melancholijna.

– Cieszę się, że mamy wreszcie okazję porozmawiać – powiedziała Warwiłow. – Wylądował pan, że tak powiem, na sam deser.

Paweł pociągnął łyk piwa. Ten gatunek dowozili od wczoraj i już wiedział, że zamówi go więcej.

– Mam parę pytań o Sarę – dodała.

– Pewnie wiecie już wszystko o mojej zmarłej siostrze.

– Na pewno nie, mam jeszcze sporo luk. Niech pan opowie o waszych rodzicach.

– Obydwoje nie żyją.

– Tak, ale...

– Nie byliśmy blisko z nimi... ze sobą byliśmy.

– Ojciec zmarł jako pierwszy, tak?

– Zmarł albo sam się zabił, naprawdę nie wiem. Tak szczerze, to wszyscy byli z tego powodu szczęśliwi.

– Dlaczego?

– Tato miał ciężką rękę. – Spojrzał na nią lekko wyzywająco, oczekując reakcji, ale zupełnie nie wyglądała na zaskoczoną.

– A mama? – zapytała.

– Uciekła w religię. Zmieniła się w dewotkę, klęczała godzinami. A w domu udawała, że nie widzi, że chodzimy posiniaczeni.

– Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

– Kiedyś przecież bito w co drugim domu. Mama zresztą wciągnęła też Sarę w katolicyzm, chyba myślała, że tym ją trochę osłoni od ojca.

– A pan?

– Mój najlepszy przyjaciel jest gejem, a ksiądz powiedział mu, że pójdzie do piekła. – Zaśmiał się lekko posępnie. – Ja uciekłem w gotowanie, bo mama leżała w kościele i ktoś musiał dożywić rodzinę. I to tak, żeby jeszcze tato się nie wściekł. Potem zmarł i już zostało. Mama w kościele, ja w kuchni, a Sara na zewnątrz, z ludźmi.

– Przestała praktykować?

– Nie. Ale wydaje mi się, że religia zawsze była dla niej przede wszystkim formą ucieczki. Po śmierci taty już nie musiała tego robić, no i zawsze była raczej towarzyska. Jak tylko zaczęła grać, zrobiła się również popularna.

– Jak to się stało?

– Co?

– Że rozpoczęła karierę aktorską? To nie brzmi, jakby pana rodzina ją w tym wspierała.

– A jakie rodziny wspierały kiedyś kariery? Pani? Filmowcy chodzili po szkołach, a Sara potrafiła się uśmiechać. Wcześniej się nauczyła, że tato karze za ponuractwo, w domu musiało być tęczowo. I była zdeterminowana... uroda nie przeszkadzała, a moja siostra była zawsze bardzo ładna... a potem to już poszło. Zresztą jak rodzice się zorientowali, ile z tego jest pieniędzy, to zrobili się bardzo przychylni karierze Sary – uśmiechnął się znowu, dość smutno. – Nawet rozmawiali ze szkołą, żeby nie robiono Sarze problemów z zaliczaniem przedmiotów. Gdyby tato nie zmarł, pewnie dalej by doił z Sary. Ale do końca... to jest... – zamilkł, przełknął ślinę i dokończył: – ...aż do swojej śmierci Sara regularnie chodziła do kościoła.

– A pan?

– Zostałem w kuchni, bo to lubię i jestem w tym dobry. Albo może kiedyś byłem. Dzisiaj smażę burgery i szakszukę. Dobre i to.

Pokiwała głową. Pociągnął łyk piwa. Odnosił wrażenie, że sama Warwiłow była jakaś taka spokojniejsza, jakby popisywała się przedtem przy tym swoim adiutancie. Pomyślał, że właśnie taka była Sara, ciągle musiała podkreślać swoją wartość. Ale nie powiedział tego na głos.

– Co pan robi ze spadkiem po siostrze? – zapytała policjantka. – To sporo pieniędzy.

– Nie wiem – powiedział. – Nie mogę teraz o tym myśleć.

– Podpowiem panu, o czym nie myśleć. O ponad milionie złotych, apartamencie i domu na wsi...

– To była moja jedyna siostra – przerwał jej Paweł. – Nie cieszę się z jej śmierci. I z jej pieniędzy.

– Czy ona potrafiła się z nich cieszyć?

– Nie rozumiem.

– Powiedziałam, że jest pan na koniec. Obraz Sary Kosowskiej, który teraz mam, nie jest kolorowy.

– Widzę, że pani jest również psychologiem – rzucił, po czasie myśląc, że alkohol zaczyna mieszać mu w głowie. Warwiłow nie wyglądała jednak na urażoną.

– Widzę osobę, która nie była szczęśliwa w swoim życiu zawodowym – powiedziała.

– Bo to prawda. Ale, kurwa, miała dwadzieścia osiem lat. Kto jest szczęśliwy w wieku dwudziestu ośmiu lat?

– Co ze sprawami prywatnymi?

– Nie rozumiem.

– Związki?

– Była z takim prezenterem, Marcinem Bieńkiem, przez kilka lat.

– Dlaczego się rozstali?

– Pewnie przez nudę. Ale poza tym to robił jej awantury.

– Mógł ją później nękać?

– Marcin? – Zaśmiał się. – Może. Choć wątpię. Założył już rodzinę, prowadzi swój program na Polsacie. – Zamilkł na chwilę. – I Sara też mogła

to sobie wszystko jeszcze ułożyć.

Warwiłow patrzyła w niego i czuł w tym spojrzeniu napięcie.

– Tak, Sara była w złym miejscu ostatnio. I w karierze również znalazła się na terytorium niczym, dobrze to pani wytropiła – powiedział i dodał ciszej: – Może nie miała talentu.

– Nie rozumiem.

Paweł nie śpieszył się z odpowiedzią. Dokończył piwo, na dnie został gęsty, apetyczny osad. Może nadawałby się do jakiegoś sosu?

– Powiedziałem, że może brakowało jej talentu – oznajmił w końcu, bo Warwiłow wpatrywała się w niego intensywnie. – Myślę, że bywanie, popisywanie się tuszują jedno: że komuś brakuje umiejętności. To była moja siostra i kochałem ją jak nikogo na świecie. Sara potrafiła się uśmiechać, to już dużo. I zaczęła wcześniej, więc była na ekranie od zawsze. Ale nie miała talentu aktorskiego. Borewicz ma rację.

Warwiłow spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Wiem, że to pani powiedział. Sara wściekała się na niego, że ją ocenia, ale prawda była taka, że długi czas Bartek podrzucał jej ciekawe role i propozycje, a ona z nich nie korzystała. Denerwował się, aż kiedyś powiedział mi, że w końcu to zrozumiał. Sara, choćby podświadomie, wiedziała, że nie umie grać. Szczególnie że Bartek sam jest piekielnie uzdolniony. I nie tylko filmowo, artystycznie. Wszystko potrafi, pięknie maluje i rysuje. Wiem, że teraz reżyseruje reklamówki, ale kiedyś nakręci taką fabułę, że wszystkim majtki spadną. Po nocach pisze naprawdę fantastyczne scenariusze... – Zamilkł, myśląc, że pod wpływem piwa i kokainy trochę się zagalopował.

– Jesteście blisko – zauważyła.

– Tak. Rozumie pani, każdy ma jakąś główną motywację do działania. Ale dla Bartka liczy się projekt twórczy, a Sara musiała się pokazywać. Motywatorem była dla niej popularność. Ona musiała błyszczeć przed światem. – Zawahał się, zanim dodał: – Do samego końca.

W niedzielne popołudnie ruch mediów przed komendą zaczął znowu tężeć – dziennikarze szykowali się do pracowitego poniedziałku. I wcale nie przeszkodziło im to, że ciemniejące chmury w końcu uwolniły deszcz: lunęło tak apokaliptycznie, że Warwiłow, jadąc Jagiellońską, przez dziesięć minut widziała tylko światła samochodu wlokącego się przed nią w żółtym tempie.

Gdy dojeżdżała na komendę jakieś trzy kwadransy później, czuła się tak zmęczona, że była gotowa staranować ten dziennikarski tłumek. I nie zamierzała wychodzić z samochodu przed zaparkowaniem na terenie komendy.

Zdawała sobie sprawę z tego, że teraz już każdy z tych dziennikarzy wie, że właśnie ona prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Sary Kosowskiej.

Chodkowski zjawił się już wcześniej, zadzwoniła do niego, kiedy tylko weszła do budynku, i pięć minut później usiedli w bufecie; w niedzielne popołudnie oferował sporo prywatności.

– Planuję morderstwo, decyduję się na nembutal. Co robię? – zapytała.

– Nembutal?

– Tak.

Chodkowski zamilkł na chwilę.

– Siedziałeś trochę w nielegalnych substancjach, prawda? Zanim trafiłeś pod moje skrzydła i... kiedy mnie nie było.

– Trochę. – Przygryzł dolną wargę. – No, jest kilka opcji.

– Wymień.

– Wolalbym się upewnić. Dość rzadko mamy z tym do czynienia.

– Ja też sobie nie przypominam. Dlatego mów, co wiesz, nie ma czasu.

Westchnął.

– W Europie w zasadzie nie do kupienia, nawet u weterynarza. Najczęściej krąży po aptekach w Ameryce Środkowej, polują na niego Amerykanie. Można go znaleźć w płynie, to najbardziej pożądana forma.

– Legalnie?

– Nie sądzę, zazwyczaj sprzedają spod lady. Tak samo w Azji Południowo-Wschodniej. Aha, no i w ostatnich latach wyrósł nowy gracz na rynku. Zgadnij jaki.

– Nie wiem.

– To dość oczywiste.

– Chiny?

– Bingo. Nembutal również jest tam na nielegalu, i to w jakiejś sproszkowanej formie...

– Można rozpuścić w kawie?

– Ten proszek najpierw rozrabia się z wodą. Więc myślę, że bez problemu.

– Działa?

– Ponoć jest równie skuteczny jak płyn.

– Jak można kupić to cudo?

– Całkowicie na czarno. – Chodkowski podrapał się po wygolonej głowie. – Ale w zasadzie... prawdopodobnie przez darknet.

– No proszę. A jednak coś wiesz.

– Tak – zaśmiał się.

– I wreszcie mówisz do rzeczy.

Gdyby miała wskazać najszybciej rosnący sektor przestępczy, byłby nim internetowy czarny rynek. Można było na nim kupić wszystko, od twardych narkotyków po broń, a gdyby trochę poszperać, to pewnie i niewolników.

– Nie jestem cyberspecem – powiedziała. – Co robię?

– Wystarczy, że używasz internetu. Oczywiście trzeba zainstalować przeglądarkę dla piratów, czyli TOR, następnie ukryć swój numer VPN. I jazda. Znalezienie potem nembutalu to zupełnie inna sprawa. Przede wszystkim chyba jednak wymagająca czasu i cierpliwości, bo ci dostawcy są do znalezienia, tylko czasem znikają.

– Ale wracają?

– Zawsze. Bo na nembutal jest popyt. I adekwatne ceny.

– Jakie?

– Czy ja wiem? Startują pewnie od tysiąca dolarów.

– Przesyłka jest bezpieczna?

– Można dostarczyć na jakiegoś słupa albo znacznie prościej, zupełnie na wierzchu.

– Jak z Chin, to pewnie przez AliExpress.

– Znowu zgadłaś – uśmiechnął się Chodkowski. – Chiński Amazon. Ostatnio leci tym cały nielegal z Chin. Na zewnątrz etykieta ubrań albo kosmetyków, a w środku załadowane twardymi narkotykami. Po co dzwonić do dilerów, kiedy narkotyki może dostarczyć ci kurier prosto do domu? Albo listonosz? Narkotykowi od dawna już o tym mówią, to jest nie do opanowania. To jest przyszłość.

– Dla amatora wydaje się ryzykowne.

– Może. Ale wiesz, ile przesyłek przychodzi dziennie z AliExpress? Około stu tysięcy. Celnicy część kontrolują i jasne, że możesz mieć kłopot, ale nawet jeśli znajdą to i zatrzymają, możesz się zaprzeczyć, że nie twoje. A ogromna większość przechodzi bez kontroli. Nasza służba celna jest jak Linia Maginota. W najsłabiej chronionym punkcie przemycisz cały transport.

Warwiłow zamilkła. Myślała intensywnie.

– No to po co ci ta cała wiedza? – zapytał.

– Muszę porozmawiać z Białkiem.

– Dlaczego?

– Bo myślę, że mamy piątego podejrzanego o zatrucie tej frappé – powiedziała Warwiłow.

– Kogo?

– Ofiarę.

Dwadzieścia minut później siedziała w gabinecie Białka, który wyglądał, jakby urwał się z kursu golfa dla korposzczurów: błękitna koszulka odsłaniająca wyrobiony biceps, na plecy zarzucony czerwony sweter.

– Kosowska nie była w dobrym punkcie życiowym – referowała Warwiłow. – Jej kariera aktorska stała pod dużym znakiem zapytania i dziewczyna korzystała z intensywnej pomocy psychologicznej. Przypuszczalnie wymagała hospitalizacji. Była obciążona genetycznie, samobójstwo prawdopodobnie popełnił również jej ojciec. Była też nękana.

– Mamy tego człowieka? – wtrącił.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego...

– Daj mi dokończyć, Aleks. – Zirytował ją, bo w myślach przygotowała sobie cały wywód i, jak zawsze, ktoś musiał jej w tym przeszkodzić. Przełknęła ślinę i podjęła: – Dla Kosowskiej ważny był także wizerunek osoby sukcesu. A dodatkowo była praktykującą katoliczką. Mogła mieć problem z tak jawnie dokonywanym samobójstwem. Nawet spisała testament, żeby zabezpieczyć brata. Kto w jej wieku spisuje testament? Miała też hipotetyczną możliwość zakupu nembutalu i, chyba przede wszystkim, najlepszą sposobność do zatrucia frappé. Tuż przed jej wypiciem. Wzięła kubek z tacki, dyskretnie wlała do środka nembutal. Wypiła i położyła się na kanapie, czekając na bezbolesną i szybką śmierć.

– Znaleźliśmy przy niej jakieś ślady tego nembutalu?

– Nie. Ale może jest jeszcze gdzieś w mieszkaniu.

– No i co z tego wszystkiego wynika?

– Coś jeszcze ma wynikać? – Odetchnęła. – W zasadzie wykluczyłam możliwość zatrucia frappé przez innych obecnych w mieszkaniu...

– A to ci się nie rzuca w oczy, Nina? – przerwał jej Białek.

– Co?

– Że bardzo wygodnie wszyscy pozostali jakoś się kryją.

– Jasne, że rzuca. Jednak wskazuję najbardziej prawdopodobną wersję.

– Czyli?

– Czyli to, że Sara Kosowska popełniła samobójstwo. Ta dziewczyna cierpiała, psycholog twierdzi, że miała poważne problemy psychiczne. Odeszła w gronie najbliższych przyjaciół. Nie zostawiła listu, bo nie chciała być odbierana jako samobójczyni.

Widziała jakieś emocje na twarzy Białka, ale nie mogła ich rozczytać. Nagle pokręcił głową.

– Nie ma mowy – oznajmił.

– Nie rozumiem.

– O przyjęciu hipotezy o samobójstwie. Trwa śledztwo.

– Aleks...

Wstał, a po chwili przysiadł na stole. Nigdy nie lubiła tej postawy, wydała jej się seksualno-wyższościowa. Machinalnie odchyliła się na oparcie krzesła.

– Chcesz iść na łatwiznę – powiedział.

– Przecież odwaliłam kawał śledztwa. – Mimo woli zaczęła wyliczać na palcach: – Wykluczyłam oczywistą podejrzaną, zebrałam zeznania od wszystkich świadków. Haruję nad tym nieprzerwanie od kilkadziesiąt godzin.

– Będzie burza, a jak się pomylimy... – Znowu pokręcił głową, w wyjątkowo denerwującym geście.

– Przemawia przez ciebie ambicja świeżego awansu – wypaliła.

– Nina, oj, Nina. – Odetchnął głęboko. – Podraż jeszcze.

– Co mam drążyć?

– Swoje śledztwo.

– Gwiazdy zabijają się na potęgę. Wyliczyć ci przypadki?

– A może popracujesz trochę, zamiast siedzieć na portalach plotkarskich?

Zatkało ją na chwilę z oburzenia, a zanim to przemyślała, oznajmiła:

– Stassberg to przyklepie.

– O, na pewno.

Poczerwieniła.

– Co ty sugerujesz?

– Może masz rację, że jestem ambitny. Jestem też zdecydowany, żeby się nie ośmieszyć na nowym stanowisku – powiedział. – Co z bratem Sary Kosowskiej? Musiała zostawić po sobie niezłą sumkę.

– Ma alibi.

Pokiwał głową bez przekonania.

– Czy wiesz, co się dzieje, kiedy wąż urodzi się z dwoma głowami? – zapytał.

– Nie rozumiem...

– Walczą ze sobą o jedzenie. Nie masz rodzeństwa, więc nie rozumiesz, jakie uczucia mogą być tutaj w grze. Pomyśl o tym – powiedział i wstał ze stołu. Górował teraz nad nią nieprzyjemnie.

- Co to za bzdury? – odparła. – I co robisz?
 - Wychodzę.
 - Do domu?
 - Tak. Ale możesz zostać, jeśli chcesz – dodał beczelnie.
- Brakowało jej słów. Wpatrywała się w szefa milcząco.
- W każdym razie jest jeszcze za wcześnie na skończenie śledztwa i zdecydowanie za wcześnie na teorię o samobójstwie – oznajmił Białek. Podszedł do wieszaka i zdjął z niego sportową kurtkę. – Morderca i dowód, Nina! – rzucił na odchodne.

Wieczorem Mila postanowiła się awanturować i Warwiłow była pewna, że Maciek nafaszerował małą cukrem. Poniedziałkowy poranek zastał Ninę kompletnie wyczerpaną z energii, a na dodatek zdążyła jeszcze godzinę spędzić w korkach w trasie do i ze szpitala.

– Mam dla pani dobre wieści – powiedział w Aninie doktor Rutkowski, krępy, wygolony facet pod czterdziestkę, który prowadził leczenie jej ojca. – Pani ojciec dobrze zareagował na leki.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeszcze za wcześnie na optymizm, ale pierwszy raz widzimy jakiś postęp. Po weekendzie jest w lepszej formie niż przed. Co takiego się wydarzyło? Chyba czegoś sobie nie golnął?

– Nie rozumiem.

– Żartuję. Proszę przyjechać po południu, nie chcemy go teraz budzić.

Wróciwszy ze szpitala, zastanawiała się, jak przełożyć czas z jednej kupki na drugą. Może nadszedł moment, żeby spróbować uruchomić Tomka w tygodniu? W końcu to niecodzienna sytuacja, a teraz ojciec potrzebował jej jeszcze bardziej niż zwykle...

Rozmyślenia przerwał Chodkowski, który wmaszerował do jej gabinetu na komendzie.

– Zbadałem temat AliExpress – oznajmił. – Zgadnij, kto zamawiał najwięcej.

Przez chwilę nie wiedziała, o czym do niej mówi.

– Nie rozumiem...

– Sara Kosowska. Sprawdziłem jej konto i przelewy. Buty, sukienki, torebki, kosmetyki...

– To już nieważne.

– Co nieważne?

– Białek nie przyjmuje hipotezy o samobójstwie Kosowskiej. Więc nie sądzę, żeby łyknął teorię o kupnie nembutalu poprzez AliExpress.

Chodkowski wyglądał na zaskoczonego.

- Listu nie pozostawiła, ale to, czego się dowiedzieliśmy...
- Nie i już, Karol – powiedziała. – Szkoda naszej energii na roztrząsanie. Starszy aspirant wyglądał tak, jakby chciał coś dodać, jednak się rozmyślił. Przygryzł górną wargę, a potem rzucił:
 - Znalazłem coś jeszcze, sprawdzając transakcje na jej koncie. Może to przypadek, ale dokonała zapłaty za konsultację prawniczą w kancelarii Roberta Obary.
 - No i?
 - Nie wiesz, kim jest Robert Obara?
 - A powinnam?
 - Nie... ale dziwne, może to przez to, że miałaś przerwę.
 - Oj, dzięki wielkie. Gadaj.
- Uśmiechnął się lekko.
 - Robert Obara to teraz chyba najlepszy adwokat od prawa karnego w mieście. A na pewno jeden z najdroższych. Stoją za nim wyniki.
 - No dobra, a kiedy dokładnie była ta transakcja?
 - 17 lutego.
- Warwiłow zerknęła na zegarek. Minęła dziesiąta, korki na Wale Miedzeszyńskim powinny już się drastycznie zmniejszyć. Tak samo jak te na moście Gdańskim. O dziesiątej Warszawa oferowała nieprzyzwoicie duży wybór dróg do centrum miasta.
 - Myślisz, że to w związku ze sprawą stalkera? – zapytała.
- Chodkowski wzruszył ramionami.
 - Nie wiem – powiedział.
 - No dobra – mruknęła lekko zamyślona.
 - Co dobra?
 - Jadę z nim pogadać. – Wstała, zaskakując samą siebie.
 - Teraz? – Starszy aspirant wyglądał na zdziwionego.
 - A masz lepszy pomysł? Utknęliśmy w martwym punkcie. Pewnie to nic ważnego, ale nie mam ochoty na Białka o poranku.

Kancelaria Roberta Obary na Krakowskim Przedmieściu mieściła się w eleganckiej kamienicy, a wystrój jasno sugerował, na jaką przygotowana

jest klientelę: brakowało tylko lokaja w liberii. Drzwi otworzyła jej recepcjonistka o zjawiskowej urodzie. Czy za urodę dostawała wyższą pensję, jak to działało?

– Pani jest umówiona z... – zagaiła z uśmiechem dziewczyna.

– Nikim. Komisarz Nina Warwiłow, chcę porozmawiać z mecenasem Obarą.

Czyżby na twarzy dziewczyny pojawiło się zrozumienie? Czy Warwiłow była już w mediach? Zaniepokoiła się, to nie byłoby korzystne dla śledztwa.

– Ma spotkanie z klientem – powiedziała recepcjonistka.

– Poczekam.

– Potem mecenas prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

– Nie zajmę wiele czasu.

Usiadła w niesamowicie wygodnym fotelu obitym miękką skórą. Szkoda, że nie otrzymała jeszcze kawy z pianką i serduszkiem; może policji nie przysługiwała. W rezultacie tej wygody, a zarazem braku kofeiny lekko zamykały jej się oczy, kiedy podeszła do niej recepcjonistka.

– Mecenas prosi panią do pokoju – poinformowała.

Kiedy Warwiłow weszła do gabinetu Obary, szybko zorientowała się, że adwokat jest najmniej eleganckim elementem swojej kancelarii. Jasne, nosił bardzo dobrą koszulę z jakiegoś miękkiego materiału, na pewno niebędącego zwykłą bawełną, i jeszcze lepszy jedwabny krawat w grochy. Mimo tego, a także klimatyzowanego pomieszczenia, wydawało się, że jego ubranie się rozpląwa, tak samo zresztą jak i sam mecenas. Twarz miał jakby otłuszczoną, a słomiane włosy pociągnięte do tyłu jakimś mazidłem.

Generalnie wyglądał, jakby się kleił i wiarygodną aparycją na sali sądowej nie wygrywał. Szczęśliwie dla niego w polskim systemie prawnym karniści wygrywali sprawy dziurami wykrytymi w postępowaniu przygotowawczym, a nie, przykładowo, decyzją ławy przysięgłych. Obara wyglądał superślisko i nie wierzyła, że umiałby porywać tłumy.

Podniósł się na jej widok i wskazał jej miejsce.

– Robert Obara. – Dłoń, na szczęście, jakimś cudem miał suchą.

Uścisnęła ją, a potem zaatakowała:

– O czym pan rozmawiał z Sarą Kosowską 17 lutego?

- Przepraszam? – Zamrugął.
- Wiemy, że była tego dnia u pana. O czym pan z nią rozmawiał?
- Pani sobie chyba żartuje, pani komisarz. – Odchylił się na krześle, a dłonie oparł na brzuchu.
- Ani trochę.
- Nie mogę pani powiedzieć.
- Czy Sara Kosowska była pana stałą klientką?
- Jaką klientką?
- A więc to tak.
- Wiemy, że dokonała przelewu na konto kancelarii na kwotę tysiąca pięciuset złotych za konsultację prawniczą. Czy mamy sprawdzić nagrania z monitoringu?
- Ależ proszę, tylko to trzeba by z dozorcą budynku porozmawiać. My nie mamy dostępu oczywiście.
- Westchnęła cichutko.
- Sara Kosowska nie żyje i może pan pomóc w śledztwie.
- Gdybym tylko miał jak – odparł.
- Może pan. Na przykład mówiąc, o czym tutaj rozmawialiście. Czy tematem było nękanie?
- Ma pani na myśli stalking? Akt oskarżenia wnosi prokurator...
- Wiem, jaki jest tryb – ucięła. – O czym była ta rozmowa?
- Nic nie jestem w stanie pani powiedzieć.
- Sąd może zwolnić pana z tajemnicy adwokackiej.
- Ja, proszę pani, nie mam tajemnic, szczególnie przed tak ładną policjantką...
- Proszę bez takich sformułowań.
- I niestety nie mogę pani pomóc, choć bardzo bym tego chciał. – Obara uśmiechnął się, trzeba przyznać, dość czarująco.

Po wyjściu z jego gabinetu skierowała się w lewo, do toalety dla gości kancelarii: puszczano w niej muzykę, ptasi śpiew. Pachniało też bardzo ładnie, kokosem i lawendą.

Czy milczenie Obary mogło być jakąkolwiek wskazówką? Może taką do rozwiązania zagadki, dlaczego tak dobrze go opłacano. Liczył się dla niego tylko klient, nie dowiedziała się, czy Sara w ogóle tu była. Nie mówiąc o tym, po co. Jednak płaciła kartą, więc o ile ktoś tej jej karty nie zabrał...

Minęła gabinet Obary, gdzie mecenas teraz „pracował”. Był śliski jak węgorz, zamknięty jak kłódka i pytanie, czy warto było marnować na niego czas. Przy wyjściu z kancelarii Warwiłow stanęła chwilę w miejscu, bezwiednie opierając się o szeroki blat recepcji.

– Przepraszam panią? – powiedziała recepcjonistka, wstając z krzesła.

– Tak? Oj, to ja przepraszam – odparła, orientując się, że tarasuje przejście.

– Ale za co? – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Zaraz opuścę ten wasz hotel – mruknęła Warwiłow, po raz ostatni zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, nie wywierając nacisku na Obarę. Po powrocie na komendę w nagrodę przycisnie ją Białek.

– Nie, nie – zaświergotała dziewczyna. – Dopiero teraz skojarzyłam... pani prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Sary Kosowskiej, tak?

– Zgadza się.

– Jezu, tak mi się przykro zrobiło. Naprawdę, kiedy się dowiedziałam... Sara była super, nie żadna sfochowana gwiazda, tylko taka bezpośrednia i sympatyczna.

Warwiłow spojrzała na nią uważnie.

– Rozmawiałyście?

– No trochę, kiedy tu była i czekała na mecenasa. To znaczy nie od razu. Ale jak za drugim razem przyszła...

– Za drugim?

– No tak, a potem trzecim, to już wtedy...

– Chwila – przerwała Warwiłow, nasłuchując, czy Obara przypadkiem nie wychodzi, aby storpedować jej rozmowę. – Ile razy Sara Kosowska tutaj była?

Dziewczyna poczerwieniała.

– Pan mecenas...

– Spokojnie, wiem, że Sara do państwa przychodziła, rozmawiałam o tym z pani szefem – skłamała Nina. – Nie wiedziałam, że kilka razy.

– Tak, to znaczy...

– Może pani mówić. Mecenasa pracuje, nie zdążyłam go o to zapytać.

Była wdzięczna, że dziewczyna nie jest tak dobrze przeszkolona, jak jest urodziwa. Robert Obara właśnie płacił cenę za swoje niedopatrzenie.

– Mimo wszystko...

– Proszę pani. – Warwiłow zrobiła pół kroku w jej kierunku. Recepcjonistka była wyższa od niej o głowę, ale wyglądała na przestraszona. Jednak Obara mógł w każdej chwili wyjść, nie było na co czekać. – Pracuję w Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym Komendy Praga-Północ i prowadzę sprawę śmierci Sary Kosowskiej, dokładnie tak jak pani powiedziała. I pani ma obowiązek odpowiadać na moje pytania. Ile razy Sara Kosowska tu była?

– Myślę, że jakieś cztery razy.

– Jakie są w przybliżeniu daty?

– Wszystkie konsultacje odbyły się ciągu ostatnich trzech tygodni, to znaczy mogę sprawdzić u mecenasa...

– Nie. Wystarczy na tę chwilę. Czy płaciła kartą?

– Chyba tylko za pierwszym razem. A potem zapytała, czy może zapłacić gotówką. Od kiedy mamy terminal, to się dość rzadko zdarza, więc byłam trochę zdziwiona.

– Potem za każdym razem płaciła gotówką?

– Tak... przepraszam panią. – Dziewczyna lekko drżała i Warwiłow w końcu ruszyły wyrzuty sumienia. – Ale ja naprawdę powinnam pójść do mecenasa i...

– Nie ma takiej potrzeby – odparła, kierując się do wyjścia. – Przecież powiedział, żeby mu nie przeszkadzać, tak? – A zanim zatrzasnęła drzwi, dodała jeszcze: – Na pani miejscu nie wspominałabym mu o naszej rozmowie. – Zawahała się. – Nie ma potrzeby.

Dziewczyna kiwnęła głową.

W poniedziałek Paweł Kosowski miał wolne. I jak za dawnych czasów poszedł na Ząbkowską.

- Pogadaj z nim – poprosiła Borewicza Karolina.
- Po co?
- Może ciebie posłucha.
- Jest tam, gdzie zawsze?
- Chyba tak.

Legendarna praska knajpa W Oparach Absurdu powinna otrzymać order za otworzenie ulicy Ząbkowskiej na świat. W wąskich, krętych pomieszczeniach z dużą ilością czerwieni można było dostać smaczne piwo, pijalne drinki, a także dobrą muzykę i towarzystwo. Duży postęp, bo niegdyś na Ząbkowskiej, osi rejonu Szmulek, można było dostać wyłącznie w zęby.

Po otwarciu się Oparów Ząbkowska przeżyła wysyp kolejnych knajp z niemal równie magiczną atmosferą. W końcu ulica, dawne centrum praskiej bandyterki, zyskała miano kultowej, czego zwieńczeniem okazały się Dni Ząbkowskiej, festiwal food trucków, piwa i koncertów. Ta droga do sławy była zresztą całkiem zasłużona i ulica odzyskała miejsce, które od dawna jej się należało. Ząbkowska szczyliła się przecież piękną starą kostką brukową, strzelistymi kamienicami, a poza knajpami – szeregiem klimatycznych jadalni, takich jak bar mleczny Ząbkowski na rogu z Targową.

Pomimo tych zmian Opary pozostawały najsłynniejszym, a dla wielu najważniejszym punktem na Ząbkowskiej. I tutaj właśnie Paweł Kosowski zwykł dawniej spędzać swoje wolne poniedziałki, racząc się „heroiną”, drinkiem na bazie absyntu. Trwało to do czasu, kiedy przed kilkoma laty kategorycznie zakazała mu tego Karolina, grożąc nawet odejściem. Śmierć siostry sprawiła chyba jednak, że wrócił na stare tory.

Borewicz miał ze swojego mieszkania na Ząbkowską ledwie kilkaset metrów. Śpieszył się, bo mimo że Opary okupowali raczej ludzie na

poziomie, Pawłowi zdarzało się w przeszłości pod knajpą poznać praskich meliniarzy. A to oznaczało szereg zupełnie nowych kłopotów.

Na szczęście był jeszcze w niezłym stanie i nie zyskał nowych znajomych. Siedział w kącie niewielkiego baru, naprzeciwko grzebiącej w smartfonie barmanki, i sącył heroinę. Borewicz zamówił dla siebie piwo.

– Karolina cię przysłała? – zapytał Paweł.

– Sam się przysłałem.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

Cały problem z Pawłem leżał w tym, że nie było widać po nim, że jest pijany. Zdradzały go właśnie takie bezmyślne pytania. Przy tej swojej pozornej przytomności Paweł mógł w każdej chwili wyciąć jakiś numer: opuścić ich zniemacka w środku imprezy, nie wrócić już z wizyty w łazience, udać się z przypadkowymi ludźmi w tango. Zupełnie jak bezpieczny psiak. Borewicz nie miał pojęcia, jakim cudem Karolina wytrzymała z nim tak długo.

– Ile to potrwa tym razem? – zapytał.

– Co dokładnie?

– Twoje picie.

Dawniej Paweł zacząłby się wypierać.

– Nie mam pojęcia – oznajmił.

– Wiesz, co jest najgorsze? Nawet nie możemy ci tego zakazać – zauważył Borewicz. – Przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale wolałbym nie odbierać cię z Kolskiej. Jeszcze jesteś mi winny za ostatni raz.

– Zwrócę.

– Jasne.

– Wiesz co? – zapytał Paweł z dziwnym uśmiechem.

– No?

– Cała moja rodzina już nie żyje. Jestem ostatni Kosowski z Brzeskiej.

– Daj spokój, bez takich tekstów. I przecież masz nas.

Paweł pokiwał głową. Z bliska czuć go było alkoholem, fajkami, wczorajszą koszulą, a nawet jedzeniem. W zasadzie pachniał teraz jak dworzec kolejowy.

– Karo i mnie – powiedział Bartek. – No i Lutka.
Paweł skrzywił się lekko.
– Wiedziałeś, że inwestował jej pieniądze w jakieś akcje? – zapytał. –
Karo ostatnio mi o tym powiedziała.
– No i?
– Ja nie wiedziałem.
– Przecież raz nawet się o to pokłócili.
– Naprawdę?
– No tak, ale przecież stale się kłócili. Byli jak małżeństwo, tyle że bez seksu, dzieci i wspólnych książek.
Paweł uśmiechnął się półgębkiem.
– Wiesz, co zrobił?
– Lutek?
– Tak.
– Nie mam pojęcia. Ale... – Borewicz zawahał się, po czym dokończył: – W sumie to on tę dziewczynę przygruchał w Koktajlu.
– Co masz na myśli?
Bartek wzruszył ramionami. Siedzieli chwilę w milczeniu.
– Nie wiem, co chciałeś powiedzieć, ale Lutek nie mógłby skrzywdzić Sary – oznajmił po chwili Paweł. – I byłeś z nim przy robieniu tego frappé.
– Nie patrzyłem mu na ręce.
– Przecież... – zaczął Paweł i urwał. – Był w niej zakochany przez całe życie.
– Zawsze się z tego śmialiśmy. Nawet Sara. Ale ile było w tym prawdy? Miał w tym czasie z piętnaście różnych dziewczyn.
– Lubi kobiety.
– Sam widzisz.
– Ale nie były moją siostrą. Chodził z połową miasta, bo tylko na Sarze mu zależało – skomentował Paweł.
Zapadła cisza.
– Posłuchaj, a może skończymy już te głupie tematy? – Borewicz wziął się w końcu w garść. – Karolina bardzo się martwi. Nie chcesz jej tego

robić. Przestań już pić, kombinujesz, siedzisz we własnej głowie... Sary przez to nie odzyskasz.

– Problem w tym, że już przestałem – odparł Paweł, podsuwając przyjacielowi szklanę. – To nie drink, tylko czysta cola. Powąchaj.

– Trzeźwy nie jesteś.

– Ale trzeźwieję i wierz mi, to nie jest przyjemne.

– W takim razie chodźmy już stąd. Mój radar wskazuje, że siedzi tu co najmniej dwóch samotnych gejów, jeszcze trochę i wylądujesz w nieswoim łóżku. Za ładny jesteś, żeby tu sam siedzieć. I zdecydowanie musisz coś zjeść. Zapraszam cię na cygana do Ząbkowskiego.

– Jedyne, co tam przełknę, to herbata – powiedział Paweł.

Wchodząc na komendę po powrocie ze Śródmieścia, Warwiłow ujrzała kolejnego funkcjonariusza z dziennikarzem. Nie podobało jej się to. Nie zdążyła jednak zareagować: albo rozmawiający ją zauważyli, albo zdążyli załatwić swoje szemrane biznesy, zanim do nich podeszła.

Dziennikarz oddalił się sprzed komendy, a funkcjonariusz zniknął w środku. Zawahała się, jednak nie miała czasu za nim się uganiać i nawet nie wiedziała, który to z żółtodziobów. Stanowili dla niej jednolitą masę.

Chodkowski za to był u siebie. Starszy aspirant wciąż gnieździł się w najciemniejszej części wydziału dochodzeniowego, w pokoju z widokiem na brak widoku. Zieleń nie zdołała zrekompensować klitkowości tego pomieszczenia. Usiłował nadrobić piętrzące się sprawy; wiedziała, że w tym celu przyszedł dzisiaj do pracy o szóstej, i widziała jego minę, kiedy przekazała mu, żeby umówili się za dwie godziny. Wyglądał na zmęczonego i nawet nie spytał, jak jej poszło u Obary. A przecież to on wpadł na ten trop.

Kiedy szła do swojego pokoju, miała nadzieję, że nie spotka po drodze Białka. Korytarz okazał się na szczęście czysty i z ulgą otworzyła swoje drzwi.

Przedwcześnie. Skurwiel rozsiadł się wygodnie i jeszcze tylko brakowało, żeby wywalił nogi na stół.

– Co się dzieje, Nina? – zapytał.

– No co się dzieje? – podjęła, rzucając letni płaszcz na biurko, bo krzesło było przecież zajęte.

– Zadałem ci pytanie, nie baw się ze mną jak czterolatka. Jak postępy w śledztwie?

Spojrzała na niego: zadowolonego, ledwo mieszczącego się na siedzisku. A kiedyś był taki szczupły. W zasadzie nie był już przystojny, twarz mu się zmieniła od tego pakowania na siłowni, jakby i na policzkach wyrosły mu mięśnie.

– A możesz się łaskawie wynieść z mojego krzesła? – zapytała. Zerknęła nerwowo na biurko.

– Masz coś przede mną do ukrycia? – zaśmiał się Białek, ale wstał.

– Dlaczego się na mnie czaisz?

– Czekałem na ciebie od jakiegoś czasu, a dobrzy ludzie zameldowali, że już jesteś.

– Widzę, że promujesz donosicielstwo. – Z niechęcią opadła na krzesło, jeszcze ciepłe.

– No to co się dzisiaj dobrego wydarzyło? Spowiadaj się, Nina. – Sam przysiadł na biurku. Kolejny raz w tej górującej pozycji. Czy to już było molestowanie?

– Śledztwo w terenie – wyrecytowała.

– A coś więcej?

Wzruszyła ramionami. Białek był jednak wyraźnie w dobrym humorze.

– Nie chrzań, że się na mnie obraziłaś.

Nie jesteś dla mnie taki ważny, pomyślała.

– Wiesz, że niedługo będziesz musiała zacząć mówić, i lepiej, żeby było do rzeczy – dodał. – Po południu będzie tu prokurator.

– Stassberg?

– Tak. Chce coś mieć.

Z Chodkowskim była bliżej, więc wiedział o jej związku z praskim prokuratorem. Nie miała pewności, czy wie o tym Białek. Z pewnością dałby jej o tym znać. A może wczoraj już to zrobił? Przygryzła usta i wypaliła:

– Kosowska była cztery razy u Roberta Obary. Znasz?

Białek uniósł brew.

– Nie znoszę tego ścierwa – oświadczył.

– To chyba znaczy, że jest skuteczny.

– Może chodziło o stalkera – powiedział, wzruszając ramionami.

– Może.

– Zapytałaś o to naszych podejrzanych?

– Nie.

– Zrób to. Tylko ich nie wystrasz.

- Nie powiedzą.
- Dlaczego?
- Intuicja. Pewnie zresztą nie wiedzą.
- Ty i twoja intuicja – zaśmiał się Białek. – Zauważyłaś, że żyjemy w 2015?

A kiedy nie odpowiedziała, zmęczona już tą odpytką i – przedwcześnie – całym dniem, dodał:

- Masz jakąś nową hipotezę?
- Nie. Nie wiem jeszcze.
- Lepiej niech jakaś będzie. I niech to nie będzie samobójstwo, Nina. Ja jeszcze nie zszargałem swojej opinii w prokuraturze.

Zatkało ją i zarumieniła się, ale nie zdążyła zripostować.

Duszna komenda, inwigilowana przez dziennikarzy, z rosnącym zastępem donosicieli Białka... To nie był jeden z tych dni, kiedy miała ochotę tu przebywać. Udała się do Chodkowskiego.

- Jesteś już wolny?
- Nigdy nie będę wolny.
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Od piątku mamy jeszcze trzy nowe zabójstwa, a wszyscy myślą, że Sara Kosowska to nasza jedyna robota.
- Karol, rozwalmy tę sprawę, zanim rozwali nas. I chodźmy stąd – zaproponowała.
- Gdzie?
- Do kawiarni.

Usiedli w Coffeeheaven po drugiej stronie Jagiellońskiej. To było dziwne i zdecydowanie nie w porządku, że kawowa sieciówka stanowiła dzisiaj bezpieczniejsze miejsce do poufnych rozmów niż komenda. Dla pewności Nina rozejrzała się wokoło, czy nie ma tu jakichś pismaków. Młodość i przewaga fryzur „na pędzla” sugerowały jednak studentów pobliskiej Akademii Leona Koźmińskiego.

Zrelacjonowała Chodkowskiemu rozmowę z Obarą.

– Ile by nam zajęło sprawdzenie? – zapytała.

– O co może chodzić?

– Tak.

– Nie wiem. Jesteś pewna, że te konsultacje nie miały związku z nękaniami Sary?

Ponownie uwydatniła się jedyna w zasadzie słabość Chodkowskiego: wybierał najprostsze i najłatwiej dostępne rozwiązania.

– Białek myśli tak samo. – Westchnęła, zachowując powyższą refleksję dla siebie. – Ale co właściwie Sara konsultowała z Obarą, skoro nie znała tożsamości tego człowieka? W takiej sytuacji zatrudnia się ochroniarza, a nie adwokata.

– Dobra, Nina. – Wzruszył ramionami. – To powiedz, co ty o tym myślisz.

– Nic. Ale niepokoi mnie, czemu płaciła gotówką.

– Może nie miała na koncie?

– Daj spokój, wymyśl coś lepszego.

– Bała się plotek?

– Dobra, ale jaki to ma związek z płatnością? Przecież wyciąg z jej konta nie jest sprawą publiczną? O ile nie zakładasz, że ktoś jej to konto zhakował.

– Niewykluczone.

– Dla mnie jednak za daleko idące.

Chodkowski westchnął. Widać było po nim tę pobudkę o piątej i przepracowany weekend. Tak właśnie starzeli się policjanci: średnio płatną, ciężką i stresującą harówką. I to prawda, że wyglądali na dziesięć lat starszych niż w rzeczywistości.

– A może przyciśnijmy tę psychoterapeutkę Stern – zasugerował.

– Dlaczego?

– Nie znajdziemy morderstwa tam, gdzie go nie ma.

– Karol... – powiedziała, ale zaczął mówić szybciej:

– Nie, Nina, teraz ty mnie posłuchaj. Harujemy przez weekend, wypracujemy wiarygodną hipotezę, idziesz sama do Białka...

– Przecież nie chciałeś... – usiłowała mu przerwać, ale nie dała rady, bo starszy aspirant już się rozpędził.

– ...a potem bez słowa każesz mi prowadzić kolejne czynności. Nie jestem robotem – dokończył.

Zapadła krótka cisza.

– Białek odrzuca teorię samobójstwa – powiedziała. – Nie przejdzie, szukamy innego sprawcy.

– Paweł Kosowski ma alibi.

– Wiem, ale pozostali...

– Jacy pozostali? Jeśli Kosowski ma alibi, to i Karolina Moskał, która kręciła film.

– Są Lutyński i Borewicz.

– Którzy nawzajem mieli na siebie oko. Za to żaden nie ma jasnego motywu.

– Coś jeszcze kryje się pod powierzchnią.

– Ale co dokładnie, Nina? – Zaśmiał się odrobinę nieprzyjemnie.

– Sara Kosowska. Nembutał, AliExpress i Robert Obara. To wszystko ma ze sobą związek. Musi mieć.

– Oświeć mnie jaki.

Przygryzła wargę, mając nadzieję, że zwłoka obniży temperaturę rozmowy.

– Słuchaj, a może Sara chciała się zorientować, co z dziedziczeniem? – podjął Chodkowski.

– I poszła z tym do adwokata, a nie do notariusza?

– Ludzie nie wiedzą, kto jest od czego w prawie.

– I była tam cztery razy, tak? Karol, przecież potrafisz lepiej dedukować.

Pożałowała tego, zanim jeszcze skończyła ostatnie słowo. Chodkowski lekko się zaczerwienił.

– Nie musiałaś tego mówić.

– To czemu rzucasz kłody pod nogi? Przecież mówię ci, jakie są oczekiwania Białka. Może zresztą on ma rację – wypaliła. Z zaskoczeniem odnotowała, że jest zła na Chodkowskiego.

– Kłody pod nogi? – zapytał jej podwładny. – Bo, kurwa, nie wiem, od czego teraz zacząć?

– Na przykład od darknetu. Skoro już dorwałeś się do niego, prześledź wszystkie operacje i działania finansowe Sary i złóż mi z tego sprawozdanie.

Karolina zdecydowała, że nie będzie już przekładać sesji coachingowej, którą umówiła w zeszłym tygodniu. A tuż po zakończeniu spotkania czuła, że coś poszło nie tak.

Siedziała tu z tym facetem o imieniu Dariusz, czterdziestoletnim kursantem z jogi. W zasadzie najmłodszym w jej grupie, ale już z szeregiem zwyrodnień, które zaczął leczyć jakąś dekadę za późno.

Okazał się nadzwyczaj sympatyczny, przebąkiwał po zajęciach o tym, że chciałby kiedyś zmienić pracę sprzedawcy oprogramowania, i namówiła go na sesję coachingową. Za darmo, rzecz jasna. Musiała od czegoś zacząć, choć jej strona internetowa już hulala, tak samo zresztą jak profil na Facebooku i Instagramie, a nawet hasło, które wymyśliła i które wydawało jej się chwytliwe: „Emocje nie są twoim wrogiem!”.

Paweł szwendał się po mieście, wysłała po niego Borewicza i wiedziała, że nie wrócą zbyt wcześnie. Zaprosiła więc Darka do swojego „salonu” na Mińskiej: piętnastometrowego pomieszczenia, w którym upchała kuchnię, kanapę, a nawet pralkę.

Posadziła go na sofie, sama zajęła dość niewygodne krzesło. A po godzinnej sesji siedział cicho i wydawało jej się, że jest zmęczony, mimo że to ona włożyła w spotkanie sto procent energii i wysiłku. Zadała wszystkie pytania, które powinna zadać. Pytała, jak on się z tym czuje i dlaczego taka ważna jest dla niego zmiana pracy. Wszystko podręcznikowo. Jednak już po czterdziestu minutach wydawało jej się, że tracą kontakt, a Darek zaczął odpływać. W końcu łagodnie przekazała, że sesja dobiegła końca.

– No i jak? – zapytała z uśmiechem.

Milczał.

– Spoko – powiedział w końcu. – Od dawna tu mieszkasz?

– Od dwóch lat.

– Strasznie fajnie urządzone. Jaki metraż?

– Czterdzieści pięć.

– Naprawdę? Powiedziałbym, że więcej.

- Dziękuję. A może powiesz coś więcej o samej sesji?
- Milczał.
- Było tak źle? – zażartowała.
- O zgrozo, znowu nie odpowiedział. Zrobiło jej się gorąco.
- Daj mi jakiś feedback – poprosiła.
 - Ale tak szczerze?
 - Jasne, że szczerze.
 - Nie obrazisz się?
 - Nie. Każda uwaga jest dla mnie bardzo wartościowa.
 - Dobra. Pamiętasz, mówiłem ci, że chodziłem do psychoterapeuty, tak?
 - No tak.
 - To powiem ci, że czułem się dzisiaj jak na sesji terapeutycznej na opak.
- A jaśniej? – zapytała z nerwowym uśmiechem.
 - Z każdą minutą zamiast lepiej czułem się gorzej.
- Zapadła cisza.
- Przepraszam – rzucił cicho.
 - Ale za co?
 - No za te słowa. Nie chciałem ci sprawić przykrości.
 - Jednak ci się udało.
 - Rany, zawsze coś palnę – powiedział, kręcąc głową. – Może już pójdę.
- Tak naprawdę to nie twoja wina. Chyba tak bardzo nie potrzebuję coacha. Przeszedłem całą terapię...
- No to dlaczego właściwie się zgodziłeś?
 - No myślałem, że...
 - Że co?
 - No wiesz.
- Czy musiał w tym momencie spojrzeć na jej dekolt? Uczynić ten upokarzający moment jeszcze bardziej żalonym?
- Jezu, Darek... – Podniosła się, czując, że napinają jej się mięśnie ramion, a szczęka zaciska. – Nie wiesz, że mam kogoś?
 - Masz? Skąd niby miałbym wiedzieć?
 - Nie widziałeś korków piłkarskich? I męskich butów w przedpokoju?

- Sama ubierasz się na sportowo...
- Więc myślałeś, że to moje? – podniosła głos. – Ty tak serio chciałeś mnie poderwać? Udała ci się już kiedyś podobna sztuka?
- Czemu jesteś niemiła?
- Niemiła? W pięć minut obraziłeś mnie na tysiąc sposobów. Życzę powodzenia w nudnym życiu programisty. I nie przychodź już na moją jogę.

A kiedy wyszedł, wyraźnie obrażony, usiadła na krześle, gdzie momentalnie poczuła pulsujące poczucie winy. Co dobrego narobiła? Dlaczego musiała być taka impulsywna? Nawrzeszczała na potencjalnego klienta, który, jak każdy facet na świecie, miał w głowie seks zamiast mózgu. Powinna go za to winić?

I co poszło nie tak? Zadała wszystkie właściwe pytania: jak on się czuje ze swoimi planami, jak je rozumie, co dla niego znaczą i tak dalej. I przecież wszyscy zawsze mówili Karolinie, że ma dobre kontakty z ludźmi i powinna z nimi pracować. Jednak nie dostała się na psychologię, nie miała kasy na płatne studia, więc wybrała lingwistykę, a z psychologią postanowiła spróbować ponownie za rok.

Tyle że rok później było już nie dwanaście osób na miejsce, ale siedemnaście. Rocznik osiem pięć okazał się jeszcze bardziej wyżowy niż osiem cztery. Spróbowała ponownie rok później. Oblała i w końcu odpuściła, planując, że zarobi na czesne na SWPS, który w zakresie studiów psychologicznych cieszył się lepszą opinią niż UW.

Po sześciu latach od matury i tytule licencjata jej entuzjazm do kolejnych studiów opadł jednak, zwłaszcza że suma na koncie nigdy nie przekraczała magicznych pięciuset złotych, a zamiast o studiach zaczęła już powoli marzyć o dziecku. Paweł, odważny w przedsięwzięciach, namawiał ją mimo wszystko na pożyczkę. Zanim jednak złożyła wniosek, upadła jego własna knajpa i Karolina poczuła, że powinna mu teraz pomóc.

Wobec tego wszystkiego wzrost popularności zawodu coacha wydał jej się wybawieniem – nie wymagał tytułu, tylko umiejętności praktycznych, no i zawsze podejrzewała, że więcej niż na wydziale można nauczyć się samemu. Z książek, a przede wszystkim z obserwacji życia.

Może nie dysponowała świetną pamięcią i lotną inteligencją, ale sądziła, że widzi życie takim, jakie jest. I że może to przekazać spanikowanym przedstawicielom swojego pokolenia, zagubionym w morzu własnych ambicji, ambicji rodziców i dynamicznie zmieniającym się rynku pracy, coraz bardziej przypominającym rynek niewolników.

Strona internetowa była dopieszczona, pomysły i metodologia pracy przygotowane, scenariusze sesji przepracowane, a jednak stała w miejscu, czując, że czegoś jej brakuje, i nie dopuszczając do siebie myśli, że jest to właśnie wykształcenie psychologiczne.

Wydawało jej się teraz, że poniosła ostateczną porażkę. Darek z jogi zmasakrował jej poczucie własnej wartości, zmieniając ją jednocześnie w obiekt seksualny. W zasadzie to przyszedł do niej jak do bezpłatnej prostytutki.

Poszła do kuchni i zaparzyła sobie miętę, czując ucisk na wysokości serca, w splotach nerwowych. Gdzie się szlajał Paweł? Godzinę temu dzwoniła do Borewicza, który poinformował ją, że zlokalizował go w Oparach, tam gdzie poleciła mu szukać. Następnie zmusił go do zjedzenia połowy mielonego w Ząbkowskim i rozstali się w okolicach Dworca Wileńskiego.

Tyle że to było już dwie godziny temu. Czy Paweł mógł ponownie zacząć pić? Bartek napisał jej esemesa, że jej narzeczony jest już w zasadzie trzeźwy.

Pawłowi zdarzało się łączyć godzinami w samotności i znała genezę tych jego spacerów. Wymykał się w ten sposób z domu rodzinnego na Szmulkach, a nie chcąc się narzucać znajomym, po prostu szwendał się po Pradze. Może i dzisiaj tak było. Tylko dlaczego nie odbierał?

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Borewicza. Albo nawet do Lutka. Po fiasku sesji z Darkiem i lękach związanych ze śmiercią Sary miała ochotę pogadać z kimś, kto ją lubi i akceptuje.

Jestem taka beznadziejna, pomyślała. Ostatecznie nie umiała zastosować żadnego ze swoich coachowych haseł nawet do samej siebie. Życie było po prostu do kitu.

Zerknęła na zegarek. Wyjęła z lodówki pozostawioną przez Lutka puszkę coli, usiadła na kanapie i włączyła telewizję. Miała nadzieję, że trafi na jakiś ogłupiający program albo przynajmniej taki, w którym będzie mogła poodcenić prezenterów.

Więc do tego doszło, rozmyślała Nina Warwiłow po tym, jak powrócili z Chodkowskim na komendę i bez słowa rozeszli się do swoich pokoi. Skonfliktowała się z najbardziej przyjaznym sobie człowiekiem w tym mieście. A może nawet na świecie.

Jaka będzie ich współpraca w przyszłości? Przecież Karol nie pozostanie jej podwładnym całe życie, awansował zgodnie z planem, zasłużenie i niedługo wyniesie się z tej swojej dziury.

Niestety, nie tylko on jeden miał już zaległości w pracy. Warwiłow zajęła się świeżymi, wiszącymi na tapecie sprawami. Na ulicy 11 Listopada facet przyznał się, że obrabował i zabił swojego sąsiada, a drugi, dosłownie dwie ulice dalej, przetrzymywał w wersalce trupa żony. Chociaż jeszcze nie było wiadomo, czy ta biedna kobieta nie umarła śmiercią naturalną.

Mimo to obie sprawy wyglądały na dość proste, jak sami sprawcy: była w trakcie pisania drugiego raportu, kiedy do jej pokoju wkroczył starszy aspirant. Tym razem wyglądał na zadowolonego. Całe szczęście, bo skrzywiony i naburmuszony Karol Chodkowski stanowił swego rodzaju anomalię.

Wpatrzyła się w niego, myśląc, że znaczył w jej życiu więcej, niż sądziła. Przyjaciele nie trzymali się jej i ona nie trzymała się ich – prawdę mówiąc, od wyjazdu Joanny Pascho i rozstania z Tomkiem nie miała ich w ogóle, a jeszcze do tego pracowała w skrajnie szowinistycznym środowisku.

Zrównoważony, empatyczny, opiekuńczy wręcz Chodkowski był jasnym punktem jej życia i zachowywała się jak idiotka, narażając tę relację na szwank. Nie pierwszy zresztą raz.

– Pamiętasz firmę Bioneo? – zagaił starszy aspirant.

Zaskoczył ją nieco i z pewnym opóźnieniem zaczęła grzebać w pamięci. Po chwili wypłynęło.

– Spółka chemiczna, w której udziały ma Sara – powiedziała.

– Tak. To jest lipa.

– To znaczy?

– Hucpa, defraudacja, stoi na słupach wysokich jak Pałac Kultury. Gospodarczy się temu przyglądają.

– Te udziały Sara Kosowska...

– Zakupiła za pośrednictwem Michała Lutyńskiego – dokończył Chodkowski. – Który opiekował się jej finansami. I wiesz co? Zamilkła na tak postawione jawnie retoryczne pytanie.

– To nie jest najlepsza wiadomość. Michał Lutyński miał dostęp do konta Sary.

– O, proszę. – Odchyliła się na krześle.

– Miał do niego pełnomocnictwo, co za tym idzie wgląd. Żeby kontrolować przelewy. Czy reklamodawcy i firmy produkcyjne płacą na czas i tak dalej.

– Czekał, czekał. – Warwiłow wstała i żeby pobudzić głowę, zrobiła dwa kroki do okna, które otworzyła, wprowadzając szmer Jagiellońskiej po południu. – Lutyński robił frappé, to wiemy. Przyrządzał je razem z Borewiczem – powiedziała, siadając z powrotem.

– Ale mógł odwrócić jego uwagę.

– Czym?

– Mam podać przykład?

– Tak. Poproszę.

Chodkowski wzruszył ramionami.

– Może „podaj lód”.

– Nie mieli lodu, poszli do niego do sklepu, pamiętasz?

– To cokolwiek innego – odparł. – Lutyński był baristą, Borewicz mu pomagał. Pewnie nie patrzył mu na palce. Może cukier? Albo mleko z lodówki?

– O, to znacznie lepsze. Mleko często się wacha, to odwraca uwagę i mijają kolejne sekundy.

– Nina, jeśli Lutyński był przygotowany, potrzebował jednej, dwóch sekund, żeby wlać nembutal do szklanki.

– Mogliśmy ich, kurwa, wtedy przeszukać – mruknęła. – Może ktoś miał przy sobie jeszcze coś.

– To już nieważne – powiedział Chodkowski. – Posłuchaj, Lutyński przekreślił Sarę na pieniądze i zorientował się, że poszła do najlepszego adwokata procesowego w mieście, do Roberta Obary. Wiedział to z transakcji na jej koncie, choć potem usiłowała je ukryć, dlatego płaciła gotówką. Ale ten jeden przelew tam był i zdradził Lutyńskiemu, co kombinuje Kosowska.

– Dobra. Wierzysz, że ją usunął?

– Czy wierzę? Nie wiem, czy to jest najistotniejsze. Godzinę temu wierzyłem, że popełniła samobójstwo. Fakty są takie, że Lutyński robił frappé. I zdobył sobie alibi w postaci Borewicza tuż obok.

– Kiepskie alibi, przyznasz. Wygląda na bystrzejszego.

– Mimo to lepsze, niż gdyby został z kawą sam na sam. Zatrzymalibyśmy go od razu.

Zadzwoił telefon na biurku. Warwiłow odebrała, przytrzymała słuchawkę przez kilka sekund, następnie rzuciła „okej” i się rozłączyła.

– Dzwonił Białek... – powiedziała. – Chce pogadać. Już.

Chodkowski milczał, lekko zaciskając wargi, tak jakby chciał powstrzymać słowa przed wypadnięciem. Rozumiała, w co gra. Zaczął szacować swój czas. Dostarczył informację, więc w pewnym sensie był kryty i nie odpowiadał bezpośrednio za śledztwo. Niestety, potrzebowała go teraz bardziej.

– Wiesz co? Zamień się w niego na chwilę.

– W Lutyńskiego?

– Nie, coś ty. W Białka. Rozmawiasz ze mną i zadajesz mi pytania.

Chodkowski kiwnął głową.

– Jasne – powiedział. – Motyw zbrodni?

– Finansowy. Michał Lutyński okradał Sarę, być może od dłuższego czasu. Zorientowała się przy okazji Bioneo.

– Skąd? To znaczy jak się zorientowała?

– Nie wiemy.

– No bo wiedziałyby, jak to sprawdzić? To nie jest oczywiste.

– Ktoś mógł jej też donieść. W każdym razie wiemy, że co najmniej od czasu drugiej konsultacji u Obary była świadoma tego, że Lutyński ją

okrada.

– Dlaczego?

– Bo ukryła na swoim koncie tę konsultację. Zapłaciła gotówką.

– Może chciała to ukryć przed kimś innym?

– To właśnie Michał Lutyński miał pełnomocnictwo do konta Kosowskiej.

– A brat?

– Nie. Tylko Lutyński – powiedziała Warwiłow. – A właśnie, czy mówię teraz prawdę? Tylko Lutyński miał dostęp do jej konta?

– Tak. Żadnych innych pełnomocnictw nie namierzyłem – odparł Chodkowski, po czym nerwowo pobębnił palcami po biurku.

Czekała cierpliwie.

– Co z nembutalem i AliExpress? – ponowił „przesłuchanie” po chwili. – Jak to wyjaśnisz?

– Może Sara Kosowska nigdy nie buszowała po darknecie. Nie mamy danych i dowodów, że szukała tam nembutalu – powiedziała, bo zdążyła już rozpracować tę kwestię w głowie. – Kosowska kupowała na AliExpress, tak jak pół świata, i prawdopodobnie szukała tam ciuchów, a nie prochów. Darknet to jest tylko nasz pomysł, bez potwierdzenia w faktach.

– O ile Lutyński sam tam czegoś nie szukał – dodał Chodkowski. – Bo jeśli to on ją zabił, to skądś musiał ten nembutal zdobyć.

– Tak. Zajmiemy się tym.

Aspirant pokiwał głową.

– To jest dość przekonujące. Bo hipoteza ma jeszcze luki.

– Każda ma. – Warwiłow zerknęła na zegarek. – Dobra, już czas, bo Białek będzie się pieklił – powiedziała, a potem chwilę się zawahała, zanim dodała: – Chodź ze mną, proszę.

Naczelnikowski gabinet Białka funkcjonował teraz jak typowa poczekalnia. Każdy, kto chciał, wchodził, przeglądał raporty i wychodził, czasem zupełnie bez słowa. Warwiłow nie wiedziała, czy to jest lepiej, czy gorzej dla skuteczności pracy wydziału.

Musiała jednak przyznać, że to było dość zaskakujące u Białka, że się nie „sadził” na nowym stanowisku. Mimo swojego podstępного charakteru jakoś zawsze udawało mu się otaczać kolegami. Bogdan Matkowski wyraźnie dawał do zrozumienia, jaka jest hierarchia. Tajemniczo awansowany Białek nowocześnie ją zamazywał, ale naruszał przy tym z milion punktów regulaminu. W efekcie w trakcie ich rozmowy przez pokój przewinął się tabun osób.

I tylko jednej brakowało. Prokuratora.

– Nie ma Stassberga – powiedziała, ale Białek nawet nie skomentował.

– Zaczynaj – rzucił krótko. – Czuję, że coś dla mnie masz.

Ostrożnie opowiedziała o Michale Lutyńskim. Białek, jak na niego, słuchał uważnie. Do czasu: po mniej więcej dziesięciu minutach przerwał jej w połowie zdania. Co gorsza, bezceremonialnie machnął przy tym ręką.

– Wystarczy – powiedział.

– Pozwól mi skończyć – wycodziła.

– Wiem już dość.

– Zatem co robimy?

Spojrzał na nią tak, że się zaperzyła. Chodkowski na krześle obok trwał niewzruszony jak Budda, wyraźnie zdecydowany, żeby się nie wtrącać.

– Prowadzę to śledztwo – oznajmiła.

– Ale go nie nadzorujesz.

Poczuła, jak tężeją jej mięśnie na plecach i policzkach.

– Gdzie jest Stassberg?

– Nastąpiła zmiana planów – powiedział Białek i zamilkł.

– No i? – rzuciła, a kiedy dalej milczał, dodała: – Jaka zmiana planów?

– Spotykamy się w prokuraturze.

– W prokuraturze? – westchnęła. – Dobra, Aleks, nie wnikam dlaczego, choć to mi nie na rękę. – Zerknęła na zegarek, myśląc, ile to będzie kosztowało jej nad wyraz cennego czasu.

– Nina – powiedział Białek, zniecierpliwiona łapiąc ją za nadgarstek.

Ledwo co powstrzymała się przed wyrwaniem dłoni.

– Chyba mnie nie zrozumiałaś. Jadę tam sam.

Zrobiło się już późno, ale Warwiłow miała wrażenie, że to jeszcze nie koniec gry. Nie mógł być. Wahała się chwilę, czy wykorzystać nieoczekiwanie ofiarowany jej czas. Bo mogła pobiegać, mogła czytać, mogła iść na zakupy. Może właśnie to.

Miała przecież wolne popołudnie. Choć najchętniej poszłaby spać. Zasnęłaby na kanapie o piątej i obudziłaby się następnego dnia rano, świeża jak liście za oknem.

Zamiast tego wszystkiego pojechała jednak do Barbadosu. Weszła i zajęła stolik w rogu, w knajpie, gdzie dwa i pół roku wcześniej była na randce z Maćkiem Stassbergiem. Wkrótce potem ktoś, na pewno nie ona, podsunął prasie informację o pociętych gilotyną książkach i jeden z dzienników wypuścił na ten temat głośny artykuł. Okazało się, że w odpowiedniej oprawie emocjonalnej i zbrodnia na książkach bulwersuje społeczeństwo.

W efekcie nagłośnienia sprawy Barbados przeżył falę krytyki, knajpa wydała sprytne, dopracowane PR-owo oświadczenie, a teraz ściany były wyłożone czarną, cokolwiek ponurą cegłą. Nie była pewna, czy wygląda to lepiej, choć z pewnością bardziej humanitarnie.

I może Warwiłow nie poszła dzisiaj biegać ani nie obejrzała relaksującego serialu kryminalnego. Za to zamówiła sobie trzydziestocentymetrową pizzę. I to po całości: z prosciutto, krewetkami, rukolą i ostrymi papryczkami.

Młodziutki kelner z dredami przyniósł ją po piętnastu minutach. Pizza była lekko wilgotna i chrupiąca. Nina musiała przyznać, że smakuje bardzo dobrze, i nie mogła zrozumieć, dlaczego wcześniej jadała tu sałatki.

Dwa i pół roku temu siedzieli tu razem, choć przy innym stoliku, ze Stassbergiem. I jadła nie pizzę, tylko sałatkę, bo nie chciała czuć się ciężka na tej niespodziewanej randce. Choć i tak była wtedy cięższa, ale z innej przyczyny, co do której nie miała wówczas jeszcze pewności.

W końcu odwiozła Stassberga do domu, a potem... co było potem? Gdzie się podział ten czas, pomyślała, obgryzając równiutko pizzę, aż do brzegu, który odłożyła na bok. Co się podziało z nimi?

Zamiast z Maćkiem siedziała teraz z jedynym i najwierniejszym towarzyszem: smartfonem. Sprawdziła pocztę i Facebooka: konto, które prowadziła pod pseudonimem i gdzie głównie podglądała bardziej ułożone żywoty swoich rówieśników. Zdjęcia z wakacji, ojców z dziećmi, matki z ojcami, te przekłete rodziny nuklearne... Jak oni to wszystko sobie poukładali?

Nie miała ochoty oglądać czyjegoś szczęścia i wkrótce zdradziła media społecznościowe na rzecz portali informacyjnych. Na szczęście na stronie gazeta.pl szybko rzucił się jej w oczy nagłówek. Wielkimi wołami był zapisany cały na czerwono.

To zajęło jej uwagę. A po chwili wszystkie myśli.

„Michał Lutyński otrzyma zarzut zabójstwa Sary Kosowskiej”.

Przebiegła oczami tekst poniżej, ale nie mogła czytać dalej. Wyszarpała z portfela pięćdziesiąt złotych, rzuciła na stół i zerwała się do wyjścia.

W prokuraturze świeciło się ledwie kilka świateł. W jednym z jasnych pomieszczeń rozpoznała gabinet Stassberga, a na wejściu niemal potrąciła strażnika, machając mu przed nosem odznaką. Przecież tak dobrze ją znał.

Weszła do pokoju bez pytania. Siedzieli przy biurku razem z Białkiem i raczyli się kawką z prywatnego ekspresu Stassberga. Przyjaźń tych dwóch była dla niej nieoczywista, z jakichś powodów mieli jednak świetny kontakt.

– Co jest grane, Nina? – Białek zareagował jako pierwszy. – Przecież powiedziałem, że będę rozmawiał sam.

– Co jest grane? – zapytała, nie mogąc uwierzyć w ich spokój. – Śledziłeś może media?

– Nie, ale...

– To lepiej zobacz. – Podeszła do niego z telefonem w dłoni.

Kiedy zobaczył, co jest na ekranie, zbladł i spojrzał szybko na Stassberga, który przejął telefon i chwilę wpatrywał się w niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Następnie prokurator zwrócił się w stronę komputera i zaczął nerwowo klikać myszką.

– Jak to się stało? – zapytał Białek. – Przecież nie zdecydowaliśmy o zatrzymaniu Lutyńskiego.

– Nieważne, że nie zdecydowaliśmy.

– Ale dopiero...

– Wciąż nie rozumiesz? Ktoś od nas sprzedał to do prasy, kretynie – przerwała mu ostro.

Białek zamilkł i widziała, jak na jego twarzy po kolei maluje się szereg emocji: obraza, złość, dostrzegła również wstyd.

– Co robimy? – powiedział i spojrzał na Stassberga, który wbijał oczy w ekran komputera i wciąż nie wypowiedział ani słowa.

– Czy mamy teraz jakieś wyjście? To już się dzieje i nie zatrzymasz tej lawiny – powiedziała. – Media się nie mylą. Zatrzymujemy Michała Lutyńskiego pod zarzutem zabójstwa Sary Kosowskiej.

Lutek jechał Wałem Miedzeszyńskim, a na każdym świetłach nerwowo sprawdzał internet. Nie miał pojęcia, że tak szybko to się potoczy. Według doniesień prasowych powinien się spodziewać niemal natychmiastowego aresztowania. Zastanawiał się w pewnym momencie, czemu nikt go jeszcze nie zatrzymuje, nie nadlatują helikoptery, a na Wale nie czeka na niego blokada. Taka właśnie histeria zapanowała w mediach, a jej bohaterem stał się on, Michał Lutyński. Nawet nie mógł wyobrazić sobie rodziców oglądających twarz syna w *Panoramie*.

Pomijając popołudniowy ruch, droga okazała się jednak czysta. Lutek wjechał motocyklem na rondo Starzyńskiego, skręcił w Jagiellońską i potem jeszcze raz, w Trasę Toruńską. Pilnując, by nie przekraczać stu pięćdziesięciu, pomknął nią na wschód. I dopiero wtedy poczuł się nieco bezpieczniej.

Wciąż miał w głowie rozmowę telefoniczną sprzed kilkunastu minut. Przez chwilę zastanawiał się, czy odbierać z nieznanego numeru; uspokoił się nieco, kiedy usłyszał znajomy głos.

- Zupełnie nie rozumiem... – powiedział wtedy Lutek.
- Czego dokładnie?
- Tego, co się dzieje – podniósł głos.
- Przede wszystkim nie działaj pochopnie.
- I to nie jest tak, jak piszą w mediach – powiedział. – Może Bioneo kiepsko przedzie, ale nie jest oszustwem... Ale jeśli zaczną mnie pytać...
- To co?
- Milczał.
- Lutek? Jesteś tam?
- Tak.
- Posłuchaj, lepiej się spotkajmy.
- Dlaczego?
- Bo panikujesz i nic dobrego z tego nie będzie. Przede wszystkim dla ciebie. Jesteś przestraszony i nie myślisz racjonalnie. Spotkajmy się

w bezpiecznym miejscu, ustalimy plan działań i przygotujemy cię na pytania policji.

– Będiesz mnie szkolić? – zapytał Lutek.

– Żebyś wiedział. Nie ma powodu, żeby pogarszać sytuację.

Zastanawiał się nad tym chwilę, ale i tak musiał opuścić mieszkanie. I rzeczywiście bardzo potrzebował rozmowy, ręce trzęsły mu się jak paralitykowi. A kiedy potwierdził, ustalili czas i miejsce, i odebrał na telefonie pinezkę.

Może daleko, ale musiał przyznać, że ustronnie. Jadąc Trasą Toruńską, a potem skręcając w ulicę Głębocką, Lutek zastanawiał się jednak, czy nie popełnia piekielnego błędu. Czy nie powinien zaufać samemu sobie i postąpić zupełnie inaczej? Potrzebował jednak czasu i spokojnej rozmowy, żeby jego aktualnie zła sytuacja nie zmieniła się w katastrofalną.

Zaparkował przy Głębockiej. Tutaj było już całkiem spokojnie: Biedronki, Żabki, rowerzyści na nowo pobudowanych ścieżkach i nastolatki – szwendacze. W tych rejonach Bródna powstały ostatnio osiedla, ludzie kisili się we własnym sosie, a popołudnia spędzali na powietrzu i nie przewidywał, że ktoś go rozpozna. Mimo to wyjął ze schowka i założył ciemne okulary, a potem wkroczył do Lasu Bródnowskiego.

Minął kilka ścieżek biegowych, na jednej ruch był tak intensywny, że przystanął w bezpiecznej odległości, czekając, aż się przerzedzi. Szedł jeszcze dziesięć, może dwadzieścia minut, po jakimś czasie biegacze zniknęli mu z oczu. Robiło się coraz ciemniej i coraz chłodniej.

I w końcu doszedł do punktu, który wskazywała mu pinezka. Od głównej drogi odchodziła tu gęsto zarośnięta, słabo widoczna ścieżka, na którą wstąpił. Po kilkudziesięciu sekundach stanął na miejscu: w środku wilgotnego i ciemnego zagajnika; słońce na niebie też już finiszowało.

Dlaczego tutaj, tak głęboko? Poza trasami dla biegaczy Las Bródnowski nie należał przecież do zatłoczonych, to nie były pieprzone Kabaty.

– Jesteś tu? – zapytał. – Halo? – dodał nieco głośniej. Przez chwilę myślał, że pogada tylko z echem, ale usłyszał szelest, a potem głos.

– Cześć.

Rozglądał się zdezorientowany dookoła, ale wszystko teraz było jednolicie bure.

– Kurwa, gdzie jesteś?

Cisza.

– Wciąż cię nie widzę – powiedział. – I dlaczego tak głęboko w lesie...

– Tu jest bezpieczniej, Lutek, nie zadawaj niemądrych pytań.

– Nie mam takiej formy jak ty. – Usiłował przybrać żartobliwy ton, ale po tych słowach zapadło milczenie, jakby rozmawiał sam ze sobą. – Nie widzę cię dobrze. Wyłaź, przecież tutaj nikogo nie ma.

I znowu cisza, przez chwilę do Lutka dochodziło tylko odległe stukanie dziecięcia.

– Jeszcze z tego wybrniesz – usłyszał.

– Jak niby? – zapytał Lutek.

– Siedząc cicho. Nic się jeszcze nie stało.

– Nic się nie stało? Nawet nie wiem, gdzie ty, kurwa, jesteś, pokaż się wreszcie! – krzyknął, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, kontynuował: – Całe miasto gada, że jestem mordercą. Zaraz mnie zatrzymają. Moi rodzice tego słuchają, wyobrażasz to sobie?

– Uspokój się. Tak, wyobrażam sobie...

Lutkowi zdawało się, że usłyszał chrzęst, i zaczął powoli iść w tym kierunku.

– Ale to twoja wina.

– Co moja wina? – Przystanął.

– To, co się dzieje. Spieprzyłeś to, Lutek.

Cisza.

– Zawsze tylko te pieniądze. A teraz przycisną cię i wyciągną z ciebie wszystko... Złamią cię.

Po tych słowach Lutek zaczął odczuwać niepokój.

– Proszę, powiedz, że się mylę – usłyszał. – Że to nieprawda.

– Co nieprawda?

– To, co mówię. Co im opowiesz o zaćmieniu słońca? O walentynkach, jeśli cię zapytają?

– Dlaczego mieliby się o to spytać? Nie mają pojęcia o walentynkach! Możemy pogadać twarzą w twarz? – zapytał Lutek i zrobił jeszcze krok do przodu, gdzie, jak mu się wydawało, mignęło coś czerwonego. Prawym butem wszedł w jakieś bagienko, do środka wlała mu się woda.

– Nie, nie podchodź, proszę cię.

– Ale dlaczego? Co przede mną ukrywasz? – Zawahał się, myśląc, czy zrobić jeszcze krok w ciemność. – Wiesz co, ja też już chyba ci nie wierzę.

Milczenie, ale usłyszał w końcu wyraźny szelest liści.

– Gadam z tobą jak ślepy – powiedział teraz nieco spokojniej. – Proszę cię, wyjdź wreszcie z tych krzaczorów.

Po chwili jego prośba została spełniona.

Po ataku na samotną biegaczkę w Lesie Bródnowskim Martyna Migielska przestraszyła się i przestała biegać. Bo trenowała zawsze tylko sama, nie pasowały jej te fanatyczne grupy biegowe i nie mogła zmusić się do wspólnie okazywanego entuzjazmu.

Szybko jednak poznała konsekwencje: nie tylko błyskawicznie przybrała na wadze, bo czas na bieganie przeszedł w czas na gotowanie, ale też cierpiała na stałe przygnębienie. Po pracy w międzynarodowej korporacji spożywczej tylko to bieganie przywracało jej energię i pozwalało na spędzenie następnego dnia z ludźmi, za którymi nie przepadała, i w firmie, której się bała.

Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej osowiała i często wychodziła wieczorem na balkon, by obserwować las, tak jakby miał jej odpowiedzieć na pytanie, czy jest już bezpieczny. Niestety, napastnika, który skrzywdził biegaczkę, nie znaleziono. Bardzo nie chciałyby się znaleźć na miejscu tej nieszczęsnej dziewczyny.

W pewną sobotnią, piątą już godzinę oglądania seriali i bezmyślnego skrolowania Facebooka natrafiła na ogłoszenie. Koleżanka koleżanki oddawała pieski, prawie rasowe wyżły weimarskie – czyli z jakąś wadą, która nie pozwalała na przyznanie im rodowodu. Martyna wrzuciła tę nazwę w wyszukiwarke: całkiem spory piesek i bardzo lojalny. A gdyby tak?

Nie chciała nad tym zbyt długo myśleć. Przez Facebooka skontaktowała się z tą dziewczyną, a kilka godzin później stała się posiadaczką psa o dumnym imieniu Protego, bardzo szybko zmienionym na krótsze: Prot.

Wkrótce Prot zmienił jej życie w koszmar. Pogryzł wszystkie kable, zjadł z połowę komputera i pożarł jej najlepsze buty. A kiedy nie było jej w domu, wył jak opętany i najbliżsi sąsiedzi, choć zakolegowani, w desperacji już grozili jej policją.

Tłumaczyła się z tego zaczerwieniona, a potem popytała i zadzwoniła po psiego behawiorystę. Facet nazywał się Iwan i sam pachniał jak stary pies.

„Wychowywał” Protą przez trzy godziny, czasem besztając go, a czasem pieszczotliwie do niego szepcząc. Patrzyła na tę scenę sceptycznie, zastanawiając się, ile jeszcze to psie szaleństwo będzie ją kosztować.

Jednak, cudem, zadziałało. Po kolejnych dwóch wizytach Iwana Prot przestał się rządzić w domu i zjadać jej dobytek, a podraszał całkiem szybko i wkrótce zabrała go na pierwsze biegi.

Tutaj ujawniła się jego prawdziwa wartość. Był urodzonym psem myśliwskim, biegł pewnym susem, zawsze tak z dwadzieścia metrów przed nią, co jakiś czas zniknął na trochę w zaroślach, ale zawsze do niej wracał, żeby ponownie objąć przywództwo – nawet jeśli zdążyła już zmienić trasę.

Czuła, że pies otacza ją opieką. I nie był już taki mały: Martyna wreszcie poczuła się bezpiecznie. Od trzech miesięcy nie pamiętała uczucia strachu, które wróciło właśnie tego wczesnowiosennego poranka. Prot zniknął już kilka minut temu i nie wracał, nietypowo jak na niego.

– Prot! – krzyknęła parę razy. A potem gwizdnęła. Spłoszyła tym tylko ptaki. – Procik!

Usłyszała szelest i zmroziło ją. Sparaliżowana wpatrywała się w krzaki, ale wychynął z nich tylko jej pies.

– Prot, do cholery! Co ty wyprawiasz? Idziemy do domu. Już!

Ale pies nie chciał iść. Podbiegł do niej, a potem, zanim zdążyła zareagować, zniknął w tym samym miejscu, w którym się pojawił. Usłyszała delikatny odgłos stąpania łap po liściach i pies zniknął jej z pola widzenia. Zanim jednak zdążyła na niego krzyknąć, pojawił się ponownie i zaskomlał.

– Co jest, Prot, coś cię ugryzło? – Pochyliła się nad nim, ale wyglądał cało. Zaszczekał ponownie i zdawało jej się, że zwraca łeb z powrotem w stronę lasu. W końcu, choć to było niepojęte, zrozumiała. Chciał jej coś przekazać. – Procik, co tam jest? – zapytała.

Szczeknął.

– Mam z tobą iść, piesku?

I, tak jakby wszystko już zakomunikował, Prot ponownie zanurkował w zarośla. Martyna zawahała się, ale zanim zdążyła to solidnie przemyśleć, podążyła za swoim psem. Gałęzie włożyły jej między oczy i po kilku

minutach stwierdziła, że popełnia błąd. Trzeba było zawrócić na ścieżkę, a Prota zabrać stąd choćby i siłą.

Ale chyba było już na to za późno. Ponownie zobaczyła swojego psa. Stał nad kolorowym workiem na śmieci, który jakiś wandal pozostawił w samym środku lasu. Prot był w trakcie energicznego obwąchiwania znaleziska i kwestią czasu było, zanim zacznie to jeść – nie należał w tym temacie do niewiniątek.

– Śmieci? – powiedziała Martyna. – Serio, Prot?

Jak ludzie mogli być tacy podli? Zanieczyszczą i zaśmiecą każdy metr ziemi, pomyślała. Podeszła bliżej, zdecydowana, żeby chwycić Prota za obrozę. A wtedy dostrzegła, że jej pies wcale nie obwąchuje śmieci, i krzyknęła.

Dwie godziny później Michał Lutyński wciąż leżał w teoretycznie wygodnej pozycji, z głową opartą o porośniętą mchem nasadę drzewa. Dziurawą żółtą folią mężczyzna przykryty był aż do głowy. Ciężkie krople wody, które przedostały się przez korony drzew, zmoczyły mu twarz i włosy, odsłaniając przerzedzenia.

– Ale po co ta folia? – zapytała Warwiłow, sama chowając głowę pod kapturem kurtki goretexowej. Siekący deszcz zapewniał jej tym samym monotonne efekty dźwiękowe: bum, bum, bum...

Chodkowski uniósł lewą brew.

– Myślisz, że to jest kluczowe pytanie teraz? – rzucił, odsuwając się lekko na bok, żeby zrobić miejsce dla fotografa.

– No tak, bo niby dlaczego?

– Jeszcze nie wiem – odparł ostrożnie.

– Ja znajduję tylko jedno wyjaśnienie.

– Nie lubię, kiedy tak gadasz.

– Nie robię ci sprawdzianów, tylko chcę sprawdzić, czy moje myślenie ma sens.

– Może morderca chciał, żeby Lutyński był widoczny?

– Dokładnie. Pomyślałam to samo. Tylko dlaczego?

– Jedno przychodzi mi do głowy.

– No?

– Był blisko z Lutyńskim. I nie chciał, żeby on gnił w tych zaroślach.

– Tak. – Kiwnęła głową. – I może właśnie to powinno stanowić nasz punkt wyjścia w sprawie tego zabójstwa – dodała i pochyliła się nad trupem.

Strzelano do niego dwukrotnie. Jedna kula przeszła w okolicach obojczyka, druga przez czoło, nieco bliżej skroni.

– Dwa strzały. Fuszerka? – zapytała.

Chodkowski wzruszył ramionami.

– Ciemno tu, wszystko jest możliwe.

– Tak. Zróbmy balistykę i koniecznie traseologię. – Popatrzyła na błoto, które powinno zakonserwować ślady podeszew. – I oczywiście zbadajcie tę folię – zwróciła się do chamowatego technika z Nowolipek, do którego najbezpieczniej było mówić w trybie rozkazującym i nie wchodzić w dyskusję. – Może coś na niej zostało. Pobierzcie też ślady zapachowe. Przede wszystkim jednak kulka, jak najszybciej chcę zobaczyć wyniki badań balistycznych.

A kiedy technik kiwnął głową i odszedł, zapytała:

– Co go, do cholery, trafiło? – Pochyliła się nad ciałem, usiłując ocenić kaliber. Dziurka była malutka. – Może 7,65 milimetra?

Jak każdy pocisk, kula z pewnością zostawiła swój indywidualny ślad w lufie pistoletu. Ten kaliber pasowałby do beretty tomcat i walthera PP, małych klamek używanych do samoobrony.

– A to miejsce? – zapytał Chodkowski, wskazując ręką na teren dookoła nich. – To wygląda tak, jakby Lutyński pojechał po swoją śmierć do lasu. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Może przykrył się plastikiem i sam do siebie strzelił?

– Mało prawdopodobne. – Warwiłow wyciągnęła swojego glocka i przytknęła go sobie do głowy w tym samym punkcie, w którym ranę odniósł Lutyński, przy skroni. – Mało intuicyjna pozycja. I teraz każdy głupi wie, że lufę wkłada się do ust.

– Mnie też nie przekonuje opcja samobójstwa. Nie ten typ.

Nina milczała dłuższą chwilę. Czuła, że skórzane buty nasiąkają wilgocią i pewnie trzeba je będzie wyrzucić. Ze stresu albo zimna coś zaczęło ją drapać w gardle.

– Może powinniśmy ich zatrzymać – powiedziała.

– Kogo?

– Całą wielką czwórkę.

– Teraz trójkę.

– Tak. Kosowskiego, Borewicza i Moskal. Nie patyczkujmy się, tylko wyciągnijmy to z nich.

Chodkowski spojrzał na nią uważnie.

– Rozumiem, że żartujesz.

– Tak. – A po chwili dodała: – Nie wiem. Brakuje nam ludzi.

– Zajmę się technikami i komendą z Ursynowa – powiedział łagodnie Chodkowski. – Ty może trochę odsapnij.

Miał rację. Była wycieńczona śledztwem, opieką nad Miłą i ojcem. Agresją Białka, bierną agresją Stassberga i napastliwością wielkiego miasta.

– W każdym razie jednego mordercę już mamy – powiedziała.

– Nie rozumiem.

– Prasę. To media sprowokowały zabójstwo – stwierdziła. – I nie sądzę, żeby to był ostatni raz w tej sprawie.

Następnego dnia rano Warwiłow galopowała przez brunatne korytarze szpitala w Aninie, który zawsze sprawiał wrażenie, jakby zrobiono go z tektury niechlujnie pociągniętej pomarańczową farbą. Było tu za to przytulnie i spokojnie, prawie jak na oddziale depresji w Trzebnicy, Tworkach albo nowej klinice psychiatrycznej w Weseliskach.

Aleksander Siergiejewicz podobno miał się lepiej, choć nie sprawiał takiego wrażenia. Dzisiaj Warwiłow, wyposażona w przybory kupione w szpitalnym kiosku, uknuła jednak plan. Wyjęła piankę oraz maszynkę do golenia i zaczęła walczyć z grubymi i twardymi jak stal siwymi włosami na brodzie ojca. Szybko okazało się, że równie dobrze mogła je potraktować papierem ściernym. Co gorsza, nagle, zupełnie w swoim dawnym stylu, ojciec zamachnął się, wytrącając jej maszynkę z ręki.

– Tato, uspokój się! – ofuknęła go.

Wygardłował coś w odpowiedzi i Nina wywnioskowała, że wcale mu się to nie podoba. Pewnie to była jej wina. Skąd niby miała wiedzieć, jak golić mężczyznę. Z włosem, pod włos, a może na skos? Te włosy zresztą różniły się od siebie grubością, a poszczególne obszary golenia wrażliwością skóry: w efekcie na gardle ojciec miał już trzy krwawe zadry. Może lepiej było kolejny raz wyjąć portfel i przyprowadzić tu golibrodę? Czy kwitł przyszpitalny biznes tego typu?

A może powinna pozostawić go w spokoju i nie walczyć stale z całym światem? Tego ranka dwadzieścia minut wkładała Mili buty i mała darła się przez cały ten czas. Jak doszło do tego, że jej główną funkcją życiową stało się usługiwanie innym? Kiedyś jeździli z Tomkiem do SPA, w góry i do uzdrowisk. Pierwszy wspólny weekend spędzili w Rabce, kąpiąc się w białej glince i dając się masować gorącymi kamieniami, a w przerwach między masażami zaliczając trzy numerki dziennie. Co poszło nie tak?

Spojrzała na ojca. Trudno było uwierzyć, że jest z nim lepiej. Skórę na twarzy miał szarą i obwisłą, ręce – niegdyś bokerskie, żyłaste i muskularne – teraz były rękami starca.

Westchnęła i zostawiła ojca ogolonego mniej więcej w połowie, dokończyła tylko jeszcze lewą stronę i kawałek wąsa, więc wyglądał teraz jak wariat. Obmyła maszynką w umywalce, wsadziła do szufladki i wreszcie usiadła, uzbrojona w silną motywację.

– Tato, ostatnio opowiadałeś mi o swojej mamie. Jaka ona była?

Długo milczał, ale czuła, że ma dzisiaj odrobinę więcej energii i w końcu coś powie.

– Kochana – powiedział.

– To znaczy miła, tak?

– Kochana – powtórzył.

A wtedy do Warwiłow dotarło, że myli znaczenia imiesłówów rosyjskich. Ojciec wcale nie powiedział „kochana”. Powiedział „kochająca”.

– Czyli kochała cię?

– I mojego brata.

Niemal podskoczyła z podniecenia.

– Jak on miał na imię? Twój brat?

Nie odpowiedział.

– Tato, jak miał na imię twój brat? – powtórzyła.

– Jewgienij.

– A czy pamiętasz swoje prawdziwe nazwisko?

– I Polina – dodał, jakby nie usłyszał ostatniego pytania.

– Kim była Polina?

– Siostra – wyszeptał.

Tatiana. Polina i Jewgienij. Jej bliscy krewni. Czuła się, jakby wypłynęła na otwarte wody. Może rodzeństwo ojca wciąż żyło. Oczywiście zależy od tego, jak bliskie kontakty mieli z wódką. Brakowało jeszcze piątego elementu.

– Jak miał na imię twój ojciec? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Dobrze, tato. A czy Polina i Jewgienij nadal żyją?

Aleksander Siergiejewicz, a może Aleksander x, ponownie pokręcił głową. Nic z tego nie wywnioskowała.

- A za co moja babcia trafiła do więzienia? Z powodów politycznych?
- Była kochająca.
- Tato, już to mówiłeś. Ale za co ją sądzili?

Obrócił głowę, tak jak poprzednim razem, kiedy u niego była. Ale zaszła już za daleko, żeby odpuścić. I przecież ostatnio wcale nie zasnął, tylko udawał. Gdy na chwilę wyszła, zabrał fotografię ze stolika. Dlaczego teraz miało być inaczej? Odniosła też wrażenie, że odwrócił się, żeby coś przed nią ukryć.

– Tato... – Chwyciła go za ramię, dotykając tych osłabłych mięśni, a mimo to wciąż czując przed nim lęk. Zawahała się. – Czy to miało jakiś związek z tobą? Dlatego uciekłeś?

Wpatrzył się w nią i przełknęła ślinę. Nie zaprzeczył. W zasadzie nie powinna się jednak dziwić, cokolwiek jej ojciec odpowie. Miała wystarczająco dużo dowodów na to, że nie był prawym człowiekiem. Choć gdzieś na dnie zawsze chciała dostrzegać w nim dobro.

– Zabiłeś kogoś? – zapytała.

– Diabła.

– Kim był diabeł?

Cisza.

– Jak miał na imię?

– Nie...

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego go zabiłeś?

– Robił im krzywdę.

– Kto?

Znowu cisza.

– Ojciec – wyszeptał w końcu Aleksander Siergiejewicz.

– Czy diabeł... ten człowiek... – zawahała się – był twoim ojcem? Jego właśnie zabiłeś?

– Opowiadali o tym – powiedział gdzieś w kierunku ściany.

– Mówili? Kto?

Milczał.

– Twoje rodzeństwo? – zapytała. – Nie mieszkałeś wtedy w domu?

– Nie.

– Byłeś już dorosły?

– Dorosły, tak... mówili, a ja się go bałem.

– Jak go zabiłeś?

Powoli skierował wzrok na swoje ręce: wielkie dłonie pięściarza policyjnego, które kiedyś i jej sprawiały ból.

– Gołymi rękami? – zapytała, a po chwili dodała: – Ale przecież skazali potem twoją matkę... Nigdy by nie uwierzyli w jej winę.

Znowu milczenie.

– Czy udusiłeś go, tato? Tak zginął? Pił i wtedy to zrobiłeś? – drążyła, wiedząc, że powinna się już zatrzymać albo w ogóle przestać mówić. Nie potrafiła jednak i zdawało jej się, że ojciec bardzo delikatnie kiwa głową. – A Jewgienij? A Polina? Co oni wtedy robili?

– Pola była w szkole – powiedział powoli, ale wystarczająco wyraźnie. – Czekalem na policję. Matka kazała wyjść.

– Zrobiłeś to?

– Tak.

– A potem?

– Dzwoniłem. Pola mówiła, że matka poszła na policję. Kazała wyjść... – powtórzył.

– Nie chcieli z tobą rozmawiać?

Pokiwał głową.

– Masz na myśli, że chcieli?

– Tak.

– I? Uciekłeś?

– Przeszedłem granicę, w Białymstoku zapłaciłem urzędnikowi... – urwał.

I tak kupiłeś sobie nową tożsamość, pomyślała.

– Twój ojciec – podjęła. – Czy naprawdę nazywał się Siergiej?

Nie odpowiedział.

– I jakie jest twoje prawdziwe nazwisko, tato? Tyle już sobie przypomniałeś...

Pokręcił głową.

– A czy twoja matka, Tatiana, jeszcze żyje?

– Nie wiem.

– A Jewgienij? Polina? Czy kiedykolwiek usiłowałeś to sprawdzić?

Pokręcił głową.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział i był już wyraźnie zmęczony.

– Czy wstydziłeś się tego, co zrobiłeś, tato?

W Polsce wstąpił do milicji. Żeby wymazać winę? Jeśli tak, to, czego dokonał później, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, podawało w wątpliwość tezę o nawróconym winowajcy. Jeśli jednak ktokolwiek ze Związku Radzieckiego chciał go poszukiwać, to raczej nie w milicji – i zarazem ta milicja mogła zapewnić mu ochronę.

– Zaraz potem poznałeś mamę, tak? – powiedziała. – Musiałeś, bo przecież ślub wzięliście w siedemdziesiątym trzecim.

Zastygła, wpatrując się w niego dłuższą chwilę, bo coś sobie przypomniała. Jej rodzice poznali się na Szmulkach. I byli jeszcze dziećmi, tak kiedyś powiedziała jej matka. Pewnie nie wyszłaby za ojca, gdyby poznała go już jako kompletnego alkoholika.

Czy jednak dobrze zapamiętała? Jej mama zmarła, kiedy Nina była dzieckiem, wspomnienie tej rozmowy było takie odległe...

– Tato – zapytała spokojnie. – Co robiłeś po przekroczeniu granicy?

– Pracowałem.

– Na Bazarze Różyckiego?

– Tak.

– Musiałeś nauczyć się polskiego, prawda?

Pokiwał głową.

– Ile to trwało?

– Trzy, może cztery lata...

Spodziewała się już takiej odpowiedzi, ale zamilkła i przełknęła ślinę, zanim powiedziała:

– Tato, ale to by oznaczało, że miałeś piętnaście lat, kiedy uciekłeś z Rosji.

Cisza.

– A przedtem powiedziałaś, że nie mieszkałeś już w domu, tak? Że byłeś już dorosły... – Urwała, wpatrując się w niego intensywnie i zastanawiając się, czy może się mylić. A także jak sformułować następne pytanie. – Tato, ile lat miał Jewgienij? Twój brat?

Zacisnął wargi, ale przecież wiedziała, że ją rozumie. Odetchnęła głęboko.

– Czy... – Zawahała się. – Jewgienij to ty?

Nie odpowiedział. Nie zraziło jej to.

– I dlatego twoja matka przyjęła na siebie winę? – zapytała. – Bo byłeś wtedy dzieckiem?

Zdawało jej się, że spojrział na nią bardzo przelotnie, ale potem całkiem wyraźnie opuścił już powieki. Dłonie ułożył sobie na podołku w zamkniętym geście, tylko prawy kciuk mu drgał, może z nerwów, a może z osłabienia.

Pomyślała, że ślady po tych samych dłoniach, którymi zabił ojca, ukrywała potem na swoich plecach i pośladkach. Czy naprawdę uczyniły go ojcobójcą w wieku piętnastu lat? W końcu mogło już mu się to wszystko pomieszać w porzniętej wódką głowie.

Być może tylko część z tego, co wyznał, była prawdą. Która dokładnie? A może nie potrzebowała teraz więcej odpowiedzi? Będzie jeszcze czas na ustalenie prawdziwej wersji. Widziała, że jest zmęczony, znacznie bardziej niż wtedy, kiedy przyszła.

– Dziękuję ci, tato – powiedziała, a potem dodała coś, czego nie mówiła od bardzo dawna: – Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiedział po polsku.

– Muszę ci zadać jeszcze jedno ważne pytanie... – Zawahała się. – Czy chciałbyś zobaczyć Milę?

Przez kilka sekund wydawało jej się, że cała jej hipoteza jest błędna, że się myliła. Teoria, według której świadomość nowego życia i posiadania wnuczki pobudziła go do walki o swoje własne.

Jak dotąd Nina nie zdecydowała się na to, żeby poznać Milę ze swoim ojcem, trzeba zresztą przyznać, że jej dziecko nie miało szczęścia do dziadków. Jeden z nich – ojciec Tomka – był niesympatycznym snobem,

a drugi, jej własny, zatwardziałym pijakiem. I nie chciała wprowadzać córeczki w brzydotę świata ojca.

Ale na wszystko przychodził właściwy czas. A tutaj w szpitalu było bezpieczniej. Krążyły jakieś inne, równie parszywe zarazki, ale przynajmniej w woni antyseptyków, a nie alkoholu i brudu mieszkania na Białostockiej.

Aleksander Siergiejewicz z trudem wyciągnął dłoń w stronę zdjęcia na szafce nocnej; zdążyła je tam z powrotem postawić. Trwało to wszystko znowu wieczność.

– Tak, to jest Mila, moja córka – powiedziała.

Złapał za róg zdjęcia.

– Twoja wnuczka – dodała.

Wydawało jej się, że coś jeszcze powie. Czekala, a potem zapytała:

– Czy chcesz, żebym z nią tutaj przyszła?

Wpatrzył się w zdjęcie, po chwili wypadło mu z rąk i zsunęło się w dół kołdry. Podniosła je i dała mu ponownie. Dłonie ojca zacisnęły się na jej własnych, pozwoliła na to.

– Ninoczka.

– Tak, tato? – zapytała, przełykając ślinę.

– Chcę.

Wracając do Warszawy, odnosiła wrażenie, że świat jest w innych barwach, niż kiedy jechała do szpitala – choć przecież było tak samo dżdżyscie i chłodno; po przedwczesnej wiośnie następowało lekkie załamanie pogody.

Próbowała zrozumieć swoje emocje po opowieści ojca, ale były zaskakująco mdłe. Straciła wszelkie złudzenia na temat jego moralności po sprawie w Weseliskach; zamiast go znowu oskarżać, paradoksalnie bardziej go rozumiała. Bił, bo sam był bity. Krzywdził, bo prawdopodobnie był krzywdzony. Niezależnie od prawdziwej wersji opowieści z Petersburga było jasne, że przemoc dotykała go od najwcześniejszych lat.

Sprawdziła nawigację w telefonie i zaklęła cicho: na Jagiellońską miała o tej porze ponad czterdzieści minut. Uruchomiła system głośnomówiący i zadzwoniła do Chodkowskiego.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Będę w pracy za pół godziny – powiedziała, wpychając się mazdą w pas do skrzyżowania w ulicę Bronisława Czecha. – A ty?

– Już w fabryce.

– Masz coś?

– Dane pocisku.

– Dawaj.

– Kaliber 7,65.

– Czyli trafiłam.

– Tak, ale nie to jest najciekawsze.

– A co? – zapytała, kiedy udało jej się w końcu zmienić pas. Mrugnęła światłami facetowi w terenówce, który walczył jak lew o to, by jej nie wpuścić.

– Sara Kosowska uzyskała pozwolenie na broń. To było mniej więcej rok temu – powiedział Chodkowski.

– Serio? Jakim cudem?

– Nie wiem, może w związku ze sprawą stalkera? A może ogólnie nie czuła się bezpiecznie?

– Tak czy siak, musiała gdzieś posolić.

– Jasne. Kto bogatemu zabroni.

Milczała chwilę, usiłując przebić się na lewy, najszybszy pas.

– Rozmawiamy jeszcze? – zapytał Chodkowski.

– Tak, poczekaj. – Wystarczyła odrobina deszczu, żeby wszystkie patafiany na drodze zaczęły nagle zwalniać. Wykorzystała w końcu gapiostwo prastarego kierowcy fordą scorpio. Przyśpieszył z opóźnieniem, w ostatniej chwili hamując za jej mazdą.

– Chryste, słyszałeś to? – zapytała.

– No.

– W pewnym wieku powinni jeszcze raz egzaminować na prawo jazdy. Umiejętności umierają szybciej niż ego.

Chodkowski zaśmiał się.

– Czyli myślisz, że z broni Sary Kosowskiej sprzątnięto Lutyńskiego? – zapytała.

– Nie mam pojęcia, Nina. I nie wiadomo, kiedy, jak i skąd dokładnie ta broń miałyby zostać wykradziona.

Zamyśliła się.

– Jesteś tam? – zagadnął Karol po kilku sekundach. – Posłuchaj, może pogadamy już na komen...

– Tak, jestem, jestem – weszła mu w słowo. – Ale to chyba logiczne, skąd mogła zostać zabrana.

– Oświeć mnie, proszę.

– Z mieszkania Sary Kosowskiej.

Już ponad rok wcześniej złagodzone przepisy dotyczące trzymania broni. Dotknęły one samą Warwiłow, która stosownie do poprzednich reguł zdążyła zainstalować sobie sejf, przydatny zresztą później, gdy pojawiła się Mila.

W rezultacie zmian w prawie Sara Kosowska mogła trzymać broń absolutnie wszędzie i już drugą godzinę przeszukiwali z Chodkowskim jej mieszkanie, bo Warwiłow chciała mieć pewność.

Apartament zmarłej dziewczyny wyglądał nie mniej imponująco, niż kiedy go widziała za pierwszym razem, i jakoś przypominał Ninie o utraconych luksusach loftu na Katowickiej. Wrażenie psuł tylko fakt, że jedno z wysokich okien nie zostało dokładnie zamknięte: czuć było kurz i słycać było hałas okolicznego gigantycznego placu budowy na placu Konesera. Wznoszono tam centrum handlowe, muzeum historii wódki i z pół tuzina innych atrakcji.

– Pusto – skomentował Chodkowski. – Aż dziwnie pusto.

– Co masz na myśli?

– Jakby i przedtem mieszkał tutaj duch.

– Kosowska odebrała to mieszkanie kilka tygodni przed śmiercią. W windach i na klatkach schodowych leży jeszcze dykta.

– To jeszcze nie tłumaczy takiej próżni. Wygląda jak mieszkanie menadżera wysokiego szczebla wysłanego do Polski za karę.

– Dowcip ci się wyostrzył, Karol – powiedziała, kucając i zaglądnąc pod łóżko, gdzie jednak tylko kołtunił się kurz. – Ale uważaj z takimi hasłami przy ludziach, to teraz niepopularne.

– Dzięki. Broń pod łóżkiem, Nina... serio? – zaśmiał się. – Zresztą już tam patrzyłem. Przeszukałem też szafy, garderobę, wszystkie szafki w kuchni, biurko oraz komodę.

– Taras?

– Tak, nawet taras. I nie ma żadnego dowodu, że ta broń kiedykolwiek tu była. Więc dlaczego uważasz, że ją stąd zabrano?

- Jeśli mamy naszą grupę trojga podejrzanych...
- Czworą, gwoli ścisłości.
- Nie pamiętasz, że Lutyński nie żyje?
- A ty nie pamiętasz, że była tu jeszcze jedna osoba, która też mogła wynieść broń?

Warwiłow wyprostowała się, wycierając z kurzu džinsy.

- Celnie, panie starszy aspirancie – mruknęła.
- Dzięki ponowne.
- Więc każde z nich mogło tę broń wynieść. Nawet w piątek rano. Albo, poza Martą Jesionek, przyjść tu później.
- Nie wiem, czy każde. Podpytałem i klucze do mieszkania Sary ma ponoć tylko Paweł Kosowski.

Warwiłow zamilkła.

- Tak czy siak, nie ma żadnej pewności, że ta broń kiedykolwiek tu była – dodał Chodkowski. – I tracimy tylko czas.
- Też tak myślę. Dawno powinniśmy postawić zarzut zabójstwa Lutyńskiego Białkowi, a także mediom warującym pod komendą, a potem zamknąć tę pieprzoną sprawę.

Chodkowski zaśmiał się uprzejmie.

- To chyba już wszystko, idziemy? – zapytała.
- Chodkowski wyjął z kieszeni błyszczące kluczyki z emblematem audi i zakręcił nimi na palcu.
- Zabrałem z ewidencji – wyjaśnił.
- I teraz zamierzasz sobie pożyczyć samochód od denatki? Udam, że nie widziałam.
- Nie, ale samochód też ma schowki, prawda? Lepiej sprawdzić, skoro już tu jesteśmy.

– Dobra – odparła. – Do garażu, a potem wracamy na komendę. Dzisiaj trudny dzień – powiedziała, ale myślami była już zupełnie gdzie indziej.

Samochodu długo szukać nie musieli. Stało ich na przestronnym parkingu podziemnym apartamentowca całe trzy: kilkuletnie terenowe volvo, sportowy jaguar, no i audi, czarne z białymi wykończeniami na

zderzakach i pięcioramiennymi felgami. W środku okazało się niemal tak samo puste jak mieszkanie, miękkie skóry pachniały jeszcze nowością.

– Kiedyś będziesz takie miał – uspokoila Chodkowskiego, który przejeżdżał dłonią po błyszczącej karoserii samochodu, jakby chciał je pogłaskać.

– Nie, nie o to chodzi. – Przykucnął przy przednim zderzaku, a potem się zaśmiał. – Tu jest wypukłość lakieru.

– No i?

– No i nic. Niby taki ładny i salonowy, a pewnie z Niemiec przyjechał, składany z trzech innych. Nie załatali go nawet specjalnie.

– Nie rozumiem.

Spojrzał na nią z zadowoleniem. Chłopak z Dolnego Śląska, z rodziny wiejskich samochodziarzy.

– Samochód był bity. Mogę przyjechać z czujnikiem lakieru albo choćby magnezem, ale spójrz. – Przejechał palcem po karoserii. – Nie zrobili tego porządnie. Zobacz. Nie widzisz?

Nachyliła się tam, gdzie wskazywał.

– Sorry, ale nie.

– Nina, przecież tu co najmniej dwa milimetry w górę wystają! – zaśmiał się. – Tego się nie da nie zauważyć.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

– Sprawdź to – powiedziała. – Zajmiesz się czymś.

– A ty? – zapytał Chodkowski.

Przedszkolanki na Saskiej Kępie były zdziwione, kiedy z ledwo dziesięciominutowym wyprzedzeniem Warwiłow zadzwoniła, że zabierze małą. Prawdę mówiąc, sama siebie zaskakiwała tą spontanicznością.

– Czy to na pewno bezpieczne dla dziecka? – zapytała jedna z nich, ale Warwiłow nie pozwoliła na powtarzanie na głos własnych lęków.

– Zakazu tam nie ma – oświadczyła krótko.

– Ale zarazki...

– Jeśli tam krążą choroby, to takie, które mojej córki zupełnie nie dotyczą – oświadczyła zdecydowanie, poniewczasie żałując, że wygadała się przed tymi dziewczynami, które bały się własnego cienia. – To tak z siedemdziesiąt lat za wcześnie.

A teraz mknęły z Milą zupełnie pustą o tej porze Ostrobramską. Minęły stację BP z myjnią bezdotykową, a następnie będącą w permanentnej przebudowie Promenadę: niezgrabne peryferyjne centrum handlowe, któremu ktoś, wbrew wszystkiemu, uparł się nadać kształt. Ten projekt nie miał oczywiście szans powodzenia. Promenada z budynku w kształcie glizdy zmieniła się w taki w kształcie dżdżownicy.

Jednak Nina miała do tego molocha mały sentyment. Tutaj wybrała się jedenaście lat wcześniej na randkę z Tomkiem. W Cinema City zdecydowali się na film *Vinci*, a od dwudziestej minuty całowali się zawzięcie.

Kiedy to było? Za plecami, w foteliku dziecięcym, miała za to owoc tego ośmioletniego związku. Cóż, że niespodziewany, a nawet, w swoim czasie, niechciany. Teraz nie wyobrażała sobie życia bez Mili.

A im dalej jechały poza miasto, tym lepszym nastrojem cieszyła się Nina.

– Widzisz, Milusia, czasem trzeba kuć żelazo, póki gorące – powiedziała do lusterka.

Mała patrzyła na nią, jakby ją rozumiała, zielonkawymi oczami, od których błyskawicznie miękło jej serce. Te oczy odziedziczyła po niej, choć

ogólnie, jak na złość, wyglądała bardziej jak Tomek.

Już w szpitalu Warwiłow kupiła dla ojca świeżą drożdżówkę i wielką tabliczkę gorzkiej czekolady. Kiedyś, przed tym, jak jego życie zdominował alkohol, przepadał za słodyczami, a najbardziej tęsknił za czekoladkami z rodzimego Petersburga.

Z Milą na rękach Warwiłow wjechała windą na oddział taty. Przeszły prosto do pokoju ojca. A tam natknęły się na świeżo zaścielone łóżko.

Nie tylko łóżko: szafka, jeszcze kilka godzin wcześniej goszcząca wazonik z kwiatami, kubek i czasopisma, była wytarta i wyczyszczona. W powietrzu unosił się zapach cytrynowego środka, w którym prano pościel szpitalną, i płynu do konserwacji mebli.

Przez chwilę Warwiłow stała, nie mogąc wykonać ruchu, a oprzytomniała dopiero, kiedy Mila w jej ramionach jęknęła cicho. Musiała ją ścisnąć.

– Przepraszam, kotusiu – szepnęła, skierowała się ku wyjściu i szybkim krokiem ruszyła na poszukiwanie najbliższej pielęgniarki. – Przepraszam... – powiedziała przy dyżurce, czując, że mówi przez ściśnięte gardło. – Szukam Aleksandra Warwiłowa, prowadzi go doktor Rutkowski, tylko nie wiem, gdzie...

– Proszę poczekać – ucięła dyżurna.

I Warwiłow czekała. Długie sekundy. Kwestią czasu było, kiedy Mila, do tej pory współpracująca i cicha, zacznie się mazgać.

– Byłam tu przed kilkoma godzinami – szepnęła bardziej do siebie. – Czy on... czy mój ojciec...

Pielęgniarka już jej jednak nie słuchała, grzebiąc w dokumentacji.

– Nie mam nic – powiedziała. – Ale dopiero rozpocząłam zmianę.

– Może powinnam porozmawiać z doktorem Rutkowskim?

– Doktor jest zajęty, proszę pani. Czy pani myśli, że on jest na każde zawołanie?

– Nie, ale ja...

– O, jest! – przerwała jej kobieta, wyciągając kartę w górę. – Gdyby mi pani nie przeszkadzała, już by się znalazło. A kim pani w ogóle...

– Jestem córką – przerwała. – Upoważnioną do uzyskiwania informacji.

– Ano, zgadza się, Nina Warwiłow, tak?
– Tak – rzuciła niecierpliwie. – Czy mogę to przeczytać?
– Nie, droga pani. Chyba że pan doktor udzieli zgody. Nie mogę pani udzielić informacji o przebiegu samej choroby, ale... – Zawahała się.

– Ale?

– Mogę przekazać, że pani ojca przewieźli na blok operacyjny.

Warwiłow zadrżała. Mila na jej rękach wygięła usta w podkówkę. Zaraz się zacnie, przeleciało Ninie przez głowę.

– Co to znaczy? – wymamrotała.

– Że będzie operowany – odparła pielęgniarka cierpliwie.

– Dzisiaj?

Mila zaczęła cicho płakać.

– Tak, przecież mówiłam, że jest już na bloku – powiedziała pielęgniarka, patrząc znacząco na jej córkę. – Nic więcej nie umiem pani powiedzieć. Ale jak pani tutaj jest, czy może pani zabrać jego rzeczy?

– Mojego ojca?

– Tak. Kogo innego?

– Przecież on może jeszcze tutaj wrócić.

– Nie mamy przechowalni. Otrzymałam informację, że dzisiaj w tym pokoju kładziemy innego pacjenta. A pani ojca przewieziemy gdzie indziej. I w ogóle to ordynator nie lubi, kiedy przychodzą tu dzieci. Będzie musiała pani stąd wyjść. Teraz poproszę za mną – oznajmiła, wychodząc z dyżurki.

Zaciągnęła kompletnie skołowaną Warwiłow z powrotem do pokoju ojca. Szły w akompaniamencie coraz głośniejszego płaczu Mili, a w pokoju pielęgniarka błyskawicznie własnoręcznie spakowała w kraciastą plastikową torbę rzeczy ojca.

– Jak mam to przenieść z dzieckiem na rękach? – wydukała Warwiłow.

– No to po co pani brała to dziecko? – powiedziała pielęgniarka i westchnęła. – Proszę mi dać małą i znieść torbę do samochodu. Jak ordynator albo siostra oddziałowa mnie zobaczą... – mruknęła i zatrzasnęła drzwi do pokoju Aleksandra Siergiejewicza.

Ostatnią rzeczą, jaką Nina z niego zapamiętała, było puste szpitalne łóżko.

Bartek przyszedł we wtorek w południe, żadne z nich nie mogło wysiedzieć w miejscu. Wyszli z mieszkania, przekroczyli Grochowską, minęli dawne osiedle Lutka i przeszli kładką po wschodniej stronie Jeziorka Kamionkowskiego. Po lewej stronie ciągnęły się tu najładniejsze łąki w Warszawie. Boczna część parku Skaryszewskiego była poprzecinana kanałami i stawami; jeszcze miesiąc wcześniej były skute lodem i aktywni prężnie rozgrywali na nich mecze hokeja. Od tego czasu wyrosła już bujna trawa, a błonia zapełniły się zakochanymi parami.

Szli w milczeniu i Paweł czuł, że wszyscy są zmęczeni, a kiedy zaproponował wolną ławkę przy alejce biegnącej wzdłuż kanałku, usiedli na niej bez słowa. Za wodą, w odległości pięćdziesięciu metrów, baraszkowała młoda para, dziewczyna zanosila się śmiechem. Wszyscy troje gapili się na tę scenę bezmyślnie. Przytłoczeni niewiarygodnym ciężarem śmierci Sary i Lutka.

– Trzeba się przygotować na następny pogrzeb – odezwała się w końcu Karolina. – Choć pewnie jeszcze sekcja zwłok...

– Rozmawiałem z mamą Lutka – powiedział Paweł. – Najpierw przez pół godziny musiałem jej wyjaśniać, że jest niewinny.

– Rany.

– No i dopiero potem się rozplakała. Jakby... no wiecie... po mordercy płakać nie mogła. Ale wtedy to już poleciało i kolejne pół godziny wisieliśmy na telefonie.

– Strasznie go kochała – powiedziała Karolina.

– I rozpuściła – dodał Paweł.

– Co za różnica teraz. Jezu, no nie wierzę, że on nie żyje, jeszcze wczoraj... – powiedziała.

– Widziałś go wczoraj? – zapytał Borewicz.

– Przecież widzieliśmy się wszyscy na Saskiej Kępie.

– To było w sobotę.

– No to pomyliło mi się – odparła. – Dlaczego się czepiasz?

Bartek wzruszył ramionami.

– Czytałeś media? – zapytał Paweł.

– Tak.

– I co? Ja już nie daję rady, za dużo tam dziwnych teorii.

– Piszą tylko, że to nie jest samobójstwo.

– Aha. I tak bym nie uwierzył.

– Podobno morderca zwabił Lutka do lasu – powiedział Borewicz.

Zapadło milczenie. Paweł zagapił się jeszcze raz na dziewczynę naprzeciwko. Była bardzo młoda, chłopak wyglądał na starszego.

– Rozmawiali z wami? – zapytał Bartek. – To znaczy Warwiłow i reszta?

– Tak. Myślę, że mamy alibi – odparł Paweł.

– Jezu, czemu to powiedziałaś? – zapytała Karolina.

– Właśnie? – podjął Borewicz z krzywym uśmiechem. – Zwłaszcza że wcale nie mamy.

– Widzieliśmy się wczoraj. Już nie pamiętasz?

– Ale rozstaliśmy się przed siedemnastą. W sam raz, żeby podjechać na Bródno. Każdy z nas mógłby zdążyć.

– Wróciłem do domu – powiedział Paweł.

– O wpół do szóstej – potwierdziła Karolina, uciekając lekko spojrzeniem.

Przechwycił to Borewicz. Paweł poczuł, że pod koszulką robi mu się gorąco.

– Po co ta rozmowa, Bartek? – powiedział. – Przecież nie zabiłem Lutka. Ani Karolina. Ani ty. Nie ma wśród nas mordercy.

– Ale ktoś to zrobił.

– W zasadzie nic nie wiemy o interesach, jakie prowadził. Spółka, o której piszą w gazetach, to jedno, ale kogo on jeszcze oszukiwał... – urwał.

Zapadła cisza. Chyba wszyscy usiłowali przerobić w głowie tę nową wiedzę o Lutku.

– A może... – zaczęła Karolina.

– Może co? – zapytał Borewicz.

– Byli w zмовie.

– Kto?

– Lutek z tą dziewczyną z Koktajlu. Wyszedł z tobą po lód, a ona dosypała czegoś do frappé...

– Ale zauważcie... dlaczego media nic o niej nie mówią? – skomentował Bartek. – To nie jest podejrzane? Myślicie, że Warwiłow jeszcze jej nie odnalazła?

– Nie wiem – powiedział Paweł.

Borewicz pokiwał głową, następnie wysunął papierosa z paczki i zapalił. Z gęstymi brwiami, ostrym nosem i czarnymi włosami spadającymi na czoło wyglądał jak gwiazda reklam tytoniowych.

– Muszę przyznać, że absolutnie tego nie rozumiem.

– Czego dokładnie?

– Tego, że okłamujecie mnie, że byliście wczoraj razem w domu.

– To prawda... – zaprotestował Paweł, ale przyjaciel już go nie słuchał.

– Pamiętasz, Karo, jak kilka miesięcy temu razem namierzaliśmy telefon Pawła na moim komputerze? – zapytał.

– Nie – odparła. – Ale Bartek, uspokój się, porozmawiajmy spokojnie...

– Ja pamiętam i te hasła się zapisały – wszedł jej w słowo. – Skorzystałem z nich wczoraj.

– Ale dlaczego? – zapytał Paweł. – Zamierzałeś mnie śledzić?

– Chyba rozumiesz, że byłem trochę niespokojny po naszym rozstaniu. Obawiałem się, żebyś znowu nie poszedł w tango. I wiesz co?

Wiedzieli, że to jest pytanie retoryczne. Paweł i tak nie był w stanie nic powiedzieć, wyczuwał podobny paraliż u Karoliny.

– Twój iPhone na pewno nie był u was na Mińskiej. Przemieszczał się po zupełnie innych okolicach. A skoro ty, Karolina, twierdzisz, że Paweł wrócił o wpół do szóstej...

– Bartek... – ocknął się Paweł, ale Borewicz już go nie słuchał.

Wbił spojrzenie w Karolinę. A potem kontakt został urwany, a on sam zgasił papierosa pod butem. Następnie skierował wzrok na Pawła i przez moment wyglądało na to, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

Paweł znał tego człowieka od dwudziestu lat, ale język zrobił mu się nagle sztywny. A potem Bartek wstał i bez pożegnania odszedł szybkim

krokiem, czarny płaszcz powiewał za nim na wietrze.

Nina Warwiłow niemal nie zanotowała tych wszystkich operacji: zniesienia rzeczy ojca, powrotu do miasta i odwiezienia Mili do przedszkola. Drogę na Saską Kępę pokonała na mentalnym autopilocie i nie umiałaby nawet powiedzieć, czy mała płakała, choć zapewne tak było.

Oprzytomniała dopiero przed komendą, kiedy pojawiła się potrzeba pokonania bariery dziennikarskiej: było tu jednak zaskakująco spokojnie. Czy tylko jej się wydawało, że prasa odczuwała kaca moralnego? W każdym razie nikt jej dzisiaj nie zaczepiał.

W jej gabinecie siedział za to suchy, energiczny mężczyzna po sześćdziesiątce, może nawet tuż przed siedemdziesiątką. Stała w wejściu. Znała go. Skąd? Jej bajeczna pamięć do twarzy pogorszyła się ostatnio.

Facet wstał, uśmiechnął się, a Warwiłow wciąż próbowała go skojarzyć. I co ten człowiek robił w jej gabinecie?

– Pani mnie nie pamięta – zauważył.

– No nie. – Powiesiła płaszcz i usiadła, zastanawiając się, kto go wpuścił.

– Przepraszam, że tak wtargnąłem – uśmiechnął się. – Ale nie chciałem pani przeoczyć.

– No i się panu udało – odparła. Wyczuwała już instynktownie, że pracował kiedyś w policji. – Jednak to są pomieszczenia służbowe i nie rozumiem, jak pan się tutaj dostał. Domyślam się, że nie jest pan z prasy.

– Och nie. – Zaśmiał się sucho mężczyzna.

Wpatrzyła się w niego uważnie. W końcu to miała.

– Sprawa Piotra Setnika sprzed trzech lat, morderstwo w szpitalu w Weseliskach. Komisarz Gratkowski, komenda ursynowska, zgadza się?

– Emerytowany. Poza tym nie myli się pani.

– Pomógł mi pan rozwiązać sprawę – powiedziała.

Wyświetliła sobie w głowie ich ostatnie spotkanie jak film. Domek w Piasecznie, milcząca żona. Prosto stamtąd pojechała do zakładu karnego

w Radąskach. A rewelacje Gratkowskiego znacząco wpłynęły nie tylko na rozwiązanie sprawy, ale również na jej życie...

– Tak, rozwiązała to pani – przyznał. – Choć kiedy pani wyszła wtedy ode mnie, uważałem, że nic z tego nie będzie. Że zamiotą to pod dywan.

– Ach tak?

– I dosłownie chwilę później dowiedziałem się o odejściu Bogdana Matkowskiego – podsunął niewinnie, ale teraz wybrała milczenie. – Właśnie za taką postawę panią polubiłem – oznajmił, ale już nawet nie czekał na jej komentarz. – Bo kiedy odchodziłem z policji dziesięć lat temu, byłem sfrustrowany jak diabli. A dlaczego?

– Niska emerytura? Jeszcze niższy status zawodowy i społeczny? Powszechna alkoholizacja? – podpowiedziała.

Uśmiechnął się.

– Nie, ale byłem cholernie sfrustrowany, że nie łapiemy sprawców. Że adwokaci teraz co jeden to cwańszy... A potem co mówią? Żeśmy popełnili błędy w postępowaniu przygotowawczym. I sprawcy wychodzą.

– Wiem.

– Bo policja nie dotrzymała jakiegoś paragrafu procedury karnej i dwukrotny zabójca wychodzi wolny. Więc kiedy pani wyszła wtedy ode mnie, z Piaseczna... i ja wiedziałem, już przed panią, że w tę sprawę zamieszani są policjanci, pomyślałem, że trafi pani na mur albo że coś się pani przydarzy. A proszę, zdrowa i nie taka wychudzona jak wtedy. Schwyciła pani mordercę, a i inni zamieszani w sprawę chyba również ponieśli konsekwencje.

Warwiłow nie miała jednak za bardzo ochoty grzebać w bolesnej przeszłości.

– Cieszę się – odparła. – I moje zdanie w temacie karalności nie różni się od pańskiego. Ale tak jak i pan mam dwie ręce i nogi oraz jedną głowę.

– Tak, tak, ale nie przyszedłem gadać o starych czasach, komisarz Warwiłow – powiedział. – Przyszedłem porozmawiać o pani sprawie.

– Mojej?

– Tak. Śledztwie dotyczącym śmierci Sary Kosowskiej oraz Michała Lutyńskiego.

– Ma pan swoją teorię? Proszę ustawić się w kolejce.

– Mam coś więcej. Pani pewnie nie pamięta, czym ja się teraz zajmuję?

– Jest pan prywatnym detektywem.

– Raczej szpiclem, ale tak, właśnie w ten sposób dorabiam sobie do stypendium.

– Nie rozumiem.

– Emerytury – wyjaśnił. – Zresztą przenieśliśmy swoje biuro do pani rewiru, na Targową. Jakoś bardziej swojsko, a i spraw nie brakuje... I wie pani, co wydarzyło się miesiąc temu?

Zastanowiła się chwilę, usiłując pobudzić głowę do jakiegokolwiek akcji.

– Wynajęła pana Sara Kosowska – powiedziała.

– Och nie. Ale zostałem wynajęty do odnalezienia jej stalkera.

– Przez kogo?

– Sam chciałbym to wiedzieć.

– Proszę wyjaśnić.

– Skontaktował się ze mną jakiś człowiek z prośbą o namierzenie osoby nękającej Sarę Kosowską.

– Ale dlaczego dopiero teraz pan z tym przyszedł?

Zamilkł.

– Moja żona... – zawahał się – odeszła parę tygodni temu.

– Przykro mi. – Przypomniała sobie tę cichą, spokojną kobietę, która podała jej wtedy herbatę.

– Dziękuję. Jakoś przetrwam. Gorzej, że z sąsiadem z działki.

– Chwila... Zrozumiałam, że umarła.

– Nie.

– Związała się z innym mężczyzną.

Pokiwał głową.

– Teraz to i na ryby nie pojedę, bo siedzą tuż obok – powiedział. – Nie śledziłem ostatnio wiadomości. Ale kiedy wczoraj przeczytałem o śmierci Michała Lutyńskiego, podzwoniłem trochę, uruchomiłem kontakty i dowiedziałem się, że prowadzi to właśnie pani.

Wpatrzyła się w niego.

– Pana klientom naprawdę nie przeszkadza, że pracował pan w policji? – zapytała.

– Jakiś czas temu zdecydowałem się na ukrycie tej informacji. Może pani nie uwierzy, ale to wcale nie pomagało mi w pozyskiwaniu zleceń.

– Czy zna pan personalia tego zleceniodawcy?

– Niestety nie, jak już powiedziałem.

– Numer telefonu?

– Prawdopodobnie nierejestrowany.

Przytaknęła. Plotkowano o nowej kontrowersyjnej ustawie dotyczącej rejestracji numerów, w tym i tych na kartę. W szeregach policji nowe prawo miałyby jednak pewne poparcie.

Chodkowski sprawdził bilingi Michała Lutyńskiego, tuż przed śmiercią dzwoniło do niego ze startera Orange. Kupionego w pierwszym lepszym kiosku i wyrzuconego do najbliższego śmietnika.

– Sprawdzimy – mruknęła. – Proszę kontynuować.

– Otrzymałem mailowo szereg danych, wiadomości i adresy mailowe, z których wysyłano groźby.

– I? Poradził pan sobie?

– Pani pewnie teraz myśli, że ja ledwo stukam po klawiaturze – zaśmiał się Gratkowski. – Nie byłaby pani daleka od prawdy. Na szczęście jednak w nowej robocie musiałem nauczyć się nowych umiejętności, stosownie do zmian w mojej branży. Teraz uważam się bardziej za menadżera albo koordynatora projektu, jak to mówią. Mam dostęp do zdolnych młodych ludzi, bardzo utalentowanych informatycznie. Wykonują rzeczy poza zasięgiem policji, żal, że pani komenda nie dysponuje takimi kadrami. Stalker nieźle się zamaskował, ale został namierzony, wkrótce uzyskałem personalia poszukiwanej przeze mnie osoby...

– Co było dalej? Zdobył pan już moją całą uwagę, komisarzu.

– Na to miałem nieśmiałą nadzieję – zaśmiał się. – Wówczas, droga pani komisarz, przystąpiłem do akcji w terenie. A kiedy upewniłem się w swojej kandydaturze, podałem klientowi dane sprawcy, kiedy tylko otrzymałem umówione wynagrodzenie. W postaci anonimowego przekazu pocztowego, dodam.

– Więc czyje to dane podał pan klientowi?
– Pewnej młodej kobiety, która z sobie znanych powodów uwzięła się na Sarę Kosowską.

Warwiłow poczuła zaniepokojenie.

– Poda mi pan jej nazwisko? – zapytała. – Zakładam, że podjął pan tę decyzję, zanim pan tutaj przyszedł?

– Tak – powiedział Gratkowski. – Podjąłem. Ta pani nazywa się Marta Jesionek.

Przedostanie się na Wolę w środku dnia nie należało do przyjemności. Było jednak dokładnie tak, jak powiedziała Gratkowskiemu: dysponowała tylko jedną parą rąk i nóg, okazjonalnie tylko wspomaganych starszym aspirantem Chodkowskim. Należało uważać na to, co się mówi. Pozostawała dziesiątki godzin i spraw do tyłu, a od dłuższej chwili tkwiła w korku na obwodnicy i dopiero po czasie stwierdziła, że szybciej byłoby pobrać pojazd służbowy.

Jakieś pół godziny po zakończeniu rozmowy z komisarzem Gratkowskim Warwiłow zadzwoniła do drzwi Marty Jesionek. Te, tak jak i telefon dziewczyny, pozostawały głuche na próby komunikacji.

Rozejrzała się, słysząc odgłos szurania. Więziennie wąskim, kiepsko oświetlonym korytarzem zbliżała się jakaś starsza pani. Warwiłow czekała cierpliwie na swoim stanowisku, dopiero po chwili dostrzegła, że kobieta porusza się w balkoniku. Wyszła w jej kierunku, przedstawiła się i spokojnym gestem wyciągnęła odznakę.

– Poszukuję dziewczyny, która tu mieszka – wyjaśniła.

Staruszka milczała, więc dodała:

– Krótkie włosy, dwadzieścia kilka lat... Czy pani mnie w ogóle słyszy?

– Oczywiście, że słyszę. Ale tutaj nikt nie mieszka.

Warwiłow spojrzała na stare żółte drzwi i potem ponownie na kobietę.

– Przecież niedawno sama tam byłam...

– Właściciel przebywa za granicą.

– To znaczy, że nie widuje pani tutaj w ogóle ludzi?

– Tego nie powiedziałam.

– Niech pani mnie nie wprowadza w błąd.

Kobieta zbladła.

– Czy właściciel lokalu może oddawać go w najem? – podjęła Nina spokojniejszym głosem.

– Nie wiem. Być może. Czy mogłabym już iść? – Staruszka wyglądała na zmęczoną. – Wnuczka przychodzi na obiad, jeszcze muszę

przygotować...

– Tak, tak, niech pani idzie... I dziękuję! – powiedziała Warwiłow, ale kobieta już jej nie słuchała, zamknęła i zaryglowała drzwi.

Komisarz stała chwilę w miejscu. Intuicja podpowiadała jej wtedy, że Marta Jesionek boi się i coś ukrywa. Puściła ją jednak wolno. Nie zapytała nawet, czy dziewczyna mieszka tu na stałe. Tak czy siak, popełniła szereg rażących błędów i winić za nie mogła tylko samą siebie. Przede wszystkim nie rozumiała jeszcze, co wynika z faktu namierzenia stalkerki Kosowskiej oraz tego, że ta osoba przebywała w dniu morderstwa aktorki w jej domu.

Wyszła z budynku i skierowała się do samochodu zaparkowanego na ulicy Długomiła. Skołowana i zamyślona nie zauważyła, że jest czujnie obserwowana przez rudzielca siedzącego na ławeczce pod kamienicą.

Marta Jesionek wymówiła mieszkanie na Obozowej po piątkowym przesłuchaniu przez policję. Mogli zorientować się, że ich okłamała, przyjechać ponownie. Nie czuła się tam pewnie. Nie wyniosła się jednak z Woli na dobre; wciąż stać ją było tylko na mały obskurny pokój z łazienką i jedynie na Kole, najtańszym w całej Warszawie. Gdziekolwiek pomieszkiwała, od miesięcy nie była w stanie finansowo wyrwać się z tego prostokąta pomiędzy ulicami Magistracką i Deotymy.

A kiedy tego popołudnia wysiadła z tramwaju numer 26, udała się prosto do monopolowego po papierosy. Wyczekała kolejkę pachnących piwem mężczyzn, kupiła paczkę vogue'ów, z ulgą zapaliła jednego na ulicy. Skierowała się w stronę nowego mieszkania – ale już po kilkudziesięciu metrach poczuła coś dziwnego. Obejrzała się za siebie, lecz dostrzegła tylko zwykły tłumek przygarbionych ludzi. Jednak nieprzyjemne uczucie bycia obserwowaną nie chciało jej opuścić i w końcu nawet nie oglądała się za siebie, tylko wyrzuciła papierosa do studzienki kanalizacyjnej i gwałtownie przyspieszyła kroku.

Skreśliła w Magistracką, a następnie w Ożarowską, a po tym drugim zakręcie zaczęła już biec, czując, jak paczka dziennie wypala jej teraz płuca, a ciepłe powietrze utrudnia oddychanie. Do przodu niósł ją jednak

strach i wydawało jej się, że ucieknie. Niestety ten facet okazał się szybszy. Dogonił ją po kolejnych dwustu metrach.

– Ej! – krzyknął. – Czekaj. – Szarpnął ją za ramię.

– Odczep się!

W końcu musiała na niego spojrzeć. Wysoki, chudy. Rudy. Nie znała go. Rozejrzała się. Nie byli sami, ale już na terenie osiedla. Pani z wózkiem siedziała sto metrów dalej, czytając książkę i nie interesując się otoczeniem.

– Kurwa, ale biegłaś – powiedział chłopak, ciężko dysząc.

– Zaraz zacznę krzyczeć.

– Pały u ciebie były.

Zamarła.

– Ty mnie chyba z kimś mylisz – powiedziała.

– No nie, to ty. Mieszkałaś niedawno pod piątką.

– Nieprawda.

– Przecież cię widziałem. Wyniosłaś się kilka dni temu. I raz była u ciebie policja.

– Skąd wiesz?

– Myślisz, że nie widać? Jasne, że to były pały. Taka ciemna babka i łysy gość. I ta babka znowu do ciebie przyszła. Widziałem ją pół godziny temu.

– Z ciemnymi włosami?

– No przecież mówię. Nie słuchasz? Jezu, ale mi się pić chce. – Z białej reklamówki wyjął puszkę piwa i otworzył ją. Rozległ się syk i na wieczko wylało się odrobinę piwa. – Kurwa, zgazowało się przez ciebie.

Milczała, nie mogła się poruszyć.

– Zwiałaś z domu?

– Nie... – powiedziała. – Muszę już iść.

– Czekaj. – Złapał ją za ramię, ale usiłował jednocześnie wziąć łyk piwa.

A do wejścia Marta miała już tylko kilkanaście metrów. Wyrwała się i ruszyła szybkim krokiem, wcisnęła kod i zatrzasnęła drzwi, zanim chłopak zdążył do nich dobiec.

Słyszała, jak coś krzyknął, oparła się plecami o drzwi, ciężko oddychając. Pomyślała, że ma szczęście. Że to jeszcze nie koniec. I że nie powinna już tu być.

Pokonała dwa piętra i weszła do mieszkania, w którym na stałe zagościł zapach pleśni i ubikacji. Trzymała tam tylko swój plecak i komputer. Zapakowała laptopa do futerału, zwinęła śpiwór chroniący ją przed karaluchami i wyjrzała za okno.

Rudego chłopaka już tu nie było, choć niewykluczone, że gdzieś czatował. Czowała, jak szybko bije jej serce. Sara Kosowska nie żyła. A ona sama zrobiła coś złego. Wtedy sprawiło jej to satysfakcję, ale teraz żałowała i obawiała się kary.

Nie mogła tutaj zostać, rudy mógł gadać dosłownie z każdym. Jeśli z nią, to zaraz mógł wygadać komuś, gdzie ona obecnie mieszka, a ta osoba mogła skontaktować się z policją.

Czy miała jednak jakieś wyjście? Weszła w wyszukiwarkę, a w ciągu następnych kilkudziesięciu sekund podjęła decyzję, której nie umiała podjąć co najmniej od roku. Choć myślała o tym od paru dni i może dlatego przyszło jej odrobinę łatwiej. Zadrzała jednak ze zdenerwowania i w końcu spakowała resztę rzeczy, zamknęła drzwi, a klucz wsunęła pod wycieraczkę. Napisze potem maila do właściciela mieszkania z przeprosinami.

Wolała być wszędzie, tylko nie na Kole. Pomyślała, że nigdy tu nie wróci.

Najgorsze, myślała Nina Warwiłow, kiedy wracała na komendę, że wątek Marty Jesionek był w zasadzie spalony w prokuraturze. Stassberg odwołał przecież wystawienie listu gończego i wpadłby we wściekłość, gdyby powróciła z tym tematem. Szach mat, nie miała nic na swoją obronę, po prostu to spieprzyła. Czy na pewno była tak dobrą śledczą, za jaką ją uważano?

Poczuła bezradność. Aleksandra Siergiejewicza zabrali na blok operacyjny. W śledztwie w sprawie Sary Kosowskiej miała już dwa trupy i żadnego podejrzanego. I ostateczny cios: trzymała w garści stalkerkę, a po tym, jak ta przedstawiła alibi, wypuściła ją wolno.

Zakładając, że Gratkowski trafnie wytypował winną – a prawdopodobnie tak było – Warwiłow popełniła gigantyczny błąd. Wpadła teraz na nowy-stary trop, ale nie wiedziała, co z tym zrobić, miała związane ręce. Powinna wtedy zatrzymać tę dziewczynę, a potem stopniowo dojść do jej udziału w sprawie. Przecież dysponowała dowodami kradzieży, wystarczyłyby na czterdzieści osiem godzin zatrzymania, a może nawet więcej, uwzględniając, że w miejscu kradzieży popełniono również morderstwo.

Zamiast tego wszystkiego zwyczajnie wypuściła Martę Jesionek. W imię większej sprawy? Niby jakiej? Jak fakt, że dziewczyna nękała Sarę, miał się do jej śmierci? A także do morderstwa Michała Lutyńskiego – czy mogli być współnikami?

Na komendzie Warwiłow skierowała się do swojego pokoju. A kolejne dwadzieścia minut przesiedziała przy biurku, usiłując skupić się na pracy. Poza sprawą Sary Kosowskiej miała zresztą stertę innych. Może tam ofiarami nie były gwiazdy filmowe, ale skoro mordercy nie stawiali się na komendzie wraz z obciążającymi ich dowodami, i tych trzeba było jakoś namierzyć. Lista zaległych raportów rosła i Białek nie ścigał jej o nie tylko ze względu na sprawę Kosowskiej. Ale w końcu to robi albo sam komendant, bezpośrednio... W poczuciu niemocy siedziała lekko

sparalizowana. A im dłużej trwała bez ruchu, tym bardziej stresowała się stratą czasu. A kiedy usiłowała się skupić, widziała tylko pokój szpitalny i puste łóżko.

W końcu chwyciła za telefon: Chodkowski jak na złość dwukrotnie nie odebrał, a raz było zajęte. Czym się zajmował? W końcu wstała i stukając obcasami, pofatygowała się do starszego aspiranta osobiście.

Kiedy tylko weszła do jego „zielarni”, dostrzegła, że Chodkowski jest ożywiony. Ich praca, jak każda, stawała się przyjemniejsza, kiedy łapali wiatr w żagle.

Wyczuwała, że Karol coś ma. Tylko co? Sama miała w głowie watę.

– Obdzwoniłem wszystkich blacharzy na Pradze – oznajmił.

– Ale... po co?

– Z tym samochodem, nie pamiętasz już?

– A, no tak – odparła z lekkim rozczarowaniem. Liczyła na jakieś odkrycie w związku z bronią, jakiś konkret.

– Nie jesteś ciekawa?

Bardziej niż ciekawa była poirytowana, że aspirant brnie w tym średnio perspektywicznym kierunku. Przy tym zaskoczył ją lekko, że tak zaangażował się w ten temat. Zazwyczaj bardzo racjonalnie podchodził do śledztwa i zasobów czasu.

– I przypomnij mi, czemu się tym zajmujesz? – zapytała.

– Zafrapowało mnie to. – Wzruszył ramionami. – Sama polegasz na intuicji.

Z jednej strony strata czasu, z drugiej kierunek, do którego zaraz dobierze się prasa. A wtedy dojdzie do nie wiadomo jakich dzikich wniosków. Po chwilowym szoku wywołanym śmiercią Lutyńskiego zamieszanie wybuchnie ze zdwojoną siłą. Warwiłow chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zatrzymała to na końcu języka, mając w pamięci ich ostatnie przejścia. Przy tym Chodkowski i tak już stracił ten czas.

– No więc? – zapytała, siadając.

– Żadnych zgłoszeń do ubezpieczyciela, nic a nic. A auto było jednak kupione w salonie, niewiele ponad rok temu.

– Jest AC?

- Oczywiście.
- To co, sama wyklepała? Lepiej zgłosić.
- Poczekaj. Obdzwaniałem te wszystkie zakłady na prawobrzeżnej Warszawie i któryś z kolei fachowiec, gość z Białoleki, skojarzył samochód. Potwierdził, że klepał przód.
- Tak dobrze zapamiętał?
- Nina, to było miesiąc temu. A gość normalnie nie robi takich aut, to nie jest pierwszoligowy blacharz. Więc jasne, że zapamiętał. I mówi mi, że wyklepał przód, zderzak i kawałek maski. – Zamilkł.
- I? – zapytała.
- A na końcu – Chodkowski pochylił się w jej stronę na krześle – facet mówi tak: „Na moje oko to coś w to audi jebło. Ale rozumie pan, ja się w te sprawy nie mieszam”.

Gdyby Bartek Borewicz nie był podenerwowany, starszy aspirant Chodkowski mógłby ujść w jego oczach za atrakcyjnego: miał tak zwaną dobrą twarz, o męskich i regularnych, choć odrobinę za mięsistych rysach. Bez większych skrupułów skanował teraz wnętrze mieszkania Borewicza na poddaszu przy ulicy Kępczej. Półki, które pod książkami literalnie wyginały się w podkowę, no i papiery. Ledwo zapisane białe kartki, a także takie pożółkłe już ze starości i obrosnięte kurzem. Ich mniejsze i większe stosiki wały się dosłownie wszędzie, tarasując dostęp do mikroskopijnej kuchni i łazienki.

– Jak panu się udaje tak funkcjonować? – zagaił policjant, jakby przyszedł tutaj na sąsiedzką pogawędkę.

Borewicz wzruszył ramionami.

– I niech pan uważa z ogniem – dodał Chodkowski. – Pali pan?

– Czasami.

– Ale nie w mieszkaniu? – A wobec milczenia Borewicza dodał: – Tyle jest tutaj celulozy, że niedopałek spali całą kamienicę. I ten kurz też jest łatwopalny, wiedział pan o tym?

– Tak.

– To dobrze. Wiem, co mówię, pracowałem kiedyś w ochotniczej straży pożarnej.

– A ja pracuję właśnie w ten sposób – odparł Borewicz. – Nic na to nie poradzę.

– To znaczy?

– Potrzebuję wyrzucić do śmieci pięć kartek, żeby szósta była dobra. Przepraszam wszystkie drzewa. I nie rozrzucam niedopałków.

Chodkowski nie wyglądał na przekonanego. Pochylił się nad związanym gumą stosikiem kartek.

– Mogę?

Mimo braku reakcji obrócił w dłoni konspekt scenariusza romansu. A potem siarczyście kichnął, co sprawiło Borewiczowi satysfakcję.

- Ale tu tego kurzu – skomentował Chodkowski.
- Mnie nie przeszkadza.
- Czy taka metoda pracy nie jest męcząca?
- Jest. Ale może dlatego nie jestem Bergmanem, tylko kręcę reklamówki.

Przystojny policjant pokiwał głową. Nie chciał jeszcze zająć miejsca, choć Borewicz proponował mu krzesło.

– Co to są za teksty w ogóle? – zapytał znowu aspirant, wskazując na zapisaną odręcznie kartkę.

– Moja namiętna grafomania. Głównie scenariusze filmowe. Widział pan *Buntownika z wyboru*?

– Niestety nie.

– Ben Affleck i Matt Damon sami napisali scenariusz i dogadali się ze studiem, że zagrają w filmie na jego podstawie. Przedtem nikt o nich nie słyszał. I nikt by nie usłyszał.

– Więc gdyby...

– Tak, liczę na to, że napiszę coś świetnego. To znaczy może jakąś poważniejszą fabułę... – Urwał.

– I wtedy?

– Dadzą mi kręcić coś lepszego niż reklamę proszku do prania.

Chodkowski roześmiał się kurtuazyjnie.

– Gdzie pan był wczoraj wieczorem? – zapytał jakby mimochodem.

– W domu.

– Ktoś to może poświadczyć?

– To znaczy?

– Dziewczyna... yyy, to znaczy... – Chodkowski urwał nagle. Wyglądał na skonsternowanego.

– Nie – odparł Borewicz. – Nie dziewczyna.

Policjant poczerwieniał i bąknął coś niezrozumiałego. Wyglądało na to, że Warwiłow powtórzyła mu słowa Borewicza z niedzieli, wtedy kiedy powiedział jej o swojej orientacji. Czemu w 2015 roku to wciąż wywoływało w ludziach zmieszanie?

Aspirant usiadł w końcu, wierzchem dłoni odsłonił sobie miejsce na stołku, ewidentnie obawiając się kolejnej serii kichnięć. Dobry znak, pomyślał Borewicz, szybciej pójdzie. Sam zajął miejsce na kanapie, która czasami służyła mu również za łóżko – wtedy kiedy to właściwe było zawałone książkami i zapiskami.

– Czy może pan wie, czym jeździła Sara Kosowska?

– Tak. Audi A1 – odparł powoli Borewicz.

– Zgadza się – powiedział policjant. – Wie pan, czy mogła mieć jakiś wypadek, gdy jechała tym samochodem?

– Nie rozumiem.

– Ale czego? – zaśmiał się Chodkowski. – Nie ma pan sam samochodu?

– Nie.

– Ale prawo jazdy...

– Tak, posiadam, zrobiłem, żeby wozić mamę wieczorami. Ale bardzo kiepski ze mnie kierowca.

– Mówimy o stłuczce na ulicy, a nawet parkingu, potrąceniu, czymś takim.

– Nic o tym nie wiem.

– A czy Sara powiedziała by panu, gdyby miała?

– Nie mam pojęcia. Mówiłem komisarz Warwiłow, że nie byliśmy blisko. Poza tym nie interesuję się samochodami.

– Ale model pan zapamiętał.

Borewicz wzruszył ramionami.

– Czasami się zdarzy. Sara zrobiła dużo szumu, kiedy go kupowała.

– Jeździł pan nim?

– Chyba wspomniałem, że żaden ze mnie Krzysztof Hołowczyc? I przepraszam, ale jaki to wszystko ma związek ze śmiercią Sary i Lutka?

– Proszę odpowiedzieć na to pytanie – powiedział łagodnie Chodkowski, choć w jego głosie brzmiała stanowczość.

– No, kiedyś mogłem jechać.

– Kiedyś? A konkretniej?

– No, tak dobrze to nie pamiętam, może z raz, żeby zrobić przyjemność Sarze, rozumie pan, żeby powiedzieć „ale fura” i „ile ma koni ten potwór”.

I mniej więcej tyle pamiętam w temacie tego samochodu. Panie aspirancie – westchnął – poświęciłem panu już pół godziny. W ciągu ostatnich trzech dni straciłem dwoje przyjaciół...

– Rozumiem. Chociaż wygląda pan nieźle.

– Jak pan tak może... nie ma pan pojęcia! – zdenerwował się Borewicz. – Jestem zupełnie rozbity, nigdy nie byłem w tak kiepskim stanie. Poproszę już pana o odejście i uszanowanie mojej żałoby. Nie umiem poradzić sobie z tym, co się teraz dzieje.

Po wyjściu Chodkowskiego Borewicz siedział dłuższą chwilę w milczeniu, czując lekkie odrętwienie. Skąd te wszystkie pytania? Dlaczego teraz, co oznaczały? Wyglądało na to, że policjant złożył mu wizytę specjalnie po to, żeby spytać o samochód Sary.

W końcu wstał i udał się do łazienki. Wlepił spojrzenie w lustro powieszony nad umywalką. Wbrew słowom Chodkowskiego wcale nie wyglądał dobrze. Czoło miał blade, a wokół nosa pojawiła się niezdrowa czerwień.

Powierzchnia lustra pokryta była smugami pasty do zębów i kurzem. Przez chwilę bezmyślnie wycierał to rąbkiem ręcznika, po czym rzucił go na pralkę. Nabrał wody w dłoń i kilkakrotnie zmoczył sobie twarz. Momentalnie poczuł na niej suchość.

Na biurku rozdzwonił się telefon, Borewicz podszedł i wpatrywał się w ekran parę sekund, zanim odebrał.

– Był u mnie Chodkowski – oznajmił na powitanie.

– A u mnie Nina Warwiłow – odparł Paweł.

– Pytał o samochód Sary. Nie rozumiem, o co chodzi...

– Ja też.

Borewicz czuł drżenie w głosie przyjaciela. Chwycił i przełożył w dłoni leżącą nieopodal paczkę papierosów. Wyjął z niej zapalniczkę.

– No to super – powiedział, a potem wsłuchiwał się w niespokojny, lekko chrapliwy oddech Pawła. Czy ten człowiek w ogóle spał? Sam od śmierci Sary przespał łącznie z dziesięć godzin.

– Zaboląła mnie nasza dzisiejsza rozmowa. Czemu się tak zachowujesz? – wyrzucił z siebie Paweł, co nieco uspokoiło Borewicza. W życiu, jak i w filmach, najbardziej szargało nerwy napięcie. Nie śpiesząc się, zapalił papierosa, zastanawiając się nad tym pytaniem.

– Może nie chcę, żeby spotkało mnie to, co Lutka? – powiedział.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Jeszcze nie wiem.

Milczenie.

– Jak możesz w ogóle... – podjął Paweł. – Przecież zawsze za tobą stałem.

– Nie musisz mi tego przypominać. Zapytałem tylko, dlaczego mnie okłamaliście, że byłeś wtedy na Mińskiej.

– Nie ja, tylko Karo.

– Rany, Paweł, jesteś prawdziwym skarbem – zaśmiał się. – Inne dziewczyny chyba zazdroszczą Karolinie?

– O co ci chodzi?

– Nieważne. Poza tym dla mnie jesteście jednością. Zresztą to samo powiedzieliście policji, tak?

Cisza.

– I wcale jej nie poprawiłeś – dodał. – Przecież to jest to samo, co gdybyś skłamał. Gdyby nie to, że sprawdziłem twój telefon, nigdy bym się nie dowiedział, że tego dnia nie wróciłeś prosto do domu...

– Ale nie pojechałem na Bródno! Chodziłem Stalową i Szwedzką, zaszedłem też na plac Hallera, do zakładu pogrzebowego.

– To akurat wiem. Niestety, nie śledziłem twojej dalszej aktywności.

– Nie możesz po prostu mi uwierzyć?

– A czy rozmawiałeś o tym z policją?

Paweł nie odpowiedział, choć Borewicz słyszał jego oddech w słuchawce.

– Wiesz co, próbuję coś z tego zrozumieć – oznajmił po chwili Bartek. – A im więcej myślę, tym gorzej mi wychodzi. Wiem tylko, że nie chcę się już w to wszystko mieszać.

– O czym ty mówisz?

Bartek strzepał tytoń do szklanej popielniczki.

– Nie dzwoń do mnie, Paweł – powiedział i się rozłączył.

Po południu zadzwonił doktor Rutkowski, lekarz prowadzący Aleksandra Siergiejewicza. Warwiłow zastanawiała się chwilę, zanim nacisnęła słuchawkę. Nie uczestniczyła jednak w rozmowie, w zasadzie wysłuchiwała tylko monologu lekarza.

A kiedy się rozłączył, żałowała, że w ogóle odebrała ten telefon. Siedziała chwilę bez ruchu, a potem zadzwoniła do Chodkowskiego.

– Borewicz i Moskał nie wiedzą o żadnej stłuczce – oznajmił, kiedy spotkali się piętnaście minut później i zeszli na kawę do bufetu na komendzie.

Ruch był tu niewielki i stale się zmniejszał, bo nikt nie chciał jadać małych porcji odgrzewanej carbonary. I nikt nie rozumiał, czemu nie wywali się firmy cateringowej na zbity pysk.

– Zapytałeś ją też o poniedziałkowy wieczór?

– Podobno byli z Pawłem Kosowskim razem w domu. Na Mińskiej.

– Jak zwykle daleko od zbrodni, tak? W każdym razie Kosowski też się nie pucuje o tym audi – powiedziała, prosząc o mulastą czarną z ekspresu. Chodkowski kupił jednodniowy soczek marchwiowy. – Kłamią?

– Ktoś na pewno.

– Kosowski brzmiał jednak na zaskoczonego.

– Niemożliwe, żeby siostra mu nie opowiedziała.

Chodkowski wzruszył ramionami, milcząc taktycznie.

– No bo dlaczego Sara miałaby nikomu się nie zwierzyć? – podjęła. – Normalnie kiedy ktoś zaliczy stłuczkę, dzwoni po wszystkich znajomych, bliższej i dalszej rodzinie, a potem jeszcze najlepiej zdaje relację w mediach społecznościowych.

– No, nie do końca, zależy, czyja była wina – zaśmiał się Chodkowski. – Własną głupotą nie każdy chce się chwalić.

– Może. Zajmij się wypadkami drogowymi.

– Tak ogólnie? Nie mylisz mnie z drogówką?

– Nie, nie ogólnie. – Zawahała się.

– To?

– Potrąceniami z ucieczką.

Wbił w nią przeciągłe spojrzenie.

– I tak będzie tego mnóstwo.

– Zrób jakiś przesiew – oznajmiła, po czym wstała. Nie trafiła pustym kubkiem do kontenera na papier. Podniosła i wrzuciła z bliskiej odległości. – Jak coś znajdziesz, to przyjdź, nigdzie się nie wybieram. Będę u siebie odkopywała się z papierów.

– Pomóc ci?

– Nikt już nie może mi pomóc. A jak będę martwa, to będziesz wiedział, że zabiły mnie zaległe sprawy.

Białek wciąż jej trochę unikał i chyba w ogóle wyszedł już z pracy. Czują jednak, że jej przełożony – jakkolwiek dziwnie to brzmiało w odniesieniu do Białka – zbiera siły i argumenty, żeby w końcu zwalić na nią winę po przecieku w sprawie Lutyńskiego.

Nagrał się za to komisarz Gratkowski. Nie miała jednak siły do niego oddzwaniać i nie wiedziała, co ma właściwie powiedzieć. Wątek Marty Jesionek był w tym momencie wyłączony z obiegu. Najgorsze, że odbudowała się już sama prasa, ponownie tworząc wokół komendy zamknięty kordon. Hipotez dotyczących śmierci Kosowskiej i Lutyńskiego powstawało już coraz więcej i szybko pojawił się również wątek polityczny.

Według tej teorii Sara Kosowska miała być kochanką jednego z ministrów. Informatorzy nie chcieli jednak powiedzieć jakiego, a sama Warwiłow nie musiała się z tym zapoznawać, choć wystarczyło wejść na jeden z fejsbukowych profili poświęconych śmierci Sary, które wyrosły jak grzyby po deszczu.

Można by się spodziewać, że po porażce w sprawie Lutyńskiego Białek namówi komendanta, by rozpędzić towarzystwo prasowe. Tymczasem odnosiła wrażenie, że determinacja dziennikarzy umocniła się, a oblężenie komendy stężało. Po dwóch zabójstwach stawka medialna tylko urosła.

Zajęła się swoim innym najbardziej nagłym praskim dochodzeniem. W piwnicy mieszkania na Stalowej młode małżeństwo znalazło kości.

Powinna – nomen omen – przegrzebać teraz historię mieszkania w stuletniej kamienicy, kompletnie jej się jednak nie chciało. Niewiele ją obchodziły te stare kości. Trzeba było tam grzebać? Ludzie bywali tacy upierdliwi.

Odsunęła się od biurka i zagapiła na tablicę korkową: starała się zamieszczać tam wyróżnienia, nagrody i inne bzdety. Minęło już szesnaście lat, od kiedy przestąpiła próg komendy – wtedy jeszcze w budynku na Cyryla i Metodego – jako funkcjonariuszka, absolwentka szkoły policyjnej. I mogła już otrzymać emeryturę. Małą co prawda, podstawową przy tym stażu pracy, no i nie miała żadnego swojego majątku. To znaczy do niedawna, bo było przecież w całości wykupione mieszkanie na Białostockiej i nie wyobrażała sobie, że Aleksander Siergiejewicz będzie tam jeszcze mieszkał. Przynajmniej samotnie. Zamknęła oczy na wspomnienie rozmowy z doktorem Rutkowskim.

Chyba wciąż za bardzo kierowała się finansami w podejmowaniu ważnych decyzji życiowych. Tomek, który stale rozbudowywał i rozkręcał swoją firmę informatyczną, zatrudniając z dwudziestu identycznych okularników, wpłacał na Miłę całkiem wysokie alimenty. Z szesnastoletnim doświadczeniem i stopniem komisarza Warwiłow miała również wystarczająco zdolności, żeby znaleźć robotę w sektorze prywatnym. Teoretycznie mogła też spróbować szczęścia na jakiejś komendzie poza Warszawą, tam gdzie dochodzeń było mniej. A to poprawiało skuteczność, zatem i poczucie sprawczości.

– Masz teraz sekundę? – zapytał Chodkowski, kiedy bezszelestnie pojawił się w jej pokoju mniej więcej godzinę po spotkaniu w bufecie.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, jak powiedzieć, że ostatnie dwadzieścia minut zmarnowała na gapienie się w ścianę. To przez zmęczenie, pomyślała. Przecież zawsze kochała łapać świeży trop.

– Dwie. – Machinalnie przełożyła niedokończone raporty, położone na biurku dla zachowania pozorów. – Co jest?

– Znalazłem coś, co może cię zainteresować.

– Zamieniam się w słuch.

– No więc szperałem w wypadkach drogowych, na razie tylko w mazowieckim. I ograniczyłem to do miesiąca przed klepaniem audi u tego blacharza z Białoleki.

– Dobry pomysł. I?

– Mamy sześć potrąceń z ucieczką w ciągu ostatniego miesiąca.

– Polepszyło się, zwykle było więcej.

– Może. Ale miesiąc temu, dokładnie w walentynki, potrącono dziesięcioletniego chłopca. Matka zaczęła go szukać, kiedy nie wrócił od kolegi, i znalazła go nieprzytomnego przy drodze. Jeszcze żył, kiedy wieźli go do szpitala. Nigdy nie odzyskał przytomności i zmarł po dwóch dniach.

– Niedobrze. Złapali skurwiela?

– Nie, ale... – Zawahał się.

– Ale?

– Nie zapytałaś, dlaczego właśnie ten wypadek zwrócił moją uwagę.

– No to mów wreszcie.

– Bo zdarzył się kilka kilometrów od miejscowości Duchów, w drodze na Węgrów.

– Czekał, czekaj, coś mi mówi ta nazwa.

– I powinna – oznajmił Chodkowski. – Zgodnie ze stanem majątku Sara Kosowska miała tam dom.

Późnym wieczorem Borewicz podjechał do Lawendy na rowerze. Karolina siedziała przy stoliku w ogródku z nową kelnerką Kamilą. W knajpie szykował się dziś wieczór z komedią improwizowaną, czyli czymś, co mogło być bardzo śmieszne, gdyby tylko potrafiła to zrozumieć. Pięciu performerów przygotowywało się do występu, popijając piwo, a kelnerzy mieli już właściwie wolne i czekała tylko na Pawła, zdeterminowana, żeby nie zostawić go na krok. Musiał jeszcze wyczyścić kuchnię i chociaż twierdził, że praca mu pomaga, poruszał się w niej strasznie wolno.

– Przykro mi z powodu naszej porannej rozmowy – powiedział Bartek na wstępie, kiedy przypiął rower łańcuchem do stojaczka.

Karolina milczała, nie wiedząc jeszcze, co powiedzieć. Kamila patrzyła na całą scenę z zaciekawioną, na przystojnego Borewicza zaś z zainteresowaniem. Nie wiedziała, że nic z tego. Kobiety gubiły się przy nim, może jedna na pięć potrafiła zorientować się, że jest gejem. Przecież sama Karolina oniemiała szesnaście lat wcześniej, kiedy palili papierosy w piaskownicy na placu zabaw w parku Praskim i wyznał jej prawdę o swojej orientacji.

– Paweł wie? – powiedziała wówczas.

– Tak. Podejrzewałaś coś? – zapytał, nie patrząc jej w oczy i kręcąc ósemki w piasku stopą odzianą w trampek. Chudy, śniady nastolatek z wielgachnym nosem i czołem obsypanym pryszczami.

– Może. – A potem odparła bardziej zgodnie z prawdą: – Nie, szczerze, to nie miałam pojęcia. Ale to naprawdę dobrze, że mi powiedziałaś. I wiesz, co?

– No? – zapytał nieufnie.

– Lubię cię jeszcze bardziej niż przedtem.

Zarumienił się wtedy, dość rzadka reakcja. A teraz patrzyła na Borewicza, jedną z trzech, a teraz dwóch najbliższych jej osób, i nie wiedziała, co powiedzieć. Bo co można odpowiedzieć na ewidentne

oskarżenie, które wysnuł w parku? I na nieprzyjemną rozmowę, którą odbył z Pawłem później? Przede wszystkim należało jednak odprawić świadków.

– Kamilka... – powiedziała, widząc, że dziewczyna błyskawicznie uciekła w smartfon, ale zaczerwienione policzki wskazywały na to, że słucha. Jedno, czego Karolina nie cierpiała, to były plotki w robocie. Każda bardziej zorganizowana praca dudniła od nich i potem człowiek czuł się jak jedna wielka cuchnąca plotka. Nie inaczej było w Lawendzie, nawet jeśli pracowała tam dorywczo.

– No? – zapytała dziewczyna z pozorowanym roztargnieniem.

– Może zostawisz nas samych?

A kiedy Kamila niechętnie powróciła na salę zrelacjonować baristce, kto przyszedł, Karolina podjęła:

– Nie wiem, co chciałeś powiedzieć, ale poczułam się, jakbyś oskarżał nas o śmierć Lutka. I to wiesz – zawahała się – dosłownie.

– Nie miałem tego na myśli.

– A jednak to zrobiłeś.

– No bo dlaczego nie powiedziałaś mi, że nie wiesz, gdzie Paweł był po tym, jak się rozstaliśmy?

– Chryste, Bartek, przyjeżdżasz z przeprosinami i po chwili znowu oskarżasz. – Wskazała ręką na knajpę. – Może sam teraz pójdziesz do Pawła i zapytasz, czy nie jest mordercą?

– Nie, Karo. – A kiedy milczała, dodał: – Jeśli chcesz, nie musimy o tym teraz rozmawiać.

– A kiedy?

Wzruszył ramionami.

– Słuchaj, nie powiedziałam tak, bo po prostu nie chcę, żeby Paweł miał kłopoty, okej? Nieważne, kto pyta, ty, Nina Warwiłow czy prezydent, nie chciałam, żeby go przycisnęli. I tak ledwo go ogarniam. Nie wiesz, w jakiej jest rozsypce.

– Przecież sam go zebrałem z Ząbkowskiej.

– Ale nie śpisz z nim, nie wiesz, jak się budzi w nocy, jak płacze albo, co gorsza, leży godzinami bez ruchu. Nic nie wiesz, a oskarżasz swojego

najlepszego przyjaciela... i przy okazji mnie. Myślałam, że również jesteśmy przyjaciółmi.

– Jasne, że jesteśmy.

– Więc uwierz Pawłowi, kiedy mówi, że nie było go na Bródnie... ani że nie zabił Sary. Przecież on ją strasznie kochał i nie ma już rodziny.

– Ma ciebie.

– Dla świata jesteśmy w zasadzie obcy, bez ślubu, bez dzieci... – powiedziała Karolina. – Naprawdę nie wiem, czy ja go z tego wyciągnę tym razem, więc jeśli nie możesz mi pomóc, nie utrudniaj zadania, bawiąc się w śledczego. Może nie jesteś w tym momencie jego przyjacielem, ale nie bądź jego wrogiem. On tego nie zniesie.

Borewicz pokiwał głową.

– Wiem, że to żadne z was. Ale cztery dni temu była nas piątka. A teraz są trzy osoby. Nasuwa się więc pytanie...

– No jakie?

– Kto będzie kolejny?

– Żartujesz?

– Chciałbym, ale brakuje tylko szachownicy ze znikającymi figurkami.

Zamilkli obydwójce.

– Bartek, przecież Lutek mógł prowadzić interesy, o których nie wie żadne z nas – powiedziała Karolina. – Nawet to Bioneo, o którym piszą w mediach... Nie miałam pojęcia, że jest taka spółka.

– Ja też. Po prostu... nic z tego nie rozumiem. I nie oskarżam Pawła, kocham go bardziej niż siebie.

– Bartek, przecież to nieprawda.

Po chwili jednak pomyślała, że Borewicz może wcale nie lubić samego siebie. Jego własny ojciec przestał z nim rozmawiać po tym, jak chłopak przyznał, że jest gejem, a matka udawała, że tego nie wie. Że wyznanie syna nigdy się nie wydarzyło.

– Wiem, że kłócili się z Sarą o pieniądze... – podjęła – ale kto się nie kłócił w naszym towarzystwie o milion różnych rzeczy? Czy z tego powodu kogoś się zabija? Wy również mieliście jakąś sprzeczkę i Sara nie chciała mi powiedzieć dlaczego.

– Nie pamiętam.

– A ja tak. I mówisz o pieniądzach. Wiesz, dlaczego Paweł zniknął z telewizji? Przecież proponowano mu pisanie książek i nawet własny program, mógł zarobić kupę kasy, ale moim zdaniem sabotował swój sukces. Nie chciał przyćmić Sary.

– Karo, to jest dość odważna interpretacja... – zauważył Borewicz, ale nie pozwoliła, by ją wyśmiał tym razem.

– To ona miała być najważniejsza. Nawet wtedy, kiedy przestało jej iść, kiedy przestali jej oferować role w filmach.

– Nigdy mi tego nie powiedział.

– Bo z nim nie sypiasz – rzuciła i ze zdenerwowania zapaliła papierosa z leżącej na stole paczki Kamili. Zaraz potem zgasła. Przekląty Borewicz. – Jeszcze tego by brakowało.

Zamilkli, a po chwili Bartek sam wyciągnął papierosa i zapalił. Od śmierdzącego dymku czerwonych marlboro zrobiło jej się niedobrze i poczuła się nagle zmęczona.

Miała przecież teraz tylko jedno zadanie, a jej zadanie było obecnie w kuchni Lawendy. Tylko Paweł się liczył, dla niego zrobiłaby wszystko, potrzebował jej opieki. Dlaczego miała wyjaśniać Borewiczowi, że żadne z nich nie jest mordercą? Dlaczego ich oskarżał, dlaczego zrobił się ostatnio taki nerwowy i agresywny, choć przecież powinni trzymać się razem?

– Wiesz co – oznajmiła – to już nie jest nasza sprawa. Zabarykaduj się w twierdzy, jeśli się boisz Pawła. Albo pogadaj z psychologiem. Albo z kim tam chcesz.

Milczał przez dłuższą chwilę. I wreszcie miała szansę mu się przyjrzeć: wychudł ostatnio, ogólnie zmarniał. Policzki miał zapadnięte, a oczy podkrążone.

– Ty się naprawdę nie boisz? – zapytał.

– Ale czego, Bartek?

– Że będziesz następna.

Teraz Karolina zamilkła. I niemal podskoczyła, kiedy za jej plecami, na tarasie Lawendy, ktoś ryknął gromkim śmiechem.

– Muszę już iść – oznajmiła, po czym obróciła się i wbiegła po schodkach do restauracji.

Przez cały dzień nad Pragą zbierały się chmury gęste jak smoła. Warwiłow słyszała, jak Chodkowski, z którym pracowała ramię w ramię, mrucał do siebie coś w stylu: „ale zaraz jebnie”. Ale ta atmosfera zamknięcia podobała jej się; czuła, że tylko działając stacjonarnie, jest w stanie rozwiązać sprawę śmierci Kosowskiej. A tutaj była bezpieczna przed atakami prasy, choć na dobrą sprawę powinna zaprosić do środka zespół od zakładania i zdejmowania pluskiew, żeby zweryfikowali, czy jej pokój jest czysty.

Prawie nie zauważyła, kiedy w pokoju pojawił się Stassberg. Podniosła głowę dopiero, kiedy do jej nozdrzy doleciał znajomy zapach. Z reguły irytowały ją perfumy u mężczyzn, ale Maciej, trzeba przyznać, zawsze ładnie pachniał, drzewem sandałowym i limonką.

– Nina? – zapytał, kiedy wreszcie popatrzyła na niego.

Dobrze, że nie bawił się w urzędowe gadki. I to przy Chodkowskim, który przecież był naocznym świadkiem ich romansu, chociaż starszy aspirant nie powiedział na ten temat ani jednego słowa. Podejrzewała tylko, że zawzięcie się o tym plotkuje na komendzie. W czym przodowali, oczywiście, mężczyźni.

W zasadzie nie miała pojęcia, jakie Karol ma zdanie o Stassbergu, i tylko wyczuwała, że mógłby być na nie. Mruknął coś na powitanie, jednak nie oderwał się od monitora. Warwiłow patrzyła na Maćka bez słowa.

– Czy możemy porozmawiać? – zapytał.

– Mów.

– Sami.

Chodkowski poruszył się nieco nerwowo na krześle. Warwiłow wstrzymała go gestem, ale jej podwładny wstał.

– Zostań – poprosiła. – Nie skończyliśmy jeszcze.

– Spokojnie. Pogadamy po południu.

A kiedy za Chodkowskim zamknęły się drzwi, Warwiłow zwróciła się do Stassberga:

– No to o czym chciałeś pogadać, skoro już wygoniłeś mojego... –
Zawahała się, sekundę za długo.

– Sancho Pansę? – podpowiedział Stassberg.

– Mało śmieszne. Chodkowski jest więcej wart niż zwykły pomocnik.

– Uwierzę ci na słowo. A chciałem pogadać o śledztwie. Niby o czym –
powiedział, siadając na miejscu starszego aspiranta. – Postępy?

– Jesteśmy w trakcie czynności – wyrecytowała.

– Aha.

Przez chwilę obydwójce milczeli.

– Czyli zawodowo więcej się od ciebie nie dowiem? – podjął.

– Myślałam, że rozgrywasz to z Białkiem.

– Dał dupy ostatnio.

– Wszyscy daliśmy – powiedziała trochę impulsywnie.

Stassberg kiwnął głową, a Warwiłow zastanawiała się, co jest prawdą.
W zasadzie, oceniła, było w tym osiemdziesiąt procent winy Białka,
a reszta Stassberga. Od początku traktował tę sprawę jak zgniłe jajo, więc to
zgniłe jajo wylądowało mu na głowie.

– Jak twój ojciec? – zapytał.

Podniosła brew.

– O tym teraz będziemy rozmawiać?

– Chyba mogę zapytać, jak się czuje?

– Miał operację kardiologiczną, w trakcie doznał udaru. Jest teraz
w śpiączce. Sztucznie podtrzymywanej. Jego stan... jest ciężki.

– Bardzo mi przykro – powiedział, jednak nie wyglądał na przejętego.

Zawsze podejrzewała, że myśli o Aleksandrze Siergiejewiczu jak
o martwym. Czy ich związek miałby większe szanse, gdyby Maciek razem
z nią podtrzymywał przy życiu pijaka z kryminalną przeszłością? Czemu
jednak żaden z jej facetów nie mógł zrozumieć, że to jest jej pieprzony
obowiązek?

– Może jak przejdzie ta zawierucha, umówimy się i pogadamy? –
zapytał, wbijając w nią spojrzenie.

– Nie słyszałeś, co do ciebie powiedziałam?

– Nina...

– Mój ojciec jest w śpiączce. – Wbrew sobie podniosła głos. –
I naprawdę gonię teraz w piętke.

– A ja?

– Co ty?

– Co z nami?

– Moim priorytetem jest teraz ojciec – oznajmiła.

Stassberg pokręcił głową, po czym nagle wstał. Wpatrywała się w niego w milczeniu, kiedy podszedł do okna i otworzył je, wpuszczając podmuch chłodnego powietrza. Rządził się na jej terenie. I wszędzie, gdzie przebywał, od razu otwierał okna. Tak jakby coś mu śmierdziało, to było irytujące.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że zawsze stawiałaś go na pierwszym miejscu? – zapytał.

Milczała.

– Tak samo było z Tomkiem, prawda?

– To nie twoja sprawa.

– Może jednak moja, bo ty jesteś moją sprawą.

Zamilkła, myśląc, że to zaskakująco miłe.

– Wiesz, jak to działa? – podjął.

– Co?

– Te sprawy z rodzicami.

– Wyjaśnij mi, kozetkowiczu.

– Możesz sobie ironizować, ale powinnaś mieć świadomość. Próbujeś sprostać ich wymaganiom, które sama wyhodowałaś i pielęgnujesz. Możesz to nazywać miłością, przywiązaniem i nie mówię, że tak nie jest. Ale w twojej głowie wyrósł chory schemat, próbujesz uzyskać akceptację rodzica, a priorytetyzując ojca...

– Nic takiego nie robię – weszła mu w słowo.

– Sama to powiedziałaś przed chwilą.

– Co?

– Że ojciec jest twoim pieprzonym priorytetem.

– Wyrażaj się, Maciek.

Dopiero teraz zorientowała się, jak bardzo jest zdenerwowany.

– Walczysz o akceptację swojego ojca – kontynuował – co jest jawnie beznadziejne, a przy okazji niszczy twoje życie osobiste.

– Niszczy moje życie osobiste? Kurwa mać, a jakie ty masz życie osobiste? Jeździsz do obcego dziecka...

– Mila nie jest obca.

– Ale nie jest też twoja – kontynuowała, czując, że popełnia błąd, ale nie mogła się zatrzymać. – Mam dziecko, które wychowuję samotnie. Jak co trzecia kobieta w Polsce. Co wcale nie oznacza, że nie mam życia osobistego. A mój związek z Tomkiem rozwalił się znacznie wcześniej... Dla twojej informacji, byliśmy razem osiem lat. Naprawdę myślisz, że on by się męczył tyle lat z moim ojcem, skoro było tak źle?

Stassberg zamilkł. Czuła, że powinna teraz wyjść na zewnątrz, ochłoniąc i wrócić do tej rozmowy. Niestety, nie miała na to ochoty.

– A chcesz tego czy nie – kontynuowała – to mój ojciec, jest ważną częścią tego życia osobistego, którego podobno nie mam. Czy ty zajmujesz się swoimi rodzicami? Jak często jeździsz do Otwocka? Czy twoja matka jeszcze żyje?

– Wiesz, że to nie jest moja prawdziwa matka.

– Czyli masz ją gdzieś, bo cię nie urodziła? Naprawdę myślisz, że jesteś lepszy ode mnie?

Stassberg poczerwieniał i zamknął okno. Zapadła nagła, ostra jak brzytwa cisza.

– Więc dopóki twój ojciec jest w szpitalu, w skrócie masz mnie w dupie – powiedział cicho.

– W skrócie, tak.

Zamilkli teraz obydwój, słyszała jego przyśpieszony oddech i czuła, jak wali jej serce.

– Dopóki twój ojciec nie wykituje, nie ułożysz sobie życia osobistego – wycodził.

– Wynoś się.

Warwiłow odczekała, aż prokurator wyjdzie, zamknęła drzwi, a potem wybuchła płaczem.

Tej nocy Nina zupełnie nie mogła zasnąć. I nie z powodu Mili, która co najmniej od roku spała jak suseł. Za dwa dni minie tydzień od śmierci Sary Kosowskiej i ktoś na komendzie za to beknie, zaczną się też poważne naciski ze strony resortu. Będzie musiała przedstawić Białkowi nową teorię, wraz z dowodami. Poza wszystkim Warwiłow brakowało ludzi do pracy. Jeżeli sprawy nie dawało się rozwiązać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, w poprzek stawały braki kadrowe. I jeszcze Maciek, pomyślała, to też poszło do piachu.

W końcu, zirytowana bezsennością, wstała i wyszła na swój mikroskopijny balkon. Spojrzała na księżyc; zbliżając się do pierwszej kwadry, zaczął nabierać kształtów. Przez chwilę wpatrywała się w coraz wyraźniej zarysowaną srebrną literę „D”.

Czy powinna żałować dzisiejszej rozmowy ze Stassbergiem? Tak naprawdę ich związek rozpadł się już dawno. Nie mieszkali ani nie spali ze sobą od czterech miesięcy. A ona sama, z nudów podszytych potrzebą bliskości, przeglądała profile na portalach randkowych.

Wróciła do łóżka, ale dramat bezsenności trwał. Zmęczona przewracaniem się z boku na bok i wytracaniem włosów na poduszce, walczyła z pokusą, żeby przytulić Milę, choć wiedziała, jakie to ryzyko i ile czasu zajmie jej powtórne uśpienie małej.

Nad ranem ponownie zabrała się za przegrzebywanie szuflad i znalazła należącą do Tomka przeterminowaną tabletkę trazodonu. Połknęła ją i w rezultacie, dosłownie chwilę później, Mila nie mogła jej dobudzić.

– Mamo, poczytaj mi. – Potargała ją za włosy.

– Miluś, chyba jeszcze wcześniej – wymamrotała Nina, czując w głowie niebывały ucisk. Podniosła się na łokciu i zerknęła na telefon. Chwilę wgapiła się w ekran, nie mogąc uwierzyć, że dochodzi już dziewiąta.

Dopiero godzinę później, już na komendzie, miała czas skontrolować swój wygląd. Fatalnie. Skóra po nieprzespanej nocy była wysuszona, oczy

czerwone i wszystko ją szczypało. Przypudrowała odrobinę cienie pod oczami i zwalczyła chęć założenia ciemnych okularów.

– Co z wypadkiem pod Duchowem? – zapytał Chodkowski, kiedy spotkali się po odprawie. – Musimy to zweryfikować.

– Nie pytaj naszej świętej trójcy – odparła Warwiłow.

– Dlaczego?

– I tak nie powiedzą. Sami w tym poszperajmy.

– Aha. No więc już to zrobiłem.

– I?

– Podzwoniłem i namierzyłem faceta, który opiekuje się domami w Duchowie pod nieobecność właścicieli.

– Brzmi dwuznacznie.

– Naprawdę się opiekuje, nie okrada. Dorzucić drewna, żeby mieszcuchy miały ciepło na przyjazd, przystrzyc trawę i takie tam.

– Dobra robota, starszy aspirancie.

– Dzięki. Dzwonimy do niego?

Zerknęła na zegarek. Dochodziła jedenasta, a wyraźnie odbudowany psychicznie Białek pogroził jej po odprawie, że będą rozmawiać. Więc może lepiej pokazać mu środkowy palec?

– Mam lepszy pomysł – oznajmiła.

Godzinę później przejeżdżali już przez Stanisławów w drodze na Węgrów. Wiosna przeprowadzała tu wielką ofensywę: światło odbijało się od świeżej zieleni, która pojawiła się w ciągu ostatnich kilku dni. Jak dobrze było wyrwać się z miasta. Warwiłow pomyślała, że powinna to robić częściej, przefiltrować przy okazji płuca Mili po sezonie smogowym.

Chodkowski polecił jej skręcić do Dobrego, sennej miejscowości z ceglany kościołem, stamtąd zaś do Duchowa drogą, która odbijała tuż przed cmentarzem. A później popełnili błąd i zgubili się gdzieś na traktach wiejskich.

– Nie lepiej było jednak zadzwonić? – zdenerwował się starszy aspirant, kiedy drugi raz przywalił podwoziem o kamień. – Dziura dziurę pogania.

– Za to można się zrelaksować – skomentowała, patrząc na rozsiane w rozsądnej odległości gospodarstwa. Choć płaska, okolica przywodziła jej na myśl Bukowce w Beskidzie Niskim.

– Widzę tylko psy szczekające dupami.

– Nagle sam nie jesteś ze wsi?

– Chyba nie byłeś na Dolnym Śląsku. Cała gmina produkuje meble dla Niemców, nikt nie jeździ samochodem starszym niż trzyletni.

Jednak Duchów, do którego w końcu dojechali, w żaden sposób nie przypominał ani wsi Beskidu Niskiego, ani tych mitycznych dolnośląskich. Gospodarstwa były po prostu brzydkie. Ceglane kłocki, ceglane stodoły, wybetonowane podwórza.

– Pięknie tu nie jest – powiedziała Warwiłow. – Za to masz kawałek ziemi pod miastem. Gdzie mieszka Kalat?

– Dom nad stawem.

Podjechali. Facet, który ich przywitał, był niski i chudy jak patyk, sprane bojówki miał zaciągnięte na wysokość pępka. Zaprosił ich, w środku zrobił im herbaty.

– Jest pan stąd? – podjął Chodkowski.

– Nie.

– A jak długo pan mieszka w Duchowie?

– W tym roku mija piętnaście lat.

– Gdzie przedtem?

– Przyjechaliśmy z Siedlec, jesteśmy z żoną „miastowi”. – Kalat wyszczerzył zęby. – Tam pracowałem jako żandarm, ale odniosłem ranę w pracy.

– Jako żandarm? – zapytała Warwiłow.

– Tak. Trafiłem na rabunek tira, zainterweniowałem i pchnęli mnie nożem. Dostałem stopień niepełnosprawności. A tu w lecie rybki trochę połowię w stawie, zimą pomagam, gdzie można. Człowiek chce być jeszcze użyteczny.

– I znał pan Sarę Kosowską.

– No oczywiście, że znałem, opowiadałem przez telefon temu panu. – Wskazał głową na Chodkowskiego. – Co najmniej raz w tygodniu szedłem

do pani Sary napalić, uprzątnąć, poza tym w lecie kosiłem trawę i zajmowałem się kwiatami. Ona lubiła, żeby tu było ładnie, no to było. W zeszłym roku obsadzałem jej ogródek hortensjami i chabrami.

– Daleko to?

– Gdzie. Kilometr stąd, a lasem to nawet pół. Jak pani pojedzie dalej, to pani zobaczy. Dom wysoki, drewniany, widać z daleka.

– Często przyjeżdżała?

– No tak. W co drugi weekend zwykle przyjeżdżali.

– Oni?

– Tak, zawsze w piątkę – zaśmiał się Kalat. – Papużki nierozłączki. Pani Sara, brat, narzeczona, pan Michał i pan Bartek.

– Czy spotykał się pan z nimi na miejscu?

– Nie lubili, kiedy im się przeszkadzało.

– Aha. To znaczy, że można się tu u was w Duchowie zrelaksować?

– O tak, u nas bardzo spokojnie. W Suchem były numery. Tutaj to nie.

– Wiem – powiedziała Warwiłow, zerkając na Chodkowskiego, aby sprawdzić, czy również przypomniła mu się zbrodnia w Weseliskach.

– A u nas spokojnie – powtórzył Kalat. – Dobre miejsce na, jak to mówią, jesień życia.

– I pewnie przestępstw macie mało.

– Kiedyś grasował włamywacz, który okradał piwnice. Ale to lokalny i miejscowi w końcu go dopadli. Tak to nic, nawet lisów tu za bardzo nie ma, więc kury chodzą spokojne – zaśmiał się.

– Bo droga krajowa nieopodal wiedzie aż z Białej Podlaskiej – podjęła Warwiłow – i można by pomyśleć, że ludzie będą grzać i wypadki będą.

– Wypadki?

– Stłuczki albo może potrącenia...

– A to jest, proszę pani, zupełnie inna sprawa! – ożywił się Kalat. – Kilka razy już mieliśmy tutaj rzeczywiście nieprzyjemne historie. Pod tym względem wcale nie jest dobrze. Ale to nie u nas w zasadzie, tylko w Dobrem i okolicach. Szczególnie zakręt przy mostku w Porębach Nowych jest bardzo niebezpieczny. I źle oznakowany. Nie dalej jak miesiąc temu potrącono tam dzieciaka.

– Naprawdę? Kiedy dokładnie?
– Wydaje mi się, że 14 lutego.
– W walentynki.
– Tak. Zabrali go do szpitala, gdzie umarł. Prawdziwe czerwone walentynki, rozumie pani... przykra sprawa. Ludzie mówili o tym okrągły tydzień, aż do mszy, wie pani, jak to tutaj działa – zaśmiał się „miastowy”. – Potem zapomnieli...

– I znaleźli sprawcę?
– Nie. Nie przypominam sobie. Z panią Sarą też o tym rozmawiałem kiedyś. I mówię, że ktoś widział audi w Porębach Nowych, właśnie w sobotę. Takie jak pani. I że jechało bardzo szybko, a tam jest ograniczenie do czterdziestu.

Warwiłow zerknęła na Chodkowskiego.

– Jak Sary? – zapytała.
– No tak, przecież nie pani – zaśmiał się Kalat. – Pani mazdą przyjechała. A ona mi mówi, że wracała w niedzielę, jak zawsze. I to prawda, że oni zawsze wracali w niedzielę, po weekendzie. Ale, mówi pani Sara, dobrze, że pan jest czujny, panie Marianie. Bo to prawda! Mam oko na to, co się dzieje dookoła, policyjny zmysł jeszcze się u mnie nie stępił.

A kiedy pół godziny później wyjeżdżali z Chodkowskim z Duchowa, Warwiłow poprosiła aspiranta, żeby poprowadził.

– Spójrz – powiedziała, podsuwając mu pod nos telefon, kiedy zatrzymali się na tankowanie.

– Na co? Co to jest?

– Rozkład *Kolacji dla głupca* w Powszechnym. Sara grała tam Marlene. Widzisz to samo, co ja?

– Skróć, Nina, proszę cię.

– Tutaj – popukała palcem w telefon – jest napisane, że przedstawienie wystawiano w walentynki, w sobotę 14 lutego. Więc jeśli towarzystwo rzeczywiście spędzało ten weekend w Duchowie, to wracali w sobotę, a nie w niedzielę.

W Porębach Nowych Warwiłow kazała Chodkowskiemu zwolnić.

– Tutaj – powiedziała. – Zjedź na chwilę.

Chodkowski zaparkował u wylotu polnej drogi i wysiedli. Zakręt w Porębach Nowych był rzeczywiście paskudny dla kierowców, zarośnięty i niesamowicie ostry. Widniało jakieś ostrzeżenie, ale może drogowcy powinni jednak poprawić jego widoczność?

Nie musieli z Chodkowskim długo szukać, gdzie miał miejsce wypadek. Za rowem melioracyjnym ktoś umieścił krzyż, a pod krzyżem leżały chryzantemy i margerytki.

– Tutaj zginął ten dzieciak – wskazała Warwiłow. – Jak się nazywał?

– Dominik Marciniak.

– Kwiaty jeszcze świeże – oceniła, pochylając się nad bukietem. – Jeszcze nie zapomnieli.

– U nas na wsi niemal co roku były jakieś potrącenia – powiedział Chodkowski. – Większość ofiar to alkoholicy, trafiały się również dzieciaki, ale tak na przykład zginęła siostra mojej babki. Wracała wieczorem z pola. Nigdy w życiu nie była na wakacjach, kilka dni wcześniej moi rodzice wykupili jej turnus.

– Znaleźli sprawcę?

– Dopiero po dwóch latach. Facet przyjeżdżał w to miejsce i płakał, więc w końcu go przytrzymali i wezwali policję. Przyznał się do winy po tygodniu. Mówili, że zrobił to z ulgą.

– Co dalej?

– Siedzi do tej pory.

Pokiwiała głową.

– Jedźmy – powiedziała, słysząc, jak burczy jej w brzuchu. Efekt braku śniadania po zaspanym poranku. – Muszę coś zjeść, i to szybko.

Chodkowski zlokalizował pizzerię w Stanisławowie, taką, która na Googlach miała nawet nie najgorsze noty. Menu straszło jednak pizzą

z kebabem i inną mięsna, zawierającą całą trzode chlewną. Warwiłow zamówiła więc quattro formaggi, modląc się, żeby dodali do niej gorgonzolę, a Chodkowski sałatkę. Otrzymał jedzenie jako pierwszy i najwyraźniej zamierzał na nią zaczekać.

– Nie wystygnie – oznajmił.

– Nie wygłupiaj się, jedz – powiedziała, a kiedy zaczął, dodała: – Myślisz, że mamy prawdziwy motyw zabójstwa Sary Kosowskiej?

– Mów.

– Wracając z Duchowa, rąbnęli Dominika Marciniaka w Porębach Nowych...

– Czy mamy pewność, że rąbnęli? – wtrącił.

– Co masz na myśli?

– Że Sara nie jechała tym samochodem sama?

– Wyjaśnij.

– Doszliśmy do wypadku, ale nie wiemy, czy ktoś z nią był. Kalat powiedział, że zwykle zostawali do niedzieli. Sara miała występ w teatrze, a pozostali?

– Przypuśćmy jednak, że tak było. Na to wskazywałaby śmierć Lutyńskiego, mógł być jednym z pasażerów samochodu. Zginął, bo miał być zatrzymany i mógł się wysypać przed policją.

– Taka logika jest ryzykowna.

– Nigdy nie masz wszystkiego na tacy – zamilkła, bo z głośników poleciały nagle przeboje Zenka Martyniuka. Podjęła po chwili: – Założmy, że ktoś po kolei zaczął uciszać pozostałych pasażerów samochodu. Najpierw Sarę, potem Lutyńskiego.

– Więc myślisz, że chciała się przyznać...

– ...i dlatego poszła do adwokata, by się dowiedzieć, jakie grożą jej konsekwencje. Za pierwszym razem zapłaciła kartą, ale potem gotówką. Dlaczego?

– Bała się, że Lutyński to zobaczy. Miał wgląd do jej konta.

– To potwierdza hipotezę, że był drugim pasażerem samochodu.

– Tak.

– Kto był kolejnym?

Przyszło jej jedzenie. Brzeg pizzy okazał się całkiem niezły, chrupiący, ale w środku zamiast gorgonzoli pływał ewidentny ser lazur. Trzeba było tak napisać.

– Nie wiem, czy pamiętasz – podjął Chodkowski – ale audi A1 to jest małe auto.

– I?

– W rejestracji jest na cztery osoby. Co oznacza...

– Że musieli jeździć do Duchowa na dwa samochody.

– Dokładnie.

– Może mieli to gdzieś i gnieździli się w piątkę?

– Wątpię, Lutyński to był kawał faceta, Borewicz może i szczupły, ale wysoki. I jeszcze musieliby przejechać ponad pięćdziesiąt kilometrów niezgodnie z przepisami.

– Okej. – Warwiłow odłożyła swoją pizzę na bok, po tym jak zaspokoila pierwszy głód. Zamówiła cappuccino, zastanawiając się, czy zrobią je z proszku. – Więc mamy pięć osób i potencjalnie dwa samochody – powiedziała. – Podział dwa na trzy?

– Prawdopodobnie.

– Sara wracała na swoje przedstawienie. Czyli na pewno była w tym samochodzie. Kto jeszcze mógł mieć powód do wcześniejszego powrotu w sobotę?

– Borewicz?

– Rozmawiałam z nim w studiu ATM w niedzielę. Więc zdarza mu się pracować w weekendy.

– Ale tak samo Pawłowi Kosowskiemu i Karolinie Moskał w Lawendzie. Może w ogóle ich nie było w ten weekend w Duchowie?

– Ale Kalat twierdzi, że zwykle jeździli razem. Być może synchronizowali swoje wolne weekendy. A teraz przerwijmy już rozmowę – powiedziała, widząc większą grupę ludzi wchodzących do restauracji.

– Wpadasz w paranoję, Nina.

– Może – odparła, dopijając cappuccino i dając znać kelnerce, żeby przyniosła im rachunek. – Dokończymy na zewnątrz.

Zapłaciła i wyszli z knajpy. Na dworze pachniało gnojówką i spalinami. Po drugiej stronie drogi jakaś babcia zaganiała krowy do obory. A potem z hukiem przejechały przed nimi trzy tiry, wyrabiając dziurawy asfalt.

– Mamy pięć typów na start – powiedziała.

– Ale odliczając tych, co nie żyją, trzy. Pierwszym pasażerem audi była Sara, kolejnym...

– Lutyński, trzymajmy się tego.

– Zostają Borewicz, Kosowski i Moskał.

– I trzeba jak najszybciej ustalić, które z nich było w Warszawie w sobotę 14 lutego.

– A jeśli wszyscy?

– Może. Spróbujmy się jednak zorientować, kto na pewno wrócił do Warszawy tego wieczoru. Dyskretnie, jeśli to jeszcze możliwe. Dwoje z nich może nie wiedzieć, że trzecie jest mordercą, a nawet że w ogóle doszło do wypadku. A trzecia osoba w audi jest prawdopodobnie zabójcą Sary Kosowskiej i Michała Lutyńskiego.

– Więc teraz tylko ona wie, że audi Sary rąbnęło Dominika Marciniaka.

Zamyśliła się, obserwując, jak babcia naprzeciwko zagania krowy do środka i powoli zamyka wrota obory.

– Nina? – zapytał Chodkowski. – Jesteś tu?

– Jestem. Ale mylisz się.

– Nina, sama powiedziałaś...

– Nie – przerwała. – Jest jeszcze ktoś, kto wie na pewno.

Sześciopiętrowy budynek sądu Warszawa Praga-Południe na ulicy Terespolskiej wyglądał przyjaźnie i nowocześnie. W środku był jednak znanym koszmarem wszystkich, którzy pracowali w sektorze prawa, a także ich nieszczęsnych klientów.

Żeby dać sobie jakąkolwiek szansę na zlokalizowanie sali rozpraw, należało przyjść co najmniej czterdzieści pięć minut przed rozprawą. W numeracji sal nie było bowiem żadnej logiki. A kiedy, po latach błędzenia, nieszczęsny adwokat bądź radca zaczynał w końcu łapać, że sto osiemnaście następuje po sto dwa, i docierał do wyznaczonej sali na czas, zawsze mogło okazać się, że to sto osiemnaście mieści się teraz na przykład w czterdziestce.

Warwiłow nie miała tyle czasu i liczyła na to, że obędzie się bez niespodzianek. Że sala sześćdziesiąt trzy, w której odbywała się rozprawa Skarbu Państwa przeciwko Łukaszowi Pawłowskiemu, nie wyparuje ze swojej dotychczasowej lokalizacji. I że będzie tam człowiek, którego szukała. Mecenas Robert Obara we własnej osobie.

Był, jeszcze po cywilnemu, zapewne togę dostarczy mu asystentka tuż przed rozprawą. Nie okazał wielkiego zdziwienia na widok policjantki. Może dlatego, że udał, że w ogóle jej nie widzi.

– Pan sobie mnie nie przypomina? – Podeszła bliżej i wyciągnęła odznakę. – Komisarz Nina Warwiłow.

Dobrze ubrany klient spojrzał na Obarę z przestraszeniem, a ten zareagował całkiem szybko. Przybliżył się do Niny i powiedział cicho:

– To jest bardzo zły moment.

– Ale na co? – Uśmiechnęła się nieznacznie, wskazując na wywieszkę na drzwiach. – Do rozprawy pozostało jeszcze piętnaście minut.

– Pani komisarz – powiedział Obara, szybko kierując ją w boczny korytarz. – Jestem obecnie w pracy.

– Tak jak ja. Ostatnio nie chciał pan ze mną rozmawiać. A teraz wiem już więcej.

Milczał, więc kontynuowała:

– Sara Kosowska uczestniczyła w wypadku samochodowym. Zginął dziesięcioletni chłopiec. Kosowska uciekła z miejsca wypadku, potem była u pana na kilku konsultacjach.

– Nic o tym nie wiem – odparł, ale intuicyjnie wyczuwała, że brakuje mu zimnej krwi sprzed paru dni. Poza tym wiedziała już na pewno, że kłamie.

– Wystarczy, że ja wiem. Rozumiem, że chciała przyznać się do przestępstwa.

Obara spojrział na zegarek i dalej milczał. Tak jakby nie zauważył, że nie przebywają dzisiaj w jego ekskluzywnej kancelarii, tylko w klaustrofobicznym korytarzu sądowym.

– Jest pan obecnie przesłuchiwany – powiedziała. – A to oznacza, że nie stawi się pan na rozprawie.

– Nie może pani tego zrobić.

– Mogę. – Wyjęła kajdanki. – Proszę wystawić dłonie i poinformować klienta, że musi bronić się sam.

– Ciszej – syknął. W roztargnieniu wyciągnął jedwabną poszetkę z brustaszy i przetarł nią czoło. Za późno zdał sobie sprawę z własnego błędu, ze zdziwieniem obejrzał chusteczkę i schował do kieszeni.

– Ja też nie mam wiele czasu – powiedziała.

– Nie mogę pani pomóc.

– Więc porozmawiamy na komendzie.

Obara oddychał ciężko.

– Ona nie żyje – wyszeptał, chyba bardziej do siebie.

Warwiłow obserwowała go cierpliwie.

– Chodźmy stąd – rzucił.

– Gdzie?

– Do łazienki.

A kiedy weszli do męskiej i stanęli przy rzędzie umywalek, zaczął mówić całkiem szybko:

– Sara Kosowska chciała przyznać się do wypadku. Nie widziała ofiary, ale w gazetach przeczytała, że to był jakiś chłopiec.

- Kto był w tym samochodzie?
 - Nie powiedziała.
 - Czy kierowała nim?
 - Nie powiedziała wprost.
 - Mecenasiu... – zaczęła, ale wszedł jej w słowo.
 - Twierdziła, że odjechała z miejsca wypadku, i odczuwała z tego powodu znaczne wyrzuty sumienia. Żałowała, że nawet nie odwiedziła tego chłopca w szpitalu. Ze strachu przed policją, oczywiście, natychmiast zwrócono by tam na nią uwagę. Pytała mnie o możliwości i przede wszystkim konsekwencje prawne przyznania się teraz.
 - I?
 - Miałem się podjąć przygotowania, a także i obrony.
 - Czy w takim wypadku nie powinien pan wiedzieć absolutnie wszystkiego o zdarzeniu?
 - Tak – odparł. – Najlepiej.
 - Poinformował pan o tym Sarę?
 - Zgadza się.
 - A potem?
 - Co potem?
- Westchnęła.
- Wciąż kiepsko pan ze mną współpracuje... Na czym stanęło?
 - Na niczym. Sara Kosowska chciała rozważyć wszystkie scenariusze, jak to się potoczy, jeśli poinformuje policję o wypadku. A potem dowiedziałem się, że nie żyje.
 - Czy mówiła o jakichś innych pasażerach? Albo o pasażerze?
- Pokręcił głową.
- Unikała odpowiedzi na to pytanie – powiedział.
 - Ale dlaczego?
 - Nie wiem. Jednak podczas naszych spotkań chciała, abym przedstawił scenariusze procesowe dla pasażera i dla kierowcy samochodu – wyjaśnił.
 - Karalność byłaby w obu wypadkach.
 - Tak, ale sama pani wie, że jeśli była w tym samochodzie i nie udzieliła pomocy ofierze wypadku, odpowiadałaby karnie za przestępstwo

zaniechania. Zasadniczo do trzech lat pozbawienia wolności – powiedział Obara. – Jednak za kierowanie tym samochodem, czyli nieumyślne spowodowanie śmierci i nieudzielenie pomocy...

– Ponoć przed wypadkiem audi jechało z niedozwoloną prędkością.

– Mówimy tu o karze wieloletniego więzienia.

Cisza.

– Niestety nic więcej nie wiem. Uprzedzałem, że przed sądem będzie musiała powiedzieć całą prawdę. Wymogłem na niej, żeby z nikim nie rozmawiała o wypadku tego chłopca. Myślę, że... – zawahał się i, tym razem chyba już świadomie, użył zmiętej poszetki do przetarcia czoła – nie dotrzymała tej obietnicy.

Dopiero po dwunastej, gdy Karolina gnała do Lawendy po zakończeniu porannych sesji jogi, żeby zaserwować lunch yuppie hipsterom z Soho, uświadomiła sobie, że od zaćmienia słońca minął już prawie tydzień.

I dopiero kiedy przetoczyła się największa fala chętnych na burgera rybnego z frytkami, miała czas na pierwszą tego dnia przerwę. Wyszła na dwór skorzystać z promieni słonecznych. Dobra pogoda panowała już od tygodnia, ale Karolina nie złapała brązu ani nawet czerwieni, jakby ten czas spędziła w lochu, a przecież niewiele jej było trzeba, żeby się opalić. W lecie bywała tak śniada, że zadziwiała gości Lawendy znajomością polskiego. Nabrała teraz ochoty na chwilę kontemplacyjnej samotności.

Jak zwykle nie wyszło. Okazało się, że aura uległa w międzyczasie zmianie i zrobiło się wietrznie. Na domiar złego podeszła do niej Justyna, studentka pobliskiej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Dziewczyna pomagała w knajpie w tygodniu, a kilka miesięcy wcześniej dała się poderwać menadżerowi o imieniu Mateusz i śliskich rękach. Z uśmiechem poinformowała Karolinę, że dostały pięćdziesiąt złotych napiwku.

– Ty dostałaś – mruknęła Karolina, myśląc o tym, że gdyby miała piersi Justyny, już dawno zarobiłaby na studia podyplomowe.

– Coś ty! – odparła kokieteryjnie dziewczyna.

– I nie chciał się z tobą umówić?

– Chciał. Ale go spławiłam.

– Aha. Czyli z Mateuszem wszystko dobrze?

– W zasadzie tak. W ogóle rozmawialiśmy dzisiaj trochę. – Justyna spłoniła się lekko.

– Aha – skomentowała Karolina. Była już znudzona ciągnącą się w restauracji telenowelą, w której od wieków główną rolę grał lokalny Rodrigo, czyli właśnie menadżer Mateusz.

– Ale nie rozmawialiśmy o nas.

– Rozumiem. – Karolina nagle stała się czujna. – To o czym właściwie?

Justyna przygryzła górną wargę.

– Czy chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie... – Zaczęła wycierać serwetką stolik jak zwariowana pedantka, którą z pewnością nie była.

Karolina przytrzymała ją za rękę.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – zapytała.

– To znaczy... yhh... może powinnaś wiedzieć, że Mateusz rozmawiał dzisiaj z policją.

– I?

– Pytali go, czy byłaś w pracy w walentynki.

Karolina wlepiała w nią spojrzenie.

– W walentynki?

– No tak. To znaczy w walentynki i dzień po walentynkach.

– Ale dlaczego? – zaśmiała się Karolina. – Przecież to było ponad miesiąc temu.

– Właśnie wiem.

– Kto to jeszcze pamięta!

– Dokładnie. I Mateusz też nie pamiętał. Więc kazali mu zajrzeć do notesu. Wiesz, jaki z niego jest bałaganiarz, powiedział, że nie prowadzi. Ale podobno nie odpuścili, kazali sprawdzić w skrzynce mailowej i esemesach.

– No i?

– No i znalazł.

– Co znalazł? Bo ja naprawdę nie pamiętam...

– No w sobotę cię nie było. Super, bo ludzie wysypywali się oknami – powiedziała Justyna, patrząc jej prosto w twarz.

Ale teraz to Karolina uciekła spojrzeniem.

– Aha – odparła. – No dobrze wiedzieć.

– Spoko, ja też bym już nie pamiętała. W każdym razie Mateusz prosił, żebym ci nie mówiła, ale wiesz...

– Dziękuję ci – powiedziała Karolina, odwracając twarz od koleżanki i otwierając butelkę wody gazowanej, którą wypła prawie duszkiem. – Oni zadają różne pytania.

– Wiem.

- Nie przejmuj się tym specjalnie.
- Okej. Ale wszystko jest dobrze, prawda?
- Tak – odparła.

A kiedy przelała się ostatnia fala gości lunchowych, Karolina poszła prosto do kuchni i szeptem zrelacjonowała Pawłowi rozmowę z Justyną. Spojrzał na nią znacząco i wzruszył ramionami.

- Nie mogę teraz rozmawiać – powiedział.
- Paweł...

Pokręcił głową.

- Karo, lepiej idź już stąd – poprosił.

Posłuchała go. Jak zwykle. Ale nie wróciła jeszcze do pracy. Skryła się przy stoliku w mniejszej z sal Lawendy, tuż za filarem. Żaden klient tam nie trafiał, a stolik stanowił znaną kryjówkę przed szefostwem.

Usiadła, opierając dłoń o brodę, drugą położyła na stoliku. Odczuwała wielkie zmęczenie, i to już od kilku dni. Zastanawiała się nawet, czy to coś normalnego.

Myślała intensywnie, a po chwili zorientowała się, że dłoń, która leżała na stoliku, pokryła się wilgocią. Pozostawiła ślady palców na blacie. Z jakichś powodów zdenerwowało ją to. Szybkim ruchem wytarła rękę o fartuch kelnerski i sięgnęła do nerki.

Dwadzieścia minut po rozmowie z Karoliną wreszcie mógł sobie pozwolić na jakąkolwiek przerwę. Wszedł na zaplecze, widok tutaj był inny niż od frontu. Zaśmieczone podwórze, zrujnowane zakłady przemysłowe mieszczące dość nieliczne punkty usługowe, a także szemrane magazyny oraz przechowalnie, w których równie dobrze ktoś mógł trzymać zwłoki.

Było szaro i rozhulał się ostry wiatr z północy; w pracy skarżyli się przez niego na brak energii. Przez chwilę obserwował, jak powietrze porusza wierzchołkami drzew i na pół odklejonym starym plakatem wyborczym.

Szła kolejna runda pytań o samochód Sary, tym razem policja rozpoczęła grę w podchody. Czyli już wiedzieli, co stało się 14 lutego na drodze

w Porębach Nowych. A to oznaczało dla niego tylko jedno. Urzeczywistniał się koszmar, który śnił każdej nocy po walentynkach.

Poczuł pulsujący ból głowy i słabość w mięśniach. Powracały te same pytania. Dlaczego nie potrafił zachować się wtedy inaczej i postąpił jak morderca? A śmierć tego chłopca poruszyła lawinę...

Poczuł, że brnie w bezsensowne rozmyślenia, co zabierało mu resztki energii. Zacisnął pięść, żeby się opanować. Tak naprawdę miał szczęście, że Karolina go ostrzegła, i powinien być wdzięczny, że jest w jego życiu. Ale nie mógł już liczyć na nic więcej.

Nagły, ostry podmuch wiatru przeniknął go aż do kości i Bartek Borewicz zapiął szczelniej kurtkę. A potem wyciągnął papierosa z paczki i zapalił. Udało mu się to dopiero od trzeciej zapalniczki. Spojrzał na budynek ATM, z którego wyszedł. A potem sprawdził wewnętrzną kieszeń kurtki. Po ostatniej rozmowie z policją wsadził tam paszport, przygotowując się na każdą ewentualność.

Nastąpiła.

– Karolina Moskał jest bez stałej pracy – oznajmiła Warwiłow, kiedy spotkali się z Chodkowskim w okolicach Wileńskiego, czyli dokładnie tam, gdzie się wychowywała. Teren wokół dworca był wciąż rozkopany przez budowniczych metra. Brnąc w błocie, tłumy przebijały się na dworzec, żeby dotrzeć do Marek, Ząbek i Zacisza. – Ciężka do weryfikacji na sto procent.

– Menadżer mówi, że nie było jej w walentynkowy wieczór w Lawendzie.

– Ma szereg innych fuch.

– Wiem.

– Jednak nie mamy żadnych danych świadczących, że wracała w sobotę z Duchowa.

– Ani że nie wracała – skwitował Chodkowski. – Prawdopodobnie jednak Moskał i Kosowski jeździli do Duchowa jednym autem. Mają samochód, stare renault. I jeśli audi Kosowskiej było na cztery miejsca...

– To nasi narzeczeni musieli podróżować razem. Szkoda, że nie mamy pewności odnośnie do Kosowskiego. Próbowaleś się dowiedzieć?

– Tak. Kuchnia w Lawendzie ma osobne kierownictwo, Kosowski sam jest tam szefem i ma pod kontrolą harmonogramy. Zaryzykowałem i spytałem menadżera. Nie wiedział, czy Kosowski był w pracy w walentynki, i nie miał tej informacji nigdzie zapisanej. Możemy się tego jakoś dowiedzieć, jednak dalszym wypytywaniem...

– Spłoszymy trzeciego pasażera audi – dokończyła Warwiłow.

Zapadło milczenie.

– Porucznik Borewicz? – zapytał Chodkowski.

Nie odpowiedziała. Może nie chciała, żeby to był on. Polubiła go. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Aspirant przygryzł górną wargę, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– Jeszcze nie wszystko mi się tutaj klei – podjął. – Kosowska miała wyrzuty sumienia, dlatego poszła do Obary?

– Może.

– Wierzysz w to?

Wzruszyła ramionami.

– Obara tak sugerował, a Hanna Stern potwierdziła, że jej stan psychiczny pogorszył się ostatnio i to mogło mieć związek z wypadkiem – powiedziała. – Przede wszystkim jednak głupio skłamała Marianowi Kalatowi. Było kwestią czasu, kiedy chłapnie, że niby to wracała z Duchowa dopiero w niedzielę. Ktoś to usłyszy, powie dalej. Ktoś inny zorientuje się, że miała w sobotę przedstawienie... I w końcu ktoś zada pytanie, czemu skłamała.

– Obara twierdzi, że nie wie, kto był w samochodzie, tak?

Potwierdziła.

– Czy to jednak możliwe? – kontynuował Chodkowski. – Sara była u niego kilkakrotnie.

– Dobrze kombinujesz. Przycisnęłam go, ale myślę, że nie dał mi wszystkiego. Nie złamał się. Dał tyle, ile musiał, więcej informacji mogłoby zniszczyć mu reputację.

– Chciałbym mieć takiego adwokata. W każdym razie...

– Wie albo nie wie – weszła mu w słowo Warwiłow. – Jeśli zdecydował się to ukryć, to już nam tego nie powie. Może jeśli sąd zwolni go z tajemnicy, a może nigdy. Sara kombinowała z Obarą, ale w końcu popełniła błąd. Podjęła próbę porozmawiania z pozostałymi... Ale po tej pierwszej próbie usiłowała ukryć kolejne wizyty u prawnika. Stąd wniosek, że rozmowa nie poszła zbyt dobrze.

Chodkowski pokiwał głową i zapadło milczenie. Warwiłow wyczuwała, że aspirant czeka na jej słowa. Wciąż jednak formułowała argumenty. Analizowała poszlaki. Myślała o tym wszystkim. O zaginionej stalkerce Marcie Jesionek. O Koktajlu, zaćmieniu słońca i darknecie. O kluczu do mieszkania Sary Kosowskiej.

– Powiedzmy, że Bartosz Borewicz nie tylko był w tym samochodzie, ale Sara poprosiła go o kierowanie – powiedziała.

– Ponoć rzadko prowadzi.

– Ważne, że ma prawo jazdy. Sara grała wieczorem przedstawienie, być może potrzebowała odpocząć i przygotować się do roli.

– Dlaczego nie Lutyński?

– Może już coś wypił... A gdyby po wypadku wszyscy przyznali się do winy, Sara i Lutyński mogliby liczyć na niższy wyrok, potencjalnie uniknąć więzienia. Borewicz jako kierowca poszedłby bezwzględnie siedzieć.

Chodkowski nie odpowiedział. Spojrzała na zegarek.

– Karol, rozpytujemy już od jakiegoś czasu – podjęła.

– Czyli?

– Czyli jeśli to Borewicz, to wie, że jesteśmy blisko. Musimy zaryzykować.

– Bez prokuratury?

– Tak.

– Wiesz, jakie będą konsekwencje kolejnego błędu.

Milczała jeszcze chwilę, czując na twarzy spojrzenie kolegi. Gdzieś, jakby z oddali, słyszała szurgot walizki po posadzce, odgłos zamykanych drzwi i szmer ekspresów do kawy.

– Wiem – powiedziała.

– I?

– Zgarniamy go.

Minęli kilka przecznic Targowej i piętnaście minut później dzwoniли do mieszkania Bartosza Borewicza na Kępczej. Warwiłow szarpnęła za klamkę.

– Co robimy? – zapytał.

– Telefon ma wyłączony.

– Może sąsiedzi mają klucze.

– Serio pytasz? – zaśmiała się nerwowo Warwiłow.

– Co?

– Chyba jeszcze za krótko mieszkasz w Warszawie. On pewnie nawet nie zna swoich sąsiadów.

– Dozorczyńni?

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że ma jego klucze? – Pokręciła głową. W brzuchu czuła rosnący niepokój. – Musimy tam wejść – powiedziała,

a potem pochyliła się nad otworem zamkowym. – Jest do kitu.

– Tak bez prokuratora?

– Musimy tam wejść – powtórzyła. – Rozpytywaliśmy o samochód i możemy już być spóźnieni.

Chodkowski niepewnie kiwnął głową.

– No to mamy dwie opcje – powiedziała Warwiłow. – Albo siłą.

– Albo?

Wzruszyła ramionami.

– Umiesz się tym posługiwać? – Wyjęła z kieszeni płaszcza stary wytrych Aleksandra Siergiejewicza. A widząc zaniepokojoną minę Chodkowskiego, dorzuciła: – A jeśli nie, to po prostu stań za mną.

Pomanewrowała i dostali się do środka. Nie było tam nikogo, spojrzęła na porozrzucane i pospinane w stosiki kartki.

– Bałagan.

– Ostatnio było jeszcze gorzej.

– Dzwon do ATM – poleciała, biorąc do ręki papiery i przejeżdżając palcami po zapisanych ręcznie, a także i komputerowo kartkach. Postaci, wersy, dialogi, tutaj rozgrywały się tysiące historii. Jaki miały związek z jej śledztwem?

Nachyliła się nad jedną z kartek. Podniosła ją i zaczęła czytać. Jakiś Adam rozmawiał z jakimś Piotrem i radził mu, żeby poderwał dziewczynę sztuką manipulacji. Piotr stawiał się, powołując się na szczerłość swojego uczucia, a cyniczny Adam oznajmił, że wszyscy jesteśmy tacy sami i takie same manipulacje oraz naciski na nas działają. Że każdy człowiek jest jak klawiatura.

Spojrzęła na Chodkowskiego: zakończył rozmowę i pokręcił głową.

– Borewicz był dzisiaj na zdjęciach w ATM-ie. Podobno ekipa jest wściekła – powiedział. – Godzinę temu nagle zniknął.

Karo zadzwoniła do niego, choć w jej głosie słyszał wahanie. Strach. A trzydzieści minut później Bartek Borewicz był już daleko od ATM-u.

– Jedźmy – powiedziała wtedy, w walentynki, Sara. Stali w Porębach Nowych w strugach deszczu. Po uderzeniu samochód zniosło ostro na prawo, zatrzymali się po kilkudziesięciu metrach. – Pewnie to był pies.

– Widziałem jakiś kolor – skomentował Lutek, a Borewicz pokręcił głową. Ruszyli i potem nie padły już żadne słowa. Następny przystanek zrobili w Warszawie.

Miesiąc później z ich trójki pozostał już tylko on.

Instynkt kazał mu zniknąć. Wynagrodzenie, które otrzymał kilka dni wcześniej od firmy producenckiej, powinno na to pozwolić. Co potem? Życ jak uciekinier, niczym bohater filmu sensacyjnego klasy D? Poczul, jak zimny wiatr wychładza mu wilgotne plecy.

Urealnij to, szepnął do siebie. Urealnij. Wciąż o nic go nie oskarżono, podejrzenie nie wystarczy na wystawienie listu gończego... I zniknięcie byłoby bezpieczniejsze niż przesłuchania i nieuchronne oskarżenie. Czy mógł cokolwiek zrobić, jeśli już znajdzie się na celowniku policji i opinii publicznej?

Skupił się na konkretach. W świetle prawa był wciąż niewinnym człowiekiem. W telefonie wszedł w wyszukiwarkę i poszukał jakiegoś szybkiego lotu poza Europę. Maroko. Samolot startował za trzy godziny. Nad Atlantykiem będzie mógł wtopić się w międzynarodowe towarzystwo skupione wokół fal.

Pod ATM-em złapał taksówkę, którą jakiś aktor podjechał po południu na próbę. Kierowca nie wyglądał zbyt pewnie. Borewicz nie widział jego profilu, tylko kawałek zarośniętej gęby. Legitymacja była tak porysowana, że nie mógł przeczytać nazwiska. Czy powinien kazać się zatrzymać? Naprawdę mi odbija, pomyślał, kładąc sobie rękę na czole. Czul, że z dawnej bystrości pozostała pustka.

Przez chwilę rozważał, czy nie zahaczyć o Kępną. Dlaczego nie wziął do studia swojego laptopa? W tych plikach było wszystko, spuścizna wielu lat samotniczej pracy scenariopisarskiej: własnoręcznie opracowane schematy, kilkadziesiąt motywów fabularnych, luźne notatki zawierające myśli o trzeciej nad ranem – często na wagę złota, a także najbardziej pomysłowe zwroty akcji. Gdzieś w tych notatkach wykuł się już załączek dobrego filmu, były w nich potencjał i trampolina do sukcesu. Bogaty, własnoręcznie wypracowany i wyjątkowy warsztat. Jego odtworzenie trwałoby latami. I nigdy by nie wiedział, czy ten najlepszy scenariusz, ten, który miał go wywindować na szczyt, gdzieś tam się właśnie nie zapodział...

– Nie – szepnął do siebie.

– Słucham? – zapytał uprzejmy taksówkarz.

– Na Okęcie – powiedział.

Pieprzyć nagrania i zlecenia. Pieprzyć projekt filmu. Zamknął oczy, a dwadzieścia pięć minut później zatrzymali się przy hali odlotów.

– Nie mogę tutaj stać – zagaił uprzejmie taksówkarz. – Dobrze się pan czuje?

Nie mógł się poruszyć. Wyjazdem rzucał na siebie jeszcze głębsze podejrzenie. Ale pozostanie oznaczało więzienie, a polskie więzienie oznaczało dla niego śmierć. Pytaniem, pytaniem zatykającym oddech, była tylko wysokość kary.

– Wysiada pan? – zapytał mężczyzna.

– Tak. – Borewicz wręczył mu pięćdziesiąt złotych.

– Strach przed podróżą? – Dopiero teraz taksówkarz odwrócił się, wydając mu dwadzieścia złotych reszty.

– Nie... Dziękuję – odparł Borewicz i wysiadł z samochodu. Szybko, żeby się nie rozmyślić. A chwilę później wpisywał w automacie dane, usiłując wydrukować swoją kartę pokładową.

Miał ze sobą tylko plecak, skierował się prosto do bramek. Nie wyjął z niego wody i kiedy podszedł celnik, myślał, że już po wszystkim. Przez moment nie docierało do niego, kiedy facet pytał, czy wyrzucić, zdołał wydusić z siebie niepewne potwierdzenie.

Poszedł do gate'u. Usiadł na ławce w samym kącie poczekalni, wgapił się w płytę lotniska. Jeszcze godzina, jeszcze pięćdziesiąt, jeszcze czterdzieści pięć minut do wejścia na pokład. Powtarzał w głowie nazwy linii lotniczych, żeby zająć czymś umysł, za często nie patrzeć na zegarek i nie zwracać przez to na siebie uwagi. A kiedy na bramce 47 rozpoczął się jakiś ruch, ustawił się w samym środku kolejki.

Obserwował obsługę lotu – mężczyznę i kobietę. Jeszcze nie wpuszczali na pokład, rozmawiali o czymś. Mężczyzna wyglądał, jakby kogoś szukał... Czy policja miała wstęp na terminal? Musiała mieć, to logiczne, że musieli. Kolejka szła nieco za szybko i czuł, że nogi ma jak z waty. Wyciągnął kartę pokładową i dowód osobisty. Stewardesa przyjęła dokumenty, a potem spojrzała na niego uważniej.

– Przepraszam pana – powiedziała.

Zamarł.

– Czy ma pan ważny paszport?

– Przecież ja... – Ale wtedy jego wzrok skierował się na to, co trzymał w dłoni. Pieprzony dowód. – Oczywiście – wymamrotał, grzebiąc w kurtce, palce nagle miał jakby dwa razy grubsze.

– Na tym to tylko w strefie Schengen – powiedziała kobieta z uśmiechem.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Nic się nie stało – odparła bardziej stanowczo, oddając mu dokument i przypatrując mu się uważniej. – Czy dobrze się pan czuje?

– Tak.

– W takim razie prosimy już o przejście dalej.

Borewicz skierował się w dół, prosto do autobusu lotniskowego. Wcisnął się w kąt między kierowcą a rodziną dwa plus dwa, której ojciec wyglądał na niezwykle zmęczonego.

Wysiadł. Na płycie lotniska ostro wiało chłodem. Wszedł po schodkach do samolotu, okazał swoją kartę pokładową i od razu skierował się w prawo. Miejsce 40 c, korytarz. Wpakował plecak, swój jedyny bagaż, pod fotel i usiadł.

Samolot był wąski, niewygodny i zatłoczony. Borewicz zerknął na zewnątrz: zmierzch zaczynał już zapadać nad Okęciem, lakier na samolotach odbijał zachodzące słońce. O północy powinien już wylecieć poza Europę, to najważniejsze. Stewardesa, ta sama co poprzednio, uśmiechnęła się do niego krzepiąco.

– Boi się pan latać? – zapytała.

– Nie... może trochę – podłapał.

– Pilot jest bardzo doświadczony. Mogę przynieść później coś do picia z naszej oferty.

– Tak, może później. – Odwrócił wzrok, miał wrażenie, że w oczach dziewczyny dostrzegł cień urazy.

Ludzie pakowali walizki do schowków, przepaszając się nawzajem, ktoś wybuchnął głośnym śmiechem. Borewicz obrócił spojrzenie w stronę okna, żeby nikt więcej go nie zagadywał. Przez chwilę w roztargnieniu szukał telefonu, żeby włączyć tryb samolotowy, po czym przypomniał sobie, że komórka wyłądownała w śmietniku przed halą odlotów.

Spojrzał na zegarek, jeszcze nie mieli opóźnienia. Wbrew ogólnemu zamieszaniu sekundy i minuty pełzły. Zapiął pas i usiłował się wyciszyć. Może jednak poprosi o whisky, może nawet trochę się upije, pomyślał, wsadzając dłoń pod udo, żeby nie było widać, jak drży.

Ludzie usiedli, zrobiło się już cicho. Jeszcze chwila, pomyślał Borewicz, wciąż wyglądając przez okno. Moment, kiedy koła ruszą, a samoloty za oknem zostaną w tyle. A potem kolejny, kiedy wzbiją się w powietrze, a on sam jak zwykle zaśnie i obudzi się dopiero, kiedy będą już w chmurach.

Zamknął oczy. A potem otworzył je i spojrzał na obsługę samolotu: jeszcze tylko oni stali. Nie zajęli swoich miejsc.

W pomieszczeniu straży granicznej na Okęciu Bartosz Borewicz wyglądał na jeszcze chudszy niż zwykle. Warwiłow zaryzykowała: skontaktowała się ze służbą na lotnisku. Trafiła, zdążyli wpuścić Borewicza na terminal, ale nie pozwolili mu wylecieć. Miała tylko nadzieję, że ta interwencja nie przedostanie się do mediów: wystarczająco już nabruździły w tej sprawie.

– Dlaczego pan się wybierał za granicę? – zapytała.

Wpatrywał się w posadzkę wyłożoną białymi płytami z czarną fugą.

– Nie powie pan?

Milczał.

– W takim razie ja będę mówić za nas dwoje. 14 lutego samochód na warszawskich tablicach potrącił w Porębach Nowych dziesięcioletniego chłopca, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Chłopiec zmarł w szpitalu. Świadkowie widzieli oddalające się audi i jestem pewna, że należało do Sary Kosowskiej.

Cisza.

– Był pan w tym samochodzie – powiedziała.

Wciąż nie reagował.

– Myślę, że prowadził go pan, wiedział pan, że grozi panu poważna odsiadka. A potem dowiedział się pan, że Sara zamierza pójść na policję. Od niej samej. Po rozmowie z prawnikiem namawiała pana, żeby pan również się przyznał. Zamiast to zrobić, ułożył pan plan zbrodni: najpierw wynajął pan prywatnego detektywa, żeby namierzył stalkera Sary. Łowcę postanowił pan zmienić w zwierzynę, a konkretnie kozła ofiarnego. I tą stalkerką naprawdę była Marta Jesionek, dziewczyna z piątkowego poranka. Wszedł pan w posiadanie nembutalu, pewnie za pośrednictwem darknetu, a w dniu zaćmienia sprowadził pan tę dziewczynę do mieszkania... Co pan na to?

Cisza.

– Taki był pan pracowity przez cały ten czas, a teraz pan milczy.

– Właśnie tego chcecie, prawda? – oznajmił nagle. – Zeznań, żeby potem nimi manipulować. To kłamstwa. Nawiasem mówiąc, Lutek poderwał tę dziewczynę w Koktajlu.

– Z pewnością tak chciał pan wszystkim wmówić. Przecież nie interesują pana kobiety.

Pokręcił głową.

– Przewidywał pan, że po śmierci Sary policja szybko zidentyfikuje Martę Jesionek jako stalkerkę. Zwłaszcza że Kosowskiemu zamierzał pan zapewnić alibi.

– Bo?

– Jest pana przyjacielem. I to miało się rozegrać dokładnie według pana scenariusza. To nie Lutyński odwrócił pana uwagę przy robieniu frappé, to pan je zatrął. Jednak Marta Jesionek pokrzyżowała panu plany, kradnąc rzeczy Sary i wychodząc z mieszkania, zanim poszłicie po łód. Tak – powiedziała, widząc, jak zmienia się twarz Borewicza – wiem, że pan tego nie wiedział. Miał pan swoistego pecha. A potem, kiedy w mediach pojawiła się informacja o planowanym aresztowaniu Lutyńskiego, przestraszył się pan, że Lutyński opowie o wypadku w walentynki. Zwabił pan go na Bródno, gdzie pan go zabił.

– Niby jak? Czym? – przerwał Borewicz.

– Pistoletem Sary. Zabranym z jej mieszkania.

– Miała broń? – uśmiechnął się krzywo. – Zresztą klucze do jej mieszkania ma Paweł.

– A pan nie ma przypadkiem kluczy do jego mieszkania?

Zamilkł.

– Tak myślałam – powiedziała. – Wszedł pan tam pod jego nieobecność, zabrał i dorobił klucze Sary. To proste... Nie mógł pan za to ryzykować, że Lutyński opowie prawdę o tym, co wydarzyło się w walentynki. Poza tym z pewnością podejrzewał coś po śmierci Sary. A wraz z jego śmiercią zniknął ostatni świadek wypadku. – Uspokoila oddech.

Borewicz wbijał wzrok w ziemię.

– Pozostaje więc pytanie, gdzie ukrył pan broń Sary Kosowskiej. Czy praska policja powinna przeszukać Las Bródnowski?

– Po pierwsze – odparł – to wszystko pani przypuszczenia. Po drugie, wiem, że bez tej broni nigdy nie postawicie mi oskarżenia. Po trzecie, chcę mojego adwokata. Bez niego nie powiem nic więcej. – Zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

Odwróciła się i zerknęła na Chodkowskiego; milczeli teraz wszyscy troje i zdawało jej się, że słyszy odgłos owada krążącego pod lampą jarzeniową.

– Część z tego to hipotezy – powiedziała. – Jednego jestem jednak pewna.

– Czego?

– Na pewno nie przewidział pan wszystkiego.

W piątek rano Paweł wyszedł na papierosa. Przez okno balkonu na Mińskiej zobaczył, że pod budynkiem zatrzymuje się srebrny sedan i wychodzi z niego Nina Warwiłow. W ruchach policjantki było jakby mniej energii, a kiedy kilka minut później pojawiła się w ich salonie, dostrzegł, że jest zmarnowana; przydałby się jej masaż twarzy u Karoliny. Paweł spoczął w fotelu, czując na karku powiew chłodnego powietrza, Karolina usiadła na kanapie, a policjantka zajęła krzesło. Przyszła sama i przez chwilę miał wrażenie, jakby była ich znajomą. Zburzyła je swoimi pierwszymi słowami.

– Ktoś z was ostrzegł wczoraj Bartosza Borewicza – powiedziała. – Nie ma innej możliwości.

– Nie rozumiem – zapytał. – Co z nim?

– Chciał uciec, zatrzymaliśmy go na lotnisku – odparła Warwiłow. – W tej sprawie było już dość zagadek, nie zamierzam tracić czasu na nowe. Więc które to z was? – Przesunęła spojrzenie z twarzy na twarz.

– Ja – oznajmiła cicho Karolina. – Ja to zrobiłam.

Warwiłow pokiwała głową.

– Powie mi pani dlaczego?

Karolina milczała.

– Dlaczego? – ponowiła policjantka, a wobec braku odpowiedzi oznajmiła: – W takim razie ja pani powiem. Bo wiedziała pani, że to Borewicz wracał z Duchowa w walentynkową sobotę.

– Czy wtedy... – zawahała się Karolina. – Czy coś się stało?

– Tak – powiedziała Warwiłow. – Doszło do wypadku.

Cisza.

– Zostało potrącone dziecko, dziesięcioletni chłopiec – dodała. – Wiedzieliście o tym?

– Nie – odparł Paweł. Spojrzał na Karolinę. Pomyślał, że coś się w niej łąmie.

– Ja też nie wiedziałam – szepnęła. – Wczoraj zorientowałam się, że wypytujecie o walentynki. I pomyślałam, że powinnam ostrzec Bartka. Czy

ten chłopiec, to dziecko...

– Nie żyje.

– Och – jęknęła Karolina.

Warwiłow wpatrywała się w nią cierpliwie.

– Czy to na pewno...

– Tak, to był samochód Sary. Więc odpowiedzcie sobie na pytanie, czy był w nim Borewicz i czy nadal chcecie go kryć.

Cisza.

– Człowieka, który następnie zamordował Sarę Kosowską i Michała Lutyńskiego.

Paweł drgnął. Karolina położyła mu dłoń na kolanie.

– To straszne – powiedziała powoli. – Ale chyba czułam, że w walentynki stało się coś złego. Coś, po czym w naszej piątce wszystko się popsuło. Jakby jakiś pasożyt wszedł do środka. A Sara pokłóciła się z Bartkiem i Lutkiem jakiś czas temu... Nie powiedziała mi o co.

– Może o to, że zamierzała się przyznać – zasugerowała Warwiłow, a po chwili milczenia dodała: – Skąd pomysł na nakręcenie filmu z zaćmienia? To naprawdę wyszło od was?

– Mógł to podsunąć Bartek – powiedział Paweł. – Nie wszystko pamiętam z tego piątku.

– Chciał nas chronić? – zapytała Karolina.

– Może. A może scenariusz zakładał innego kozła ofiarnego – odparła Warwiłow. – Więc gdzie byliście w walentynki? Skoro tak szczerze rozmawiamy.

– Zostaliśmy w Duchowie.

– Dlaczego, skoro inni odjechali?

– Właśnie dlatego, że były walentynki. Sara, Lutek i Bartek zostawili nas, żebyśmy spędzili je sami, Paweł przygotował kolację.

Komisarz pokiwała głową.

– Pamiętacie, kto prowadził samochód Sary tego dnia? – zapytała.

– To było już ponad miesiąc temu – powiedziała Karolina.

– A czy to nie w walentynki Sara cały dzień dudliła z Lutkiem redd'sy? – zapytał Paweł. – Przecież żartowaliśmy, że będzie grać zalana.

To nie było wtedy?

– Może – przyznała Karolina. – Tak, chyba masz rację.

Nagle obydwójce zamilkli.

– Dziękuję – powiedziała Warwiłow.

– Czy nasze zeznania... – Karolina urwała.

– Wystarczą, żeby Bartosz Borewicz został skazany? Nie wiem. Znacznie lepiej byłoby znaleźć broń, z której zamordowano Michała Lutyńskiego.

– Chryste – powiedział Paweł.

Zapadła cisza.

– Bartek mógł to zrobić, wierzę pani – przerwała jej nagle Karolina.

– Karo... – Paweł spróbował wejść jej w słowo, ale nie dała sobie przerwać.

– Nie powinnam go ostrzegać – powiedziała. – Nie zrobiłabym tego, gdybym wiedziała, że potracili jakieś dziecko. Że zabił Sarę. – Głos jej się lekko załamał. – I Lutka. I wiem, że to teraz dziwnie zabrzmie, Bartek nie jest zły, ale panicznie boi się więzienia. Kiedyś o tym rozmawialiśmy, ze względu na orientację byłoby mu wyjątkowo ciężko. Powiedział, że gdyby go za cokolwiek skazali, popełniłby samobójstwo.

Cisza.

– Myślę, że mówił serio – dodała. – I niedawno otrzymał w końcu propozycję nakręcenia filmu pełnometrażowego. Producent załatwił już pieniądze z PISF-u i negocjował z telewizją. Znał spoty reklamowe Bartka i wiedział, że jest bardzo dobry, wierzył w niego. Bartkowi scenariusz średnio pasował, podobno był pod publiczność, ale twierdził, że to może być przełom...

– Z więzienia by tego nie zrealizował – powiedziała policjantka.

Zamilkli teraz wszyscy. Paweł czuł niebywały ciężar, nawet dłoń Karoliny teraz mu ciążyła.

– Czy to już koniec? – zapytała dziewczyna.

– Dla was tak – odparła Warwiłow.

W sobotę Nina zapakowała prowiant do mazdy, planując dłuższą kilkugodzinną wyprawę i późny powrót.

– Jeśli wyjeżdżasz z miasta... – powiedział Tomek, z którym zdążyła odbyć krótką rozmowę telefoniczną.

– Nie, nie mogę jej zabrać – ucięła.

– Ale umówiliśmy się trochę inaczej. Agnieszka powiedziała...

– Posłuchaj – weszła mu w słowo – dopóki nie zrobicie dzieciaka, to jedynym, którego masz, jest Mila. I może postaraj się wykorzystać chwile, które z nią spędzasz.

Z Warszawy Nina skierowała się na północ. Wyłączyła telefon. W samochodzie towarzyszyły jej na zmianę Aimee Mann i Anita Lipnicka. Koncentracja na drodze i muzyce była relaksująca, musiała choć na chwilę oderwać się od strumienia myśli.

A kiedy dotarła w końcu na pojezierza, zatrzymała się, by skorzystać z łazienki i zjeść zapiekankę ze stacji, wykonała też kilka telefonów. Dojechała do granic Brodnickiego Parku Krajobrazowego, a pół godziny później we wsi Kieruty skręciła w prawo, następnie jeszcze raz w prawo. Łup, łup – podwozie przywalało o pierwszy kamień. Czemu ludzie wybierali na życie takie wygwizdowy?

Droga po ostatnich deszczach była jeszcze do tego błotnista i w pewnym momencie Warwiłow miała wrażenie, że mazda nie da już rady. Dała, a Nina dotelepała się w końcu do domku wyglądającego jak z bajki.

Stał na małej polance, grube czarne bale przełożono białym wypełnieniem. Drewniane budynki gospodarcze wydawały się zadbane, na podwórzu rosły rozłożyste klony. A na ganku siedział długowłose mężczyzna z brodą. Wysiadła i przedstawiła się. Nie wyglądał na zdziwionego.

– Tak, pamiętam naszą rozmowę – powiedział.

– Żona jest w domu?

– W sadzie.

– Chcę porozmawiać z pana córką.

– Nie ma jej.

Pokiwała głową.

– Czy pan sądzi, że ryzykowałabym trzy godziny jazdy na próżno? Policja w Iławie na moją prośbę zrobiła rozeznanie i wiem, że Marta pojawiła się we wsi.

– Tu?

– Tak. Proszę ją przyprowadzić – powiedziała. – I to nie jest prośba.

Milczał przez kilka kolejnych sekund.

– Jest razem z moją żoną – rzekł w końcu.

Pokiwała głową, ale zerknęła na dom.

– Jeśli pan mnie okłamuje...

– Nie, nie okłamuję – odparł, a w jego głosie wybrzmiała rezygnacja.

Za domem ciągnęły się szeregi drzew, pachniało mokrą ziemią. Dopiero po chwili dostrzegła matkę z córką, w odległości stu, może dwustu metrów. Podchodząc bliżej, słyszała, jak gawędzą, przestały, kiedy ją dostrzegły. Pani Jesionek, mocno zbudowana blondynka, wysunęła się naprzód. Za jej plecami Warwiłow zobaczyła Martę Jesionek w ogrodniczkach.

– Kim pani jest? – zapytała jej matka.

Warwiłow przedstawiła się i wylegitymowała, a potem skierowała spojrzenie na Martę.

– Nie chcę pani zrobić krzywdy – powiedziała. – Tylko porozmawiać. Przejdźmy się.

Pani Jesionek wyraźnie miała coś jeszcze do powiedzenia, znużona Nina dodała jednak:

– To nie jest rozkaz, ale nie jest to prośba.

Kobieta pozostawiła je same, zaczęły iść skrajem sadu.

– Czy mogę do ciebie mówić Marta?

– Okej.

– Jak chcesz, możesz mówić mi Nina.

A kiedy dziewczyna pokiwała głową, zapytała:

– Jak to się zaczęło?

– Co?

– Twoje nękanie Sary.

Marta Jesionek milczała, wbijając dłonie w przybrudzone ogrodniczki.

– Skróćmy to – powiedziała Warwiłow. – Wiem, że stalkowałeś Sarę.

Interesuje mnie odpowiedź na pytanie, jak to się zaczęło.

Dziewczyna wciąż nic nie mówiła.

– Nie mam tyle czasu – oznajmiła Warwiłow.

– Spotkałyśmy się kiedyś.

– Gdzie?

– Na castingu. Byłam tam statystką, Sara też czekała na jakieś przesłuchanie. I była taka ludzka, opowiedziała mi, że jej nie idzie. Poszłyśmy potem na kawę, wysłuchałam jej i...

– I?

– Myślałam, że się zaprzyjaźniłyśmy, dała mi nawet swój numer telefonu.

– Kiedy to było?

– Trzy lata temu.

– Spotkałyście się później?

– Nie.

– Co było dalej?

– Raz odebrała, ale potem zablokowała mój numer. Pisałam też esemesy. Te również zablokowała.

– I? Przecież to się zdarza.

Jesionek poczerwieniała.

– Myślałam, że zostaniemy przyjaciółkami.

– Co potem zrobiłaś?

Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię.

– Listy z pogroźkami? Groźby? – zapytała Warwiłow.

Taki właśnie był problem z poczytalnością. Teraz Marta Jesionek sprawiała wrażenie zrównoważonej, może nawet racjonalnej. Aby potem, w zaciszu własnego komputera, wysyłać groźby śmierci. A bystry, przystojny Bartosz Borewicz zabił trzy osoby, w tym dwie z zimną krwią. Dwie, które znały go od lat i z którymi wiązała go przyjaźń. Nikogo nie można być pewnym na sto procent.

- Wiesz, dlaczego to zrobiłaś?
- Nie wiem... Może czułam się wtedy lepiej.

Zatrzymały się na skraju sadu. Stąd ciągnęły się pola uprawne, a nieco dalej rozpoczynał się las.

- Czy pójde do więzienia? – zapytała dziewczyna.
- Za nękanie grożą trzy lata.

Pod okiem Marty pojawiła się łza. Warwiłow się wahała. Kosowska nie żyła. Pomyślała o nieprzyjemnych wyborach moralnych.

– Opowiedz mi jeszcze o zaćmieniu słońca, Marta. Jak to się odbyło? Nie pojawiłaś się w Koktajlu przypadkowo, prawda?

– Nie, nieprzypadkowo.

– Czy otrzymałaś jakąś wiadomość? Powiedz wszystko po kolei. To zadziała na twoją korzyść.

– Na fanpejdzu Sary poznałam chłopaka, z którym zaczęłam korespondować.

– Jak się nazywał?

– Piotrek. Teraz myślę, że to było fikcyjne konto.

– Bardzo możliwe.

– Zaczęliśmy czatować. I napisał mi, że Sarę w ten czwartek będzie można spotkać w Koktajlu.

– Znałaś to miejsce?

– Wszyscy znają. Poszłam. I rzeczywiście Sara tam była. Nie poznała mnie, ale podszedł do mnie Michał, ten, który nie żyje, i ten drugi, przystojny...

– Borewicz.

– Zgadza się. Byli bardzo mili. I widziałam, że są znajomymi Sary. A ja chciałam być blisko niej. Zaproсили mnie na wódkę. Michał zaczął się mną interesować... potem zaprosili mnie do domu. Właśnie to było dziwne, bo w pewnym momencie wydawało się, że pojedą beze mnie, ale ktoś szepnął, żebym pojechała z nimi i... potem było tak, jak pani mówiłam.

– Z wyjątkiem tego, że okłamałaś nas później na Obozowej.

– Ja... przepraszam. Czy ten Borewicz... widziałam w mediach, że go zatrzymano...

– Spróbujemy to sprawdzić, ale myślę, że właśnie z nim korespondowałeś. To on był Piotrkim. Jest też mordercą, a ty miałeś posłużyć za kozła ofiarnego. Miałaś wiele szczęścia.

Marta Jesionek pokiwała głową. Wyglądała dziecinnie, zwłaszcza w tych ogrodniczkach.

– Czy może pani o tym nikomu nie mówić? – zapytała.

– O czym?

– No, o moim zachowaniu. Czy to może zostać... między nami?

Warwiłow westchnęła. Po jednym z cięższych tygodni życia ten dzień okazał się jakimś sposobem jeszcze cięższy.

– Nie, Marta, nie może – powiedziała. – Popełniłaś przestępstwo i nie ma gwarancji, że nie postąpisz podobnie. Jest za to szansa, że prokurator wystąpi o niski wyrok.

– Prokurator? O Jezu. – W oczach dziewczyny zalśniły łzy.

– Zrobiłaś coś złego i musisz ponieść konsekwencje. Jest szansa, że te konsekwencje nie złamią ci jednak życia, być może nawet nie pójdziesz do więzienia. Warunek jest taki, że musisz nam udostępnić absolutnie wszystko. Więc jeśli jeszcze kogoś nękaś...

– Nie, oczywiście, że nie.

– Jeśli to ukryjesz, na sto procent pójdziesz siedzieć – ostrzegła. – Przykro mi, ale chcę ci pomóc. Dlatego ci to wszystko mówię. Czy to jest jasne?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Warwiłow westchnęła. Poczua się za miękka na pracę psa gończego.

– Czy pani chce mnie aresztować? – zapytała Marta Jesionek.

Warwiłow milczała.

– Przecież nie zmusi mnie pani, żebym sama poszła na policję... – szepnęła dziewczyna.

– Całe szczęście nie.

– Nie rozumiem.

– Pod domem twoich rodziców czeka już ławska policja. Doprowadzą cię do Warszawy. Proszę, zapamiętaj wszystko, co ci powiedziałam. Bo

następnym razem jak się spotkamy, będę dla ciebie komisarz Niną Warwiłow.

Martę Jesionek posadzono w radiowozie, a jej rodzice patrzyli na tę scenę z zaskakującym stoicyzmem – może dlatego, że Warwiłow zdążyła z nimi chwilę porozmawiać.

Oceniała, że z transportem do Warszawy będzie znacznie mniej pracy niż z wytropieniem dziewczyny. Ledwo powłóczyła nogami. Ale może to była gra? Wbrew pozorom po przesłuchaniu na Obozowej wydawało się, że Jesionek miała jednak trochę talentu i umiejętności aktorskich.

Do Warszawy Warwiłow dotarła dopiero wieczorem. Odebrała Miłę od Tomka, zbierając przy tym mnóstwo krzywych spojrzeń od jego dziewczyny. Dlaczego związał się z taką jędzą? Agnieszka nie była nawet specjalnie interesująca, choć bardzo w typie jej byłej teściowej.

Połowę niedzieli Nina czytała Mili książeczki, a drugą przespaa z nią na kanapie. Dopiero pod wieczór zadzwoniła do Gratkowskiego, informując go o zatrzymaniu Marty Jesionek i dziękując za informacje, których jej dostarczył. A kiedy w poniedziałek odwoziła małą do przedszkola, w końcu czuła się odrobinę wypoczęta – zwłaszcza że wizytę w szpitalu przeniosła na wieczór.

Z Saskiej Kępy, gdzie odstawiła Miłę, Warwiłow udała się prosto na Bródno: poniedziałek był dniem pogrzebu Sary Kosowskiej i już przedtem zaplanowała, że się na niego wybierze. W ciągu tego tygodnia zaczęła odczuwać nawet pewien związek z dziewczyną, której życie wcale nie wyglądało na szczęśliwe.

Na cmentarzu panował chłód, przynajmniej znowu wyszło jednak słońce. Kilkaset osób maszerowało gęsiego wąską alejką. Ten orszak pogrzebowy był niezwykle rozmowny, Warwiłow czuła w powietrzu zapach potu, perfum i ekscytacji.

Na miejscu, przy grobie rodziców Sary, gdzie najwyraźniej miała zostać pochowana, Warwiłow stanęła pod rozłożystym konarem świerka, chroniąc się nieco przed słońcem. Ludzi było wciąż sporo, choć do samego miejsca

pochówku dotarło ich jakby trochę mniej – a tuż przy grobie stali Karolina Moskal i Paweł Kosowski.

Obserwowała małpowatego grabarza, który wskoczył do dołu i ubezpieczał trumnę. Kiedy wykonał swoją robotę, sześciu facetów w jednakowych garniturach zaczęło się kręcić jak frygi, zbierając kwiaty od tłumów i kładąc je na grobie.

Zapomniała, że jeden pogrzeb to praca tylu ludzi. Ile to wszystko mogło kosztować? I jakie opłaty są z tym związane, kto zbiera kasę za śmierć? Czy można liczyć na jakieś ulgi? Coś pojawiło się w jej głowie w związku ze śledztwem, ale zaraz potem umysł przeskoczył na sprawy prywatne. Na Instytut Kardiologii, ojca w śpiączce. Kaśliwe myśli zaczęły krążyć w jej głowie i zmusiła się, żeby je przerwać.

Opuściła cmentarz przed końcem ceremonii i podjechała na komendę. Areszt Bartosza Borewicza został przedłużony przez sąd, wciąż jednak brakowało dowodów. Nie zażądała jeszcze od Białka ekipy do przeszukania Lasu Bródnowskiego, choć była pewna, że na tym się skończy.

Zerknęła na niedokończony raport. Po porannej odprawie jej szef nad wyraz uprzejmie poprosił o napisanie go. Od czego jednak zacząć? Na pewno od uwypuklenia udziału Chodkowskiego. Gdyby nie on, nigdy nie dotarłaby do wypadku w Porębach Nowych.

Zacząła pisać, ale już po dwudziestu minutach odsunęła się z krzesłem od biurka. Pieprzona biurokracja, marnowała tylko czas. Zamiast papierów powinna szukać dowodów, ratować tyłek Stassberga, wypełniając jego akt oskarżenia... Kosowski i Moskal zgodnie zeznali, że Borewicz wyjeźdżał w sobotę 14 lutego z Duchowa, co oznaczało, że na sto procent uczestniczył w potrąceniu Dominika Marciniaka. Ale skazanie sprawcy dwóch morderstw za udział w wypadku samochodowym przypominało posadzenie Ala Capone za zaległe podatki... Nagle zastygła. Podatki, tak, tutaj coś było. Opłaty.

Uchwyciła myśl z pogrzebu Sary, teraz zawibrowała jej w głowie. I połączyła to z faktem: nembutalem, którego użyto do zamordowania Sary Kosowskiej.

Sto tysięcy paczek wędrowało codziennie do Polski z Chin, przesyłka z nembutalem była przesłana jako towar legalny i tak zakamuflowana, żeby przejść przez skaner. A co, jeśli adresata wezwano do złożenia deklaracji celnej? Brak podatku VAT na towarach z Chin z roku na rok stawał się coraz większym problemem. Polskie firmy padały na pysk, bez szans w starciu z konkurencją z Kraju Środka, skąd masowo wysyłano tani sprzęt elektroniczny i wszystko inne, co można było sprzedać nad Wisłą.

W rezultacie służba celna coraz częściej żądała informacji, czy nieopodatkowany „prezent” naprawdę jest prezentem. Oczywiście rzecz była rozwojowa, w Lublinie planowano zbudować ogromny urząd przeznaczony do kontroli przesyłek z Chin, już teraz jednak celnicy zatrzymywali sporą część paczek. Musiały znaleźć się w rejestrach, sprawę należało przemielić biurokratycznie...

Wstała, żeby pobudzić myślenie. Wypróbowaną metodą przyjęła, że to dopiero początek dedukcji: analizowała dalej. W zasadzie dlaczego od początku uparli się na Chiny? Podsunął to Chodkowski, myśląc o darknecie i AliExpress, ale przecież lista krajów produkujących nembutal była większa. Sami związali sobie tym ręce, jak znaleźć truciznę w morzu badziewia, które każdego dnia nieprzerwaną falą płynęło do Polski... Może uderzyć w te mniej standardowe kierunki, gdzie również produkowano nembutal, takie jak Tajlandia, a nawet Peru? Może od takich przesyłek również zażądano zapłaty cła?

Zleciła to Chodkowskiemu, jeśli ktoś mógł szybko uzyskać takie informacje, to tylko on. Sama wróciła do raportu w sprawie Sary Kosowskiej. Wszędzie tam, gdzie mogła, uwypuklała rolę starszego aspiranta. Pisała jeszcze ze dwie godziny, południe płynnie przeszło w popołudnie. W zasadzie, pomyślała na koniec, teraz to wygląda tak, jakby to on rozwiązał sprawę śmierci Sary Kosowskiej.

– I dobrze – szepnęła, zmordowana, ale zadowolona.

Potrzebowała odetchnąć, wyszła na zewnątrz. Parking i teren przed komendą wreszcie opustoszał. Teraz, kiedy pracowano nad oskarżeniem Borewicza, cyrk medialny przeniósł się pod prokuraturę. A kiedy wróciła

po kolejnych piętnastu minutach, Chodkowski był już w jej pokoju. W dłoni trzymał kartkę papieru.

– Rany, gdzie byłaś? – zapytał. – Zostawiłaś telefon na biurku.

– Korzystałam ze słońca – powiedziała lekkomyślnie i dopiero teraz dotarło do niej, że Chodkowski jest zdenerwowany. – Co się dzieje?

– Na początku nic nie ugrałem. Ale potem pomyślałem: dlaczego ograniczyliśmy się do Warszawy? Dodałem od siebie inny filtr. Duchów.

– Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze... – zaczęła, ale bez pardonowo wszedł jej w słowo:

– Można było odebrać przesyłkę w Duchowie, skoro bywali tam tak często – powiedział. – Zawsze to bezpieczniej. Służba celna przesłała mi listę przesyłek do Duchowa, które wezwano do złożenia deklaracji. Nie jest długa. Spójrz. – Wręczył jej wydruk.

Spojrzała na kartkę i ponownie na Chodkowskiego. Dopiero teraz odnotowała, że przyniósł ze sobą płaszcz.

Miesiąc wcześniej do Duchowa przysłała zagraniczna przesyłka z kosmetykami naturalnymi.

Jej adresatem nie był jednak Bartosz Borewicz.

Po pogrzebie Sary Karolina wywiozła Pawła z Warszawy. Jak co poniedziałek miał wolne, sama też załatwiła sobie urlop. Jej narzeczony był kompletnie bezwolny i zadanie, jakie sobie postawiła, to żeby nie wpadł w kolejny ciąg. Duchów, z dala od drogi, od sklepów, od ludzi, nadawał się na detoks znacznie lepiej niż Warszawa.

Marian Kalat napalił w piecu, bo wyraźnie się ochłodziło, i dom powitał ich ciepłem, choć też brudem: od kurzu zakręciło jej się w nosie. Paweł zasiadł przed telewizorem, który odbierał tylko telewizję publiczną, i popadł w jakiś stupor.

Przynajmniej ona sama odzyskała zwykłą energię. A działanie mogło ją odciągnąć od myśli, że miesiąc temu byli tu w piątkę. Dzisiaj Sara i Lutek nie żyli, a Borewicza czekał proces o ich zamordowanie.

Przede wszystkim teraz to był jej dom. Najpierw zajęła się kuchnią, wysprzątała szafki, powyrzucała jedzenie i spacyfikowała całą osadę moli kuchennych. Potem przyrządziła krem z cukinii, Paweł musiał coś zjeść. Ale kiedy przyniosła mu miskę, okazało się, że zasnął. Przyciszyła nieco telewizor, choć szumy zwykle go uspokajały – wychował się przy oknie wychodzącym na Brzeską, gdzie zawsze coś się działo.

Mogła teraz zająć się piwnicą. Sara kupiła ten dom od rodziny wielodzietnej, dzieciaki powyjeżdżały za granicę, a rodzinka pozostawiła ogromną ilość przetworów. Zamierzali je kiedyś zjeść, z czasem zyskały status legendy, żartowali, że stanowią ukrytą broń biologiczną. To była stajnia Augiasza i syzyfowa praca w jednym, ale nie miała nic lepszego do roboty. Zostawać z własnymi myślami nie zamierzała.

Piwnica, w przeciwieństwie do pomieszczeń mieszkalnych, była chłodna. Do tego ciemna, działała tylko jedna z trzech żarówek. W jej rogu stała stara okaflowana wanna, z takich, w których w polskich domach morduje się karpie na święta. Karolina wzięła się do roboty i była w trakcie segregacji najbardziej podejrzanych przetworów, kiedy pod stopami przebiegło jej coś małego i czarnego.

– Aj! – wrzasnęła.

Szczur! Albo raczej mysz, pomyślała po chwili, przecież to coś wyglądało na niewielkie. To, że w Duchowie była ich kolonia, wiadano od dawna. Sama odkryła kiedyś dwie, które dokonały żywota w środku piekarnika.

– Z piwnicy wyłazicie – szepnęła. – No tak. Skąd dokładnie?

Przedostawały się do domu z zewnątrz, gdzieś na poziomie podłogi. Karolina chwyciła przykurzoną szczotkę i zaczęła przesuwać przedmioty i pomarszczone kartony zalegające po kątach. Ściany były pozlepiane pajęczynami i trochę zagrzybiałe, ale podejrzanych otworów nie dostrzegła.

W końcu usiadła na drewnianym stołku, lekko już zmęczona. Spojrzała na wannę. Była w niej luka, brakowało jednego kafelka, u samego dołu. Pokiwała głową.

– Małe spryciule – szepnęła.

Poszukała na półkach rękawiczek ogrodowych, włożyła je. Kucnęła, zbierając się na odwagę, i zajrzała pod wannę. Wszystko już tu pordzewiało i zarosło kurzem, gryzoni jeszcze nie zobaczyła. Ale musiały stąd wyłazić, bo skąd? Może po prostu zatkać czymś ten brakujący kafelek? Dobrze byłoby jednak znaleźć otwór, przez który wchodziły.

– Nie bój się – szepnęła do siebie. – To tylko myszy.

Sięgnęła głębiej dłonią uzbrojoną w grubą rękawiczkę.

I trafiła na coś, głęboko, w zasadzie prawie po drugiej stronie wanny. Nie na otwór: coś sztucznego zaszeleściło jej w dłoni.

Chwyciła to i wyciągnęła na wierzch: zwykłą czarną plastikową torebkę, niemal niezakurzoną. Podniosła się, wpatrzona w znalezisko. Następnie otworzyła torebkę i wyjęła z niej metalowy przedmiot. Pistolet.

Upuściła go, z brzdękiem potoczył się po posadzce. Stała bez ruchu.

– Karo – usłyszała głos Pawła z góry. – Gdzie jesteś?

Nie odpowiedziała. Pochyliła się i podniosła broń, bezmyślnie przesuając palcem po rączce.

– Karo! – ponownie usłyszała Pawła.

Nie mogła się ruszyć. Jak sparalizowana wsłuchiwała się w odgłos kroków na schodach. W zasadzie czekała, aż jej narzeczony pojawi się

w drzwiach.

Spojrzał na nią, a potem na broń. Włosy miał lekko potargane, ale spojrzenie przytomne. Wskazał ręką na pistolet.

– Oddaj to – powiedział.

Stała bez ruchu.

– Karo...

– Co to jest?

– Oddaj to lepiej – powtórzył, zbliżając się do niej.

– Czy to... – Poruszyła pistoletem, lufę przypadkowo skierowała w stronę Pawła i to go zatrzymało.

– Chryste, nie celuj we mnie! – krzyknął.

– Co to jest? – powtórzyła głośniej.

– Nie wiem. Pistolet.

– Sary?

Wzruszył ramionami.

– Warwiłow mówiła, że jest gdzieś na Bródnie – powiedziała.

– Może się pomyliła.

– Ale... – zawahała się – dlaczego nie zapytasz, gdzie to znalazłam? – wydusiła z siebie w końcu. Cofnęła się o krok i oparła o półki. Zabrzęczały słoiki, dłoń z pistoletem skierowała się w dół.

Paweł zamilkł.

– No gdzie? – zapytał, ale milczała. – No bo trochę mnie zaskoczyłaś, ledwo się obudziłem... Kurde, przecież to Bartek musiał tutaj schować tę broń, to jasne...

– Przez cały tydzień nagrywał.

– Pewnie przyjechał po nocy.

– Ale jak, Paweł? Jak? – zapytała. – Bez kluczy do domu? Bez samochodu? – Czuła się coraz słabsza.

– No to może Sara miała drugą broń.

– I trzymała ją tutaj?

– Tak.

– Wiedziałeś coś o tym?

– Zwariowałaś?

– Ale o tym, że ma drugi pistolet...

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, że mam luki w pamięci.

– Paweł, ale przecież wciąż szukają broni, z której zginął Lutek. –
Zawahała się, zanim powiedziała: – Kurwa, nie wierzę ci.

– Karo...

– Nie wierzę ci, Paweł – powtórzyła. – Dlaczego miałyby trzymać tu
broń? W piwnicy w Duchowie? Dlaczego miałyby mieć dwa pistolety? Co
to za bzdury! Powiedziałeś, że Bartek miał tu jeździć po nocy? Dlaczego
sam wróciłeś tak późno do domu w dniu zabójstwa Lutka...? Czy –
zawahała się – przyjechałeś wtedy tutaj?

Milczał. Zrobiło jej się mdło.

– I na to właśnie dałam ci alibi? – dokończyła.

– Oddaj to – powiedział. – Zanim stanie się coś złego. Sprawa jest
skończona, mają Borewicza, a my... – urwał.

– Co my? – zawahała się. – Mamy pieniądze Sary? To chciałeś
powiedzieć?

Pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. – Zrobił krok w jej kierunku.

– Kurwa, nie podchodź! – krzyknęła.

– Bo mnie zastrzelisz? Wiesz w ogóle, co robisz?

– Może.

– Z tej pozycji zaraz strzelisz sobie w stopę – powiedział.

Spojrzała w dół. I tylko kątem oka dostrzegła, że Paweł wykonał jakiś
ruch. Popęłniła błąd. Było już jednak za późno. Podniósł jeden ze słoików
i cisnął jej prosto w twarz. Uchyliła się, ale słoik boleśnie rąbnął ją w ramię,
rozbił się tuż obok i obryzgał ją swoją zawartością.

Pistolet wyleciał jej z ręki i nie wiedziała, gdzie jest. A Paweł
rozpłaszczony się na ziemi, nurkując pod półkami.

Nagle stała się bezbronna. Wbiegła na górę po schodach i dopadła stołu
w kuchni: kluczyków do samochodu tu jednak nie było.

– Poczekaj! – krzyknął Paweł.

Uświadomiła sobie, że zostawiła je w torebce. Razem z telefonem. Torebka zaś leżała w sypialni na górze.

– Wracaj! – zawołał i usłyszała, jak wbiega po schodach.

Skierowała się do wyjścia, wypadła z domu, skręciła w lewo i przystanęła za rogiem. Serce waliło jej w piersi, przez głowę przelatywały okropne myśli, brzęczały słowa z rozmowy w piwnicy. Jak to się stało, jak do tego wszystkiego doszło? Co miała teraz zrobić?

Musiała wziąć się w garść. Kalat, najbliższy sąsiad, mieszkał niecały kilometr dalej. Szybciej było do niego przez las, zagajnik właściwie, tą drogą może z pół kilometra. A do samego lasu miała ledwie kilkadziesiąt metrów...

Zatrzeszczały stare deski: Paweł wyszedł na ganek.

– Karo, przecież nic ci nie zrobię. Kocham cię! – krzyknął w przestrzeń. Zawahała się. A potem oderwała się od ściany domu.

Dwie godziny wcześniej, po rozmowie z Chodkowskim, Warwiłow czuła się bardzo niespokojna. Paweł Kosowski oclił, a potem odebrał przesyłkę zagraniczną adresowaną na Duchów. Czy zawierała nembutal? W każdym razie bezwzględnie trzeba było go jeszcze raz przesłuchać. Chodkowski wypytał o Kosowskiego i Moskał w Lawendzie, choć instynkt podpowiadał Ninie coś innego.

– Zadzwoiłam do Mariana Kalata – powiedziała. – Zapowiedzieli się, że przyjadą do Duchowa.

– Może go tam wysłać? – zapytał Chodkowski.

– Do domu Sary Kosowskiej?

– Tak.

– Nie – odparła po chwili wahania. – Przecież to jest cywil. Poza tym przyjeżdżamy porozmawiać, prawda?

Jechali z dużą prędkością, choć droga nie była zupełnie sucha i kilkakrotnie Chodkowski napominał, żeby zwolniła. Wkrótce dotarli do Dobrego, następnie do Duchowa. Tym razem nie oszczędzała podwozia samochodu na wyboistej nawierzchni. Skierowali się prosto do domu Sary Kosowskiej. A kiedy dojechali na miejsce, zupełnie nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

Dom był rozświetlony i otwarty na oścież. Smuga światła padała na pordzewiałe renault zaparkowane na trawniku. Spojrzała na aspiranta, a potem wyjęła broń z kabury i wysiadła.

– Halo! – krzyknęła.

Kątem oka widziała, że Chodkowski również wyjął swojego glocka. Weszła do domu, a potem do przestronnego salonu z kuchnią, rozświetlonego jak elektrownia. Drzwi prowadzące gdzieś na dół również były otwarte i tam też paliło się światło.

Zeszła powoli po schodach. Uderzył ją stęchły warzywny zapaszek, po chwili zobaczyła, że piwnica wygląda jak z horroru. W rogu stała wanna

pokryta brunatnymi kafelkami, a na ziemi wały się potłuczone słoiki, z których wyciekło coś czerwonego.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – powiedział Chodkowski za jej plecami.

– Sprawdziłeś na piętrze?

– Pusto.

Minęła go bez słowa, powróciła na górę. Wyszła na zewnątrz.

Gdzie byli Kosowski i Moskał? Spacer, wycieczka? Skąd jednak ślady w piwnicy i dom otwarty na oścież? Samochód również został na miejscu.

Może ktoś ich zaatakował? Nawzajem się zaatakowali?

Wychodzę z domu, pomyślała. Uciekam. Którędy, drogą? Jeśli jednak drogą, dlaczego nie samochodem?

Spojrzała w lewo. Ściana lasu rysowała się ponuro. Podeszła do płotu pociągniętego ciemnobrązową farbą. Sztachety były nie pierwszej młodości. A pośród nich znajdowała się bramka prowadząca na łąkę. Otwarta.

Zawołała Chodkowskiego.

– Zobacz – powiedziała.

– Wszystko pootwierane... – skwitował. – A w piwnicy rozwałka.

– Dzwon do centrali. Niech wyślą kogoś na drogę. Uprzedź ich, żeby zachowali ostrożność.

– A my? – zapytał Chodkowski.

Spojrzała na otwartą bramkę, a potem na niego. Wyczytał w jej oczach odpowiedź.

Dlaczego tak rzadko przychodzili do tego lasu? Karolina pożałowała tego, kiedy dobiegła do niego kilkanaście minut wcześniej, a chwilę później zgubiła coś, co wydawało jej się zarosłą ścieżką. Za dnia las był ładny, niedaleko uwiły sobie nawet gniazdo żurawie, teraz otaczał ją jak wroga czarna plama. Pamiętała tylko, żeby trzymać się jego krawędzi, ponieważ tędy zawsze przychodził Marian Kalat. Zatrzymała się, rękawem osłoniła twarz przed gałęziami.

– Karo, stój! – krzyknął Paweł. Głos rozniósł się po lesie i spłoszył jakieś ptactwo. – Przecież nie zrobię ci krzywdy.

Wahała się.

– Masz tę broń?! – krzyknęła.

– Oczywiście, że nie!

Jak daleko mógł być? Chciała mu wierzyć. Ale w piwnicy rzucił w nią słoikiem, ledwo ochroniła twarz. Zaatakował ją, pozostała jej po tym purpurowa smuga na ramieniu. I wiedział, gdzie był schowany pistolet, na pewno wiedział.

– Karo, nie idź dalej, będziemy się szukać do nocy! – krzyknął znowu i usłyszała, jak depcze po podmokłych gałęziach.

Zebrała się w sobie i zanurkowała w gęstwinę. Krzaki były gęste i kłujące, pomyślała, że zatrzymają każde z nich.

I nagle się skończyły. Rysował się przed nią lekko pagórkowaty teren leśny, rzadziej porośnięty drzewami, za to znacznie lepiej doświetlony. Zaczęła biec. A dosłownie chwilę później straciła grunt pod stopami i zamachała nogami w powietrzu. Łup, spadła w błoto, uderzając kolaniem o kamień, i jęknęła z bólu. Las pełen był starych okopów.

Podniosła się i spojrzała w górę. Prosto na Pawła.

– No i? – zapytał.

Zdawało jej się, że zamierza zrobić jakiś ruch.

– Nie podchodź! – krzyknęła.

– Bo?

Nie odpowiedziała. Potarła kolano. Kamień, na który spadła, zrobił w dżinsach dziurę. Pojawiła się w niej jasna krew.

– Naprawdę się mnie boisz? – zapytał. – Zwariowałaś?

– Masz broń?

– Nie.

– Skąd się tam wzięła? Pod wanną?

– Nie mam pojęcia.

– To dlaczego mnie walnąłeś?

– Bo zwariowałaś.

– Mogłeś mi zrobić krzywdę...

– A ty mogłaś mnie postrzelić! Albo, co bardziej prawdopodobne, siebie.

– Ale Warwiłow mówiła... – Karolina wstała w końcu. Była cała w błocie.

– Jakie to ma znaczenie, co mówiła jakaś jebana policjantka? – powiedział Paweł. – Ufasz jej czy mnie?

Cisza.

– Karo, zostaliśmy przecież tylko we dwoje...

– Zabiłeś Sarę?

– Nie.

– A Lutka?

– Nie – odparł. Z milisekundowym opóźnieniem. Nigdy nie umiał dobrze kłamać. Zwłaszcza na trzeźwo.

– Dobrze, że mi to powiedziałeś – oznajmiła. – Nie mogłeś tak od początku?

– Co od początku?

– Tak mówić. Pomóż mi wyjść z tego domu.

Ale Paweł się nie ruszył.

– To znaczy, że mi wierzysz? – zapytał.

– Tak. Pomóż mi, proszę.

– Ale przed chwilą przede mną uciekałaś...

– Przestraszyłeś mnie, ta broń, nie spodziewałam się...

– I dlatego gnałaś na złamanie karku? Nie... – Pokręcił głową. – Trochę za szybko, Karo – powiedział powoli.

– Co za szybko?
Wpatrywał się w nią intensywnie.
– Nieźle, ale trochę za szybko mi uwierzyłaś.
– Paweł, nie strasz mnie tak...
– Trzeba było jeszcze trochę poczekać. Ja pierdolę – powiedział. Wyjął i zapalił papierosa. – Ja pierdolę.
– Dlaczego to powtarzasz, Paweł...
Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem.
– Co zrobisz, jak stąd wyjdiesz, Karo?
– Nie rozumiem.
– Opowiedz, co zrobisz, jak dojedziemy do domu. Co zrobisz dzisiaj, jutro, pojutrze...
– No nic. Pójdę do pracy, na moje zajęcia.
– A broń?
– Nikomu nie powiem.
– Dlaczego właściwie?
– To niczyja sprawa.
Paweł zaciągnął się ponownie.
– Daj mi papierosa – powiedziała.
– Za sekundę. Dlaczego nikomu nic nie powiesz?
– Już się o to pytałeś.
– Odpowiedz jeszcze raz.
– Bo ci wierzę. I nie chcę, żebyś miał kłopoty.
Pokiwał głową.
– Kurwa, najgorsze, że to jest błędna odpowiedź, Karo.
– Paweł...
– Jest błędna, bo ja z kolei w nią nie wierzę. Wierzyłbym, gdybyś powiedziała, że chcesz mieć pieniądze Sary... – Urwał na chwilę.
Nie umiała jednak wydusić z siebie ani jednego słowa.
– ...żebyśmy razem mieli pieniądze Sary – dokończył. – Żebyśmy zamieszkali w Duchowie i zaczęli robić dzieciaki jak króliki. Tak jak zawsze chciałaś. Wierzyłbym.
Przełknęła ślinę.

– Może wciąż chcę? – powiedziała cicho. – Dlaczego nie dasz mi szansy?

– Bo myślę, że zrobisz zupełnie inaczej. Pójdiesz prosto do Warwiłow i opowiesz o swoim małym odkryciu. Spędziłem z tobą połowę życia, a teraz czuję się, jakbym gadał z obcą. Dlatego wiem, że mnie okłamujesz. – Zaciągnął się ponownie. A potem powiedział: – Jasne, że Lutek prowadził ten samochód, a nie Borewicz. Nie wiem, czemu Bartek nie powiedział tego jeszcze policji. Pewnie wciąż myśli, że uda mu się ukryć prawdę o wypadku... A może mu nie uwierzyli...

– Paweł, nie chcę tego słuchać – usiłowała wejść mu w słowo, ale nie pozwolił.

– Lutek przyszedł do mnie tydzień po walentynkach. Powiedział, że rąbnął jakieś dziecko, a Sara chce się przyznać. Że sama załatwi sobie najwyżej zawiasy, a jego życie będzie zniszczone.

– Paweł, przestań... – błagała.

– Przyszedł, kiedy cię nie było, i nie z pustymi rękami – kontynuował. – Wiedział o moich długach i o tym, że Sara nie chce już ich płacić. Odrobił pracę domową, a ja oczywiście nie miałem pojęcia o tym jebanym Bioneo... A po kilku godzinach zaczął mnie sondować. To była naprawdę dziwna rozmowa. Wiesz, co jest porąbane? W zasadzie mógł ten plan wykonać w pojedynkę, ale chyba nie chciał być w tym sam... Na początku miał zupełnie inny pomysł, chciał to zrobić tutaj, w Duchowie. Podsunąłem myśl, żeby wykorzystać stalkera, zobaczyć, czy może uda nam się go znaleźć. Zleciłem to prywatnemu detektywowi, znalazł dla mnie tę dziewczynę. Lutek nagrał przez Facebooka, żeby przyszła wtedy do Koktajlu.

Cisza. Nie umiała już wymówić ani słowa.

– I co ty na to, Karo? – powiedział. – Co teraz zrobisz, kochanie, po tym, jak to usłyszałaś? Jaka jest twoja odpowiedź?

Próbowała coś powiedzieć, ale przed oczami przelatowała jej twarz Lutka. A potem Sary. I Borewicza.

– Wiesz co, Karo? Chyba poczułem się trochę lepiej, jak to powiedziałem, ale teraz znowu czuję się źle i nie chce mi się już gadać

o przeszłości. Bo to jest przeszłość.

– Nie, Paweł, mów dalej. Co było potem?

– I mogę myśleć tylko o tym, co jest teraz – dodał. – Borewicz siedzi, nikt się już nami nie interesuje. W zasadzie to może sam zgłoszę, że zaginęłaś, tak będzie lepiej, będę cię szukał razem ze wszystkimi...

– Paweł, ale co ty robisz...

– Jest mi naprawdę zajebiście przykro, Karo – powiedział. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął broń. Wyprostował rękę.

– Paweł, proszę...

Widziała, jak ta ręka drży, widziała czarne kółeczko lufy, ale sama, tak jak w piwnicy, nie umiała wykonać ruchu. A potem nagle krzyknął, pół metra obok niej coś przeleciało z zawrotną prędkością i przywaliło w drzewo.

Paweł złapał się za brzuch, widziała, że rozerwało mu kurtkę, ale nie krwawił. Obrócił się w stronę lasu. Ktoś tam był i coś krzyczał, słyszała słowo „policja”. Zobaczyła, jak Paweł znowu prostuje dłoń. Chciała powiedzieć, żeby tego nie robił.

A potem usłyszała kolejny huk, ujrzała, jak jej narzeczony odrywa się od ziemi i pada plecami w głęboki błotnisty dół.

Karolinę Moskał umieszczono w karetce. Kiedy podeszli do martwego Pawła Kosowskiego, leżała, przytulając go i łkając. A godzinę później siedziała otulona kocem otrzymanym od człowieka, który zastrzelił jej narzeczonego.

Jeszcze na łące Warwiłow usłyszała krzyki, a potem w lesie zobaczyli Pawła Kosowskiego, który celował w Karolinę Moskał. Chodkowski, który był nieco bliżej, bez wahania wyciągnął glocka, żeby postrzelić Kosowskiego w dłoń. Nie trafił, a kiedy ten odwrócił się z bronią w rękę, nie reagując na ostrzeżenia, Chodkowski oddał drugi strzał.

Paweł Kosowski nie żył, kiedy do niego podeszli.

– Byłaś w błędzie, Nina – oznajmił komisarz Białek. Wraz ze Stassbergiem przyjechał do Duchowa późnym wieczorem.

– Uratowaliśmy tę dziewczynę przed śmiercią.

– Ale myliłaś się co do winy Borewicza.

– Tak – przyznała, bardzo już zmęczona. – Myliłam się, choć z pewnością brał udział w wypadku w Porębach Nowych... Według Karoliny Moskał Kosowski przed śmiercią opowiedział o współpracy z Lutyńskim i tylko tak można to wszystko zrozumieć. Działali razem aż do wypadki z Bioneo. Wtedy Kosowski zabił współnika. Prawdopodobnie bał się, że Lutyński się wygada, może od początku to planował. Poza tym okradając Sarę, w tym momencie Lutyński okradał też jego samego...

– Paweł Kosowski zamordował siostrę – powiedział Białek po chwili milczenia. – Sugerowałem ci to wtedy, kiedy przysłaś ze swoją hipotezą o samobójstwie.

– Prawdopodobnie nie bezpośrednio.

– To nie ma znaczenia. Miał otrzymać jej pieniądze.

– Tak. I spłacić swoje długi – powiedziała. – To też wkrótce mogło się dla niego bardzo źle skończyć.

Odeszła porozmawiać z technikami; spostrzegła, że Stassberg szukał jej spojrzenia, ale miała na to taką samą ochotę jak na dalsze dysputy z Białkiem. Poza tym widziała oczami wyobraźni, jak przeciągnięte śledztwo odsuwa Maćkowi awans, gdziekolwiek go wynosił. A może rzecz była już przesądzona i prokuratura miała gdzieś, że ze sprawy wciąż toczyła się krew? W końcu i on odjechał do Warszawy; podwórze domu w Duchowie zaczęło powoli pustoszeć.

– Jedź już – poleciła Chodkowskiemu.

– A ty?

– Zostanę do końca – powiedziała. – Zachowałeś się jak trzeba. W lesie – dodała.

Powoli pokiwał głową. Lokalni gapie, którzy pojawili się nie wiadomo skąd i zgromadzili przy drodze, też zaczęli się rozchodzić. Czerwony zachód słońca przeszedł w zmierzch, a na niebie błysnęła pierwsza gwiazda. Słyszała głosy ekipy przeszukującej dom Sary. To, co najważniejsze, jej broń, zostało już jednak zabrane do ewidencji. Dalej do laboratorium, aby potwierdzić, że z niej właśnie zamordowano Michała Lutyńskiego.

Wbrew temu, co powiedziała Chodkowskiemu, nie zamierzała już wchodzić do domu Sary. I sama musiała już wracać. Tomek, do którego zadzwoniła, narzekał, poprosiła więc Arletę o to, żeby odebrała Miłę. I pomyślała, że teraz, kiedy to śledztwo się skończyło, powinny gdzieś wyjechać.

Po dziesięciu dniach rozwiązała sprawę śmierci Sary Kosowskiej, do tego czasu uzbierała już jednak trzy trupy. Borewicza czekał proces w sprawie śmierci Dominika Marciniaka i miała nadzieję, że to ostatecznie wyjawi prawdę o jego roli w wypadku; o oskarżeniu Marty Jesionek o stalking musiała zdecydować prokuratura. I tylko Karolina Moskal odchodziła dzisiaj wolno, o ile nie zatrzymają jej w szpitalu. Z sześciu osób na przyjęciu w zaćmienie słońca pozostała jedyną na wolności. I jedną z trzech, które przeżyły.

Warwiłow wydała ostatnie instrukcje technikowi, a potem wsiadła do swojego samochodu i odjechała z domu Sary Kosowskiej. Wkrótce po

wjeździe na drogę zwolniła jednak, spoglądając w prawo, na rzędy wysokich drzew. A kilkaset metrów przed wjazdem na szosę zatrzymała samochód na błotnistym poboczu.

Czuła w mięśniach niezwykle napięcie. I mimo że była koszmarnie zmęczona, potrzebowała je rozchodzić. Zanim wróci do Mili, do swojej namiastki normalnego życia.

Wyszła. Rozejrzała się po pustej, rozległej przestrzeni. Następnie ruszyła na przełaj bokiem pól uprawnych, dotarła aż do lasu. Równoległe do jego krawędzi biegła tu ścieżka, Warwiłow skierowała się nią w prawo.

Szła przed siebie szybkim marszem. Bez planu; dziesięć, może piętnaście minut. Dawno nie była tak bardzo sama. Oddychała chłodnym czystym powietrzem.

W końcu zatrzymała się i wyjęła z kieszeni kurtki telefon. W trakcie marszu dzwonił kilkakrotnie, nie miała jednak ochoty na kolejne konferencje. Jednak to nie dzwoniła policja ani prokuratura. Kontaktowano się z nią ze szpitala w Aninie.

Warwiłow wcisnęła zieloną słuchawkę. Doktor Rutkowski odebrał po trzecim sygnale. Wiało i na początku w ogóle nie rozumiała, co do niej mówi. Przycisnęła prawe ucho wolną dłonią, poprosiła o powtórzenie, a potem przez kilkadziesiąt sekund wysłuchiwała tego, co miał jej do powiedzenia.

– Tak, rozumiem – powiedziała i dodała: – Dziękuję. Zorganizuję wszystko. Jak tylko wrócę do Warszawy.

Rozłączyła się w końcu, przecierając palcem lekko wilgotny ekran telefonu. A potem wzięła krótki zamach i rzuciła iPhone'a na kamień wystający z błota. Rozległ się odgłos tłuczonej szybki. Pochyliła się i podniosła smartfon, a potem ponownie uderzyła nim o kamień. Kilkanaście, kilkadziesiąt razy, przełamała plastikową obudowę i szkło, dotarła do mikroelementów, uderzała dalej.

W końcu telefon połamał się na dwie części, a ręka Warwiłow pokryła się krwią. Skórę na palcach miała obtartą, a dłoń posiniaczoną. Zostawiła wrak telefonu tak, jak leżał, a mokre policzki wystawiła na mocny wieczorny wiatr.

Czytelniczko i Czytelniku,

zapewne dla części z was było to już trzecie spotkanie z Niną Warwiłow. Kiedy przed debiutem niektórzy wieszowali mi wydania książki, kiwałem głową, ale myślałem: no super, ale kto to teraz przeczyta? Okazało się, że całkiem spora grupa. To truizm, ale napiszę – fakt, że ktoś czyta twoją książkę, to najważniejsza rzecz, która motywuje do pisania. Więc krótko: dziękuję.

Jestem również wdzięczny za pisanie recenzji i dzielenie się opiniami o książce, tak w świecie wirtualnym, jak i rzeczywistym. Czytam większość z nich. Dzięki opiniom zaś – i zawsze nieocenionej poczcie pantoflowej – moje powieści mają szansę dotrzeć do większej liczby czytelników.

I na koniec zapraszam na moje spotkania autorskie. To okazja do spotkania z wami, ale także do dyskusji – o książce i szerzej, o współczesnej powieści kryminalnej. A informacje o planowanych spotkaniach można znaleźć na stronie: czarne.com.pl/katalog/ksiazki/czerwony-swit.

Do zobaczenia!


Jędrzej Pasierski

czarne.com.pl/katalog/autorzy/jedrzej-pasierski

facebook.com/jedrzejpasierski.autor/

instagram.com/jedrzejpasierski/

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2020
Wydanie I